Łódź

# Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

NUMER 47 (1443) ROK XXVIII 23 LISTOPADA 1985 ROKU CENA 20 ZŁ

- „Shoah" — czyli obsesje Claude Lanzmanna
- W „sanktuarium"
- Milioner bez grosza
- Ja, łodziak z Chojen
- Horror

„Łódź w walce i w pracy" — Łódzki Komitet Frontu Narodowego 1934.

## Tamta Łódź

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

1.

Tamta Łódź, daleka, jakby na poły tylko realna, pozacierana przez lata. Łódź sprzed lat czterdziestu - wyblakła już w mojej pamięci. Czas odcedza poprzez swoje sita zdarzenia i ludzi, znikają na zawsze nawet i głębokie przeżycia, usuwa w cień nie tylko złowrogie postacie, ale i ongiś bardzo kochane. Czas pozostawia w naszej pamięci niekiedy nawet dużo, ale przecież nie wszystko, co z tych czy innych względów godne jest pamiętania. Stąd też to moje wspominanie o początkach literackiej Łodzi nie może być ani kompletne ani wierne.

Do „złego miasta" przyjechałem rowerem prosto z moich rodzinnych Kielc, wraz z chudym dobytkiem, który mieścił się z powodzeniem w bagażniku i na plecach, na ogół pokolenie „Kolumbów" nie dorobiło się na wojnie. Przyjechałem latem 1945 roku po naukę i do pracy. Miałem terminować w tygodniku społeczno-kulturalnym „Wieś" i studiować socjologię. Taka możliwość zawdzięczałem swoim starszym kolegom z klerykowskiego gimnazjum — Tadeuszowi Papierowi i przede wszystkim Janowi Aleksandrowi Królowi, redaktorowi naczelnemu „Wsi", jedynemu królowi, jakiego tolerowała PRL. Poznawałem więc wskrzeszające się środowisko literackie w Łodzi z dość specyficznej perspektywy pisarza niby-chłopskiego. Uczyłem co prawda podczas okupacji chłopskie dzieci w tajnym gimnazjum i liceum pod Szczekocinami, mieszkałem u chłopów, którym znacznie częściej trafiało się dzieciątko niż cielątko, wiodłem się jednak z miasta. Lecz Janowi Aleksandrowi to starczyło, aby mnie zakwalifikować jako pisarza chłopskiego.

2.

W Łodzi powstały już w 1945 roku dwie organizacje pisarskie — Oddział Łódzki Związku Zawodowego Literatów Polskich i Oddział Wiejski ZZLP, działający pod prezydium znakomitego poety i prozaika Stanisława Piętaka. Rzecznikiem pisarzy wiejskich, to chyba oczywiste, była „Wieś", w której chłopów jak na lekarstwo — prof. Zdzisław Skwarczyński, Zygmunt Kałużyński, Stefan Lichański, Lesław Bartelski, Anna Kamieńska, Maria Zmigrodzka, Maria Janion, Tadeusz Chróścielewski. Całość psuli trochę chłopscy pisarze z prawdziwego zdarzenia: Tadeusz Papier i Stanisław Piętak. A sam naczelny, bywało, pokazywał swoje drobne, kobiece dłonie i twierdził uporczywie, że tak właśnie wyglądają spracowane ręce... górali sądeckich, co — oczywiście — bawiło każdego, kto coś podobnego usłyszał. Przeciwnicy „chłopów" z tygodnika „Wieś", nieźle ufortyfikowani wokół drugiego tygodnika łódzkiego „Kuźnica" uważali się za marksistów, pewnie zresztą nimi na swój sposób byli, tyle tylko, że po drugi przypominał modela z domu mody tak pięknie prezentowali się na Piotrkowskiej bracia Brandysowie, Paweł Herz — ogromnej wytworności poeta, Jan Kott, czy dowódca — Stefan Żółkiewski, otoczeni zazwyczaj „mandolinistkami", czyli studentkami polonistyki. Były to wielbicielki nowych proroków literatury, gorące wyznawczynie nowych wiar, prądów, wiatrów, a z czasem i przykazań, mających otwierać sztuce pisania nowe perspektywy. Młodzi wyznawcy czołowych

10

## Czy narady mogą być pożyteczne?

BRONISŁAW MUSZYŃSKI

Z sondaży prowadzonych na kursach dla kadry kierowniczej organizowanych w Ośrodku Doskonalenia Kadr Przemysłu Chemicznego i Lekkiego „DOSKO" w Łodzi, wynika, że temat ten nie cieszy się szczególnym uznaniem. Kiedy słuchacze mają wybrać kilka zagadnień spośród kilkunastu nieobowiązkowych, z reguły pomijają zajęcia na temat organizowania narad. Widać słuchacze umieją to i nie odczuwają braku wiedzy w tej sprawie. Jednak z drugiej strony, ci sami ludzie uskarżają się, że ogromnie dużo czasu marnują w dziesiątkach zbędnych i całkowicie nie przygotowanych naśladówek. Wynika stąd wniosek, że tylko inni nie potrafią dobrze przygotować narad, na których my bywamy. Natomiast sami robimy to doskonale.

Problem jest poważny. W zależności od szczebla w hierarchii służbowej 20 do 70 proc. czasu kierownika zajmują różnego rodzaju narady, spotkania, zebrania i konferencje, przy czym im wyższy szczebel, tym większy udział w kolektywnych formach pracy. Duża liczba organizacji działających w każdym zakładzie pracy, przejawia swoją aktywność w organizowaniu licznych zebrań, niestety często w godzinach pracy. Zebrania partyjne, związkowe, pronowskie, organizacji młodzieżowych, społecznych, zawodowych, organów samorządu, angażują nie tylko kierowników i administrację, ale również coraz więcej robotników nie tylko ze służb pomocniczych, także bezpośrednio z produkcji.

Czas przeznaczony na udział w naradach nie jest z pożytkiem wykorzystywany, a często wręcz całkowicie stracony. Dosadnie mówiąc, trzeba wydać walkę dupogodzinom spędzonym na licznych naśladówkach. Roboczogodziny muszą być wykorzystywane z większym pożytkiem,

4

## Zimny befsztyk z pieczarkami

**Rozmowa z MONIKĄ PEREK — prezesem Oddziału Gastronomii Powszechnej Spółdzielni Spożywców „Społem" w Łodzi.**

**— Opinia o naszej gastronomii jest ustalona i nie najlepsza. Na przykład w „Kaskadzie" robią wszystko, aby tę opinię podtrzymać. Inne restauracje podobnie. I pewnego dnia poszłam do „Halki". Jakież było moje zdziwienie, gdy natychmiast podszedł kelner, podał kartę, szybko przyjął zamówienie, szybko je spełnił, a na dodatek to, co podał było smaczne. Skąd nagle taka zmiana?**

— Wszystko zależy od ludzi. „Halka" mogłaby też — jak pani to powiedziała — robić wszystko, aby podtrzymywać złą opinię o gastronomii. Ale to właśnie ludzie, którzy ją objęli zadecydowali, że jest inaczej. Do „Halki" dołączyliśmy „Honoratkę" i już tylko dzięki właściwemu nadzorowi w „Honoracie" podwoiły się obroty.

**Proszę jednak z tego nie wyciągać wniosku, że jesteśmy już zadowoleni z tego, jak pracuje „Halka". Już trzeba było kilkakrotnie dokonać** zmian w obsłudze kelnerskiej. Wydaje nam się, że jest lepiej. Cieszę się, że pani tę opinię potwierdza.

**— Czy można więc mieć nadzieję, że i w „Kaskadzie" będzie inaczej, że poprawi się kuchnia i obsługa?**

— Kierownictwu „Kaskady" dawaliśmy już różne terminy do uporządkowania ich spraw. Jak do tej pory tego nie zrobiono. Nie mogę się zgodzić z tym, że w „Kaskadzie" jest gorsza kuchnia. Są tam bardzo dobrzy szefowie kuchni. Ale między kuchnią a gościem jest kelner. Jeśli nawet najlepsza potrawa postoi sobie i poczeka na kelnera, to dotrze do gościa zimna. Na dodatek jeśli kelner ją źle poda, z niechęcią, to znudzony, zdenerwowany czekaniem i głodny gość też inaczej ją przyjmie.

**— Wniosek stąd, że trzeba zmienić kelnerów.**

7

# Odgłosy

**Adres redakcji:** 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

**Telefony:** redaktor naczelny 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

**Redaktor naczelny:** Lucjusz Włodkowski.

**Sekretarz redakcji:** Grażyna Olechnowicz.

**Kierownik działu literackiego:** Grzegorz Gazda

**Redaktor techniczny:** Janusz Kozłowski.

**Zespół:** Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Tomasz Sas, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

**Grafik:** Janusz Szymański-Glanc.

**Fotoreporter:** Grzegorz Gałasiński,

**Korekta:** Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

**Stale współpracują:** Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski.

**Wydawca:** Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96.

**DRUK** Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

**Warunki prenumeraty:** 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28. 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045--139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam.: 3433. P-2.

# Przegląd prasy

**Plotka jest silną i skuteczną bronią. Łatwo jest zawiązać intrygę, oskarżyć kogoś o coś i czekać skutku. Resztę dokona ludzka głupota. Plotka odwołuje się bowiem nie do myślenia a działa na emocje. Plotki pochodzą zawsze „z wiarygodnych źródeł", od „osób dobrze poinformowanych" i niebywale trudno je dementować, gdyż dementowanie plotki odwołuje się do myślenia właśnie, które plotka już z góry eliminuje.**

W niebywale interesującej książce Józefa Putka „Mroki średniowiecza", której szóste wydanie właśnie ukazało się nakładem PIW, znaleźć można wiele przykładów na działanie mechanizmu plotki. Oto jeden z tych przykładów:

*„Ilekroć zdrowy rozsądek był górą i sejm uchwalił nadre prawo, w rzeczach religii wolnomyślne i tolerancyjne, tylekroć dygnitarze kościelni szukali okazji do wywołania jakiejś sprawy, która by rozpaliła namiętności ludzkie. Gdy sejm w Warszawie w roku 1556 odebrał duchowieństwu sądownictwo nad świeckimi „heretykami", postanowiło ono stworzyć fakt dokonany przez sądzenie spraw o „świętokradztwo". Na ofiarę upatrzono sobie biedną dziewczynę z Sochaczewa, Dorotę Łazęcką. Oskarżono ją o „świętokradztwo", które rzekomo miała popełnić przez zabranie podczas komunii hostii i sprzedanie jej Żydom za trzy talary i suknię wyszytą jedwabiem. Równocześnie oskarżono Żydów sochaczewskich o współudział w tym świętokradztwie, gdyż mieli tę hostię zanieść do synagogi i tam ją nakłuwać igłami, a krew, jaka z hostii ciekła, zebrać do butelki. Prawie wówczas miał odbyć się w Łowiczu synod kościelny. Sąd duchowny dla przywitania synodu wykorzystał to oskarżenie i tak nieszczęśliwą ofiarę głupoty ludzkiej, Łazęcką, skazał na spalenie żywcem na stosie. Żydom zaś z Sochaczewa lano wrzącą wodę na karki, aż w mękach pomarli. Wyrok wymagał jednak aprobaty królewskiej. Król aprobaty nie udzielił, atoli podkanclerzy, biskup Przerębski, sfałszował dekret królewski i wysłał go do Łowicza. Fałszerstwo wyszło na jaw, nim jednak goniec królewski przybył do Łowicza odwołać sfałszowany dekret, już popioły z Łazęckiej i Żydów zdążono rozsypać na rozstajnych drogach".*

Proszę mi wybaczyć ten przydługi cytat, ale w moim przekonaniu dokładnie pokazuje on, jak się niegdyś posługiwano plotką. Co prawda czasy zmieniły się, mamy już dziś drugą połowę 1985 roku, ale przecież mechanizm jakże pozostał podobny. Proszę też nie tworzyć żadnych analogii między dalekimi wydarzeniami cytowanymi za Józefem Putkiem a tymi, które opisuje Włodzimierz Krzyżanowski w „PRZEGLĄDZIE TYGODNIOWYM" (nr 46 z 17 listopada 1985 roku). Inaczej myślano w XVI wieku, inaczej myśli się dziś, a przecież — jak pisze Włodzimierz Krzyżanowski

## W OLSZTYNIE PLOTKI, NIESTETY, WYPARŁY MYŚLENIE

Chodzi oczywiście o bezsensowną, niepotrzebną, tragiczną śmierć studenta Uniwersytetu Gdańskiego — Marcina Antonowicza. Autor reportażu *„Co się zdarzyło w Olsztynie?"* dokładnie opisuje przebieg wydarzeń do tragicznego skoku z jadącego stara. Rozmawiał z kolegami Marcina Antonowicza, z lekarzami, milicjantami, rodzicami kolegów Marcina Antonowicza, z adwokatem rodziny Antonowiczów. Nie były to rozmowy łatwe.

*„W Olsztynie śmierć Marcina Antonowicza* — pisze Włodzimierz Krzyżanowski — *z jednej strony owiana jest tajemniczością, z drugiej zaś plotkami. Wielu moich rozmówców wprost nie dowierzało, kiedy mówiłem im, że chcę napisać o tragedii gdańskiego studenta. Uważali, że to przekracza kompetencje dziennikarza. W wielu urzędach i placówkach ludzie bali się ze mną rozmawiać. Jedni ostrzegali:* — Panie, pan chyba oszalał. Pan chce o tym napisać? To chyba będzie pański ostatni artykuł, którego i tak nikt nie wydrukuje — *po czym szybko żegnali mnie, albo opuszczali pokoje, do których wchodziłem: np. w olsztyńskim szpitalu. Inni grozili milicją. Głupota udzieliła się przedstawicielom wielu środowisk. Szczytem była odmowa wydania w archiwum „Gazety Olsztyńskiej", tych egzemplarzy tego dziennika, w których — zresztą w sposób bardzo enigmatyczny — pisano o wypadku...".*

Marcina Antonowicza pochowano 6 listopada 1985 roku. *„Na cmentarzu zgromadziło się* — pisze W. Krzyżanowski — *7—8 tysięcy ludzi. (...) Grób pokryły setki wieńców i wiązanek kwiatów. Pogrzeb przebiegł w atmosferze powagi i spokoju".*

Reportaż trzeba przeczytać w całości. Jego autor zgromadził naprawdę dużo i pełnych informacji. Dopiero ich całość daje obraz tego, co wydarzyło się w Olsztynie. Z konieczności musze poprzestać na kilku tylko cytatach.

Szeregowiec Marek J.: — *„Przeżywam tę śmierć i na pewno pozostawi ona uraz i ślad na całe moje życie. On przecież był tak samo młody jak ja. Po co wyskakiwał? Na to pytanie nie potrafię sobie odpowiedzieć. Cały czas interesowałem się stanem zdrowia Antonowicza. Parokrotnie chodziły pogłoski, że zmarł. Ja wierzyłem, że przeżyje, bo jego skok i upadek na jezdnię naprawdę nie wyglądały groźnie... Śniło mi się to nawet w nocy. Co z tego, że wiem, iż nie jestem winny? (...) W Olsztynie już mówią, że używałem pałki, a ja nie miałem jej nawet przy sobie".*

Pełnomocnik rodziców Marcina Antonowicza mec. Andrzej Domański: — *„Sprawa dobrze prowadzona jest pod względem dowodowym: pozostaje jeszcze tylko późniejsza kwestia ich oceny. Postępowanie toczy się normalnie i nie ma w nim żadnych błędów. Ja przynajmniej ich nie widzę. Mamy nieograniczony dostęp do dokumentów. Nie kwestionujemy, że Marcin Antonowicz mógł wypaść z wolno jadącego samochodu. Naciele nie miał obrażeń wskazujących — na przykład — na użycie pałki. Ludzie snują analogie między sprawą Przemyka i sprawą Antonowicza. Analogia jest tu tylko taka, że Przemyk i Antonowicz byli młodymi ludźmi i w obydwu zdarzeniach wystąpili milicjanci. Na tym wszystkie analogie kończą się i dalej są to już rozbieżne sprawy".*

*„W Polsce północno-wschodniej* — pisze W. Krzyżanowski — *panuje przekonanie, że państwo Antonowiczowie byli aktywnymi działaczami byłej „Solidarności".*

*Rozmawiałem na ten temat z byłymi funkcyjnymi działaczami Związku oraz ze znajomymi państwa Antonowiczów. Dr Krystyna Antonowicz i dr Kazimierz Antonowicz nigdy nie byli działaczami „Solidarności".*

*Dr Kazimierz Antonowicz, znakomity okulista występujący również jako biegły sądowy jest jedynie blisko związany z duszpasterstwem służby zdrowia w Olsztynie. Marcin Antonowicz również nie działał w żadnych organizacjach. Zajmował się przede wszystkim chemią, żeglarstwem, narciarstwem i fotografią".*

**Przeczytajcie reportaż Włodzimierza Krzyżanowskiego! Być może zgromadzone tam fakty zmuszą ludzi do myślenia i zahamują pochód plotki.**

Październikowy numer „NOWYCH DRÓG" z 1985 roku przynosi ciekawą publikację Jerzego Trześniewskiego: *„Z kalendarza walki".*

## W HUCIE „WARSZAWA"

Jest to, jak stwierdza autor, opis wydarzeń i faktów oparty *„na własnych refleksjach i ocenach poparty niektórymi materiałami źródłowymi z tamtego okresu".* Chodzi o lata 1980—1982. Huta „Warszawa" była zawsze eksponowana jako czołowy oddział stołecznej klasy robotniczej. Tutaj zjeżdżały delegacje zagraniczne, tutaj po pierwszomajowych pochodach zwykł bywać Edward Gierek, tutaj w połowie 1980 roku *„organizacja partyjna stanowiła 28 proc. całej załogi".* Tutaj też doszło do ostrej walki politycznej. I właśnie dzieje tej walki, jej przebieg opisuje Jerzy Trześniewski.

27 sierpnia 1980 roku w Hucie „Warszawa" wybuchł strajk solidarnościowy. Na jego czele stanął *„nie znany dotąd pracownik oddziału obróbki cieplnej wydziału walcowni średniodrobnej Seweryn Jaworski — późniejszy ekstremalny członek kierownictwa b. „Solidarności".* Nic jeszcze wtedy nie zapowiadało późniejszej walki. *„Praca w organizacji partyjnej przebiegała normalnie, chociaż zaczęto akcentować nurt rozliczeniowy i potrzebę pilnego zwołania nadzwyczajnego zjazdu partii".* Zaczęto też tworzyć nowy związek zawodowy. Toczyła się dyskusja nad charakterem przyszłego związku i aktyw partyjny, *„mając na uwadze wieloletnie tradycje hutniczych związków zawodowych i rangę zawodu hutnika"*, występował z postulatem utworzenia branżowej struktury związku, ale walkę tę przegrał *„jako partner wtedy mało wiarygodny, a chyba przede wszystkim przez bezpardonowość, ostrość postępowania, atrakcyjność form działania nowych struktur i działaczy przyszłej „Solidarności"*

Działacze Komitetu Fabrycznego PZPR w Hucie „Warszawa" coraz wyraźniej widzieli ostrość istniejącego kryzysu. W czasie trwania walki o rejestrację „Solidarności" pisali w uchwale: *„Stoimy dziś w obliczu największego i najgroźniejszego kryzysu w powojennej historii naszego kraju. Kryzys ten trwa, trudno jeszcze dziś dokładnie określić, które jego stadium przechodzimy. Sądzić należy, że trudne, bądź najtrudniejsze dni mogą być jeszcze przed nami...".* I tak było.

Udział w dwudniowym strajku w *„sprawie Narożniaka"* rozczarował załogę Huty „Warszawa": *„czuła się oszukana i jedyną pozytywną stroną tego wydarzenia było to, że już nigdy w następnym okresie huta nie dała się wciągnąć w żadne solidarnościowe strajki".*

Szukano nowych form działania i walki. *„Wydawaliśmy* — pisze J. Trześniewski — *własny biuletyn partyjny, do przekazu informacji wykorzystywaliśmy radiowęzeł zakładowy. Na spotkania do huty w trakcie kampanii przed IX Zjazdem przyjeżdżali towarzysze z kierownictwa partii — tow. Stefan Olszowski, Stanisław Kociołek. Wsparcia udzielali nam towarzysze z klubu „Warszawa 80"... Panowała wtedy swoista walka informacyjno-propagandowa. Do aktywu partyjnego przyjeżdżał B. Poręba i R. Gontarz, „Solidarność" zapraszała A. Wajdę, S Bratkowskiego, Kulerskiego czy p. Moczulską. Na wizyty członków kierownictwa partii odpowiadano wizytami Wałęsy i Kuronia. Z jednej strony powstało ZP „Grunwald", odpowiedziano utworzeniem Komitetu Obrony Uwięzionych za Przekonania. Są to nieliczne przykłady walki o wpływy w hucie...".*

Aktyw partyjny Huty „Warszawa" brał udział w pracach komisji przedzjazdowych. 70 wniosków i postulatów przekazano centralnej komisji zjazdowej i *„większość... znalazła odbicie w dokumentach przyjętych na IX Zjeździe partii".* Uczestniczono w obradach partyjnego forum robotniczego, współdziałano z innymi organizacjami partyjnymi. Natomiast b. „Solidarność" przyjęła *„dziwną rolę misyjną"*, wysłano robotników z huty do obstawy blokady ronda w Warszawie, do *„pomocy"* i *„opieki"* strajku w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarnictwa oraz strajku w Żyrardowie. *„Zdziwienie to wynika* — pisze J. Trześniewski — *że na czele tego związku w hucie stało 2 członków PZPR".*

Po pierwszej turze zjazdu b „Solidarności" walka zaostrzyła się. Przeciął ją stan wojenny. Po wprowadzeniu stanu wojennego do strajku doszło tylko na wydziałach walcowni gorących i przetwórczych, reszta załogi pracowała normalnie.

LUCJAN BOGUSZ

## NA WŁASNY RACHUNEK

# Z czyjej poręki?

Pisze się ostatnio o kolejnej amnestii, która więźniom skazanym z przyczyn pozakryminalnych przyniesie uwolnienie w rozmiarze, jaki przez władzę zostanie uznany za możliwy, ze względu na pokój społeczny i bezpieczeństwo kraju. Jak wiadomo, różne koła polityczne wiążą z amnestią niejednakowe oczekiwania, odmiennie też interpretują sam fakt podjęcia w tej sprawie inicjatywy przez Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego.

Co do tej ostatniej sprawy, to wydaje mi się, iż okoliczność wystąpienia ze wspomnianym wnioskiem do władz państwowych właśnie przez PRON ma jednoznaczną wymowę, którą każdy (po namyśle) mógłby zrozumieć. Nie kto inny przecież, jak PRON ponosił główną odpowiedzialność za przeprowadzenie ostatnich wyborów do Sejmu i opracował uprzednio ich platformę wyborczą, dokonał też pierwszy oceny wyników tego aktu. Ocena była jednoznacznie w opinii PRON pozytywna, komentowała wyniki wyborcze jako wyraz dalszej — nie tak szybkiej, jak by się pragnęło — lecz systematycznej stabilizacji, będącej pochodną wzrastającego poparcia społecznego dla sił sprawujących władzę.

I właśnie z takiej oceny, z poczucia umocnienia się socjalistycznych tendencji politycznych, czerpie w sposób naturalny zachętę myśl o amnestii, gdyż władzę umacniającą się stać na akt amnestii, w przekonaniu, że amnestionowani, którzy z pewnością dużo przeżyli i przemyśleli, zechcą włączyć się do czynnego i lojalnego uczestnictwa w życiu zawodowym i zrezygnują z działań przeciwnych normalizacji życia społeczno-politycznego. Im bowiem mniej zagrożony wydaje się ład społeczny i konstytucyjny porządek, tym większy stawać się może zakres obywatelskich praw i demokratycznych urządzeń, bo taka jest w rzeczywistości dialektyka zachodzących obecnie w Polsce procesów.

Wydaje się to oczywiste i przypominanie o tym zakrawa na „łopatologię", ale propaganda kół opozycyjnych i popierających je ośrodków kapitalistycznego Zachodu, którym stabilizacja życia w Polsce odbiera rację istnienia, odrzucają tę nieubłaganą logikę wzajemnych zależności tj amnestii od sukcesu wyborczego. Jest im to wielce „niewygodne" sprzeczne bowiem z ich absurdalną tezą, że tylko przez wzrost nacisków na władzę można wymusić te czy inne ustępstwa w tym także amnestię.

Takie mechanizmy może i dochodziły do głosu w Polsce Ludowej dawniej, ale z pewnością od IX Zjazdu partii i pamiętnego oświadczenia jej I sekretarza, iż demokracja socjalistyczna nie jest aktem łaski władzy wobec społeczeństwa, lecz uznaną koniecznością, pojawiła się w naszym życiu politycznym na dobre nowa jakość: im większe poparcie społeczeństwa dla porządku konstytucyjnego PRL i pryncypiów socjalistycznego ustroju tym szersze możliwości różnych form uczestnictwa obywateli we wszystkich ogniwach współrządzenia i zakres obywatelskich swobód.

Wydaje mi się, że należy to uwzględniać też w ocenie podejmowanych tu i ówdzie prób szantażu wobec rządu w sprawie amnestii politycznej całkowitej i niezwłocznej, i jak już skomentował to rzecznik rządu Jerzy Urban, czynniki decydujące o przeprowadzeniu amnestii kierują się określonymi racjami politycznymi, owe więc „wstawiennictwo" jakichkolwiek grup i osobistości nie pozostających wobec władz w stosunkach partnerskiego porozumienia, mogą mieć w praktyce charakter wyłącznie propagandowy i stwarzać pozór, iż właśnie tędy droga w sprawach związanych z amnestią.

Co do moralnej oceny podobnych działań nie byłbym jednak identycznego zdania z rzecznikiem rządu, ponieważ dopuszczam u części osób wstawiających się we wspomniany demonstracyjny sposób możliwość występowania znacznego stopnia naiwności politycznej, niezależnej od ich tytułów i cenzusów, do polityki bowiem, jak potwierdzają liczne przykłady, trzeba mieć specjalny zmysł (co nie znaczy, iż nieistotna jest specjalna wiedza) i mimo najwyższych kwalifikacji intelektualnych w dziedzinie naukowej czy artystycznej można być po prostu antytalentem politycznym.

Najważniejsze wszakże, jakie wnioski z okresu swojego przymusowego odosobnienia i obecnego uwolnienia wyciągną dla siebie sami amnestionowani. Czy pojmą, iż nadrzędne dobro kraju i społeczeństwa wymaga od nich przejścia do porządku nad bolesnymi dla nich wspomnieniami? Jednym z wniosków, który się sam narzuca jest i powinno być przekonanie, że na powrót uwolnionych do normalnego życia oczekują z grubsza rzecz biorąc wszyscy, którzy zamanifestowali swoje pozytywne, aktywne stanowisko w wyborach do Sejmu.

Powinni więc zdać sobie sprawę, że nie grozi im osamotnienie. Przeciwnie!

JERZY KWIECIŃSKI

# „Człowiek — Świat — Polityka"

Już po raz dziewiętnasty odbywają się Dni Książki Społeczno-Politycznej „Człowiek — Świat — Polityka". W tym roku patronują im szczególnie doniosłe rocznice: 40-lecie zwycięstwa nad faszyzmem, 40-lecie powrotu Ziem Zachodnich i Północnych do macierzy, 30-lecie podpisania Układu Warszawskiego oraz 80-lecie Rewolucji 1905 roku.

W dniach od 20 do 30 listopada br. na terenie województwa miejskiego łódzkiego odbędzie się ponad 20 spotkań z literatami, dziennikarzami, działaczami społeczno-politycznymi; ponad 40 wykładów, prelekcji, odczytów i pogadanek; blisko setka wystaw, na których będą eksponowane książki, dokumenty i fotografie tematycznie związane z zagadnieniami Dni Książki Społeczno-Politycznej; kilkanaście kiermaszów zarówno w Klubach Międzynarodowej Książki i Prasy „Ruch" jak i w zakładach pracy na terenie całego województwa; kilka konkursów, lekcje biblioteczne. Zostaną wyświetlone także filmy dokumentalne nawiązujące do rocznicy 40-lecia zwycięstwa nad faszyzmem.

Dla miłośników dobrej literatury PP „Dom Książki" będzie miał do zaoferowania sporo, bo aż 47 tytułów książek poświęconych zagadnieniom naszych stosunków z Niemcami, traktujących o religii w ujęciu nauki marksistowskiej (szczególnie polecam pozycję wydaną przez „Książkę i Wiedzę" pt. „Religia i ja" autorstwa T. Kotarbińskiego, L. Infelda i B. Russela), publikacji dotyczących naszych dziejów najnowszych, a także sporo pozycji beletrystycznych.

Zainauguruje Dekadę Książki Społeczno-Politycznej sesja popularnonaukowa pod hasłem „W 80 rocznicę rewolucji 1905 r.", która odbędzie się w gmachu Miejskiej Biblioteki Publicznej im. L. Waryńskiego w dniu 19 listopada br. o godzinie 10.30. W programie przewidziano wystąpienie dr P. Samusia na temat „Ethos polskiego rewolucjonisty na tle wydarzeń rewolucji 1905 roku" oraz dr J. Tyneckiego „Od buntu łódzkiego do rewolucji 1905 r. Wstrząsy rewolucyjne w Łodzi w świetle literatury polskiej". Po sesji zostanie zaprezentowany film J. Dziedziny „Czerwone ciernie".

Tyle informacji, szerzej o Dekadzie za tydzień.

E. IW.

TOMASZ SAS

# Wybór celów

**1.**

Przebieg drugiego posiedzenia **Sejmu w sesji jesiennej nowej kadencji został już dokładnie zrelacjonowany, przeto czuję się zwolniony z konieczności wiernego odtwarzania faktów i ścisłego trzymania się chronologii wydarzeń.**

Zresztą intencją sprawozdawczości parlamentarnej, tak jak ją rozumiem i zamierzam uprawiać ku pożytkowi pisma i jego czytelników, będzie ujawnianie i komentowanie mechanizmów sprawowania władzy przez najwyższy przedstawicielski organ władzy w państwie i inne organy obieralne, nie wyłączając rad narodowych stopnia podstawowego i samorządów. Esencją demokracji nie jest bowiem to, co dzieje się na Wiejskiej, lecz to, z czym mamy do czynienia na co dzień, w najbliższym otoczeniu. A cały, ustanowiony przez Konstytucję, porządek sprawowania władzy służy przecież zapewnieniu maksymalnej zgodności między tym, co w imieniu wszystkich obywateli postanowi Sejm, a tym co rzeczywiście dzieje się w naszym życiu publicznym.

**2.**

Zanim rozpoczęto realizować porządek drugiego posiedzenia, mieliśmy jeszcze „odprysk" pierwszych czynności poselskich — Izba przyjęła ślubowanie nieobecnego 6 listopada posła Mieczysława Tomaszewskiego z okręgu wyborczego nr 31 w Koninie.

Poseł Kazimierz Orzechowski przedstawił następnie sprawozdanie Komisji Mandatowo-Regulaminowej (która zresztą zaraz potem zmieniła nazwę; jest teraz Komisją Regulaminową i Spraw Poselskich) z przebiegu wyborów. Wszystkie czynności związane z wyborami zostały przeprowadzone w sposób prawem przepisany, a mężowie zaufania nie wnieśli ani jednego zastrzeżenia. Natomiast obywatele wnieśli do Sądu Najwyższego 14 protestów — 4 zostały wniesione po upływie terminu, 8 jest pozbawionych podstaw prawnych (w rozumieniu przepisu art. 102 ordynacji wyborczej), pozostałe dwa będą rozpatrzone przez sąd, ale już teraz można powiedzieć, że z ich treści wynika, iż nawet ich uwzględnienie nie będzie miało wpływu na wynik wyborów.

Wybory są więc ważne i nie zachodzi potrzeba przeprowadzenia wyborów ponownych w którymkolwiek okręgu. Na 26 milionów 65 tysięcy 497 uprawnionych do głosowania obywateli w wyborach posłów z list okręgowych wzięło udział 20.554182 osoby czyli 78.86 proc. uprawnionych, a w głosowaniu na listę krajową — 20.498633 obywateli, czyli 78,64 proc. uprawnionych.

Wybraliśmy 460 posłów — 245 to członkowie PZPR, 106 należy do ZSL, 35 do SD, a 74 jest bezpartyjnych. W Sejmie zasiadają 93 kobiety; 199 posłów ma pochodzenie chłopskie, 158 — robotnicze; w ławach poselskich zasiada 106 robotników, 53 rolników i 10 rzemieślników — 103 inżynierów, 49 pracowników nauki, 24 nauczycieli, 19 dziennikarzy, 18 twórców, 15 lekarzy, 10 prawników i 8 wojskowych; 277 posłów ma wykształcenie wyższe, a 24 — podstawowe; 151 posłów pełni jednocześnie funkcje radnych; 362 posłów znalazło się w Sejmie po raz pierwszy, a wśród 98 wybranych ponownie 2 posłowało jeszcze do Krajowej Rady Narodowej i 2 do Sejmu Ustawodawczego; poniżej 25 lat ma 2 posłów, między 40 a 49 rokiem życia jest 152 posłów, od 50 do 59 lat ma 141 posłów, a powyżej 70 lat — 12; 16 posłów to Budowniczowie Polski Ludowej, 66 odznaczono Sztandarem Pracy, 217 — Orderem Odrodzenia Polski, 6 ma Order Virtuti Militari, 6 — Krzyż Gunwaldu, a 340 Krzyże Zasługi...

**3.**

Po stwierdzeniu ważności wyborów Sejm dokonał zmian w regulaminie i powołał stałe komisje. Jest ich 21 (w poprzedniej kadencji, nie licząc komisji nadzwyczajnych, było ich 28) Wszystkich wyliczać nie będę, podam tylko w pracach których uczestniczyć będą posłowie z obu łódzkich okręgów.

W Komisji Administracji, Spraw Wewnętrznych i Wymiaru Sprawiedliwości przewodniczącym został poseł Józef Barecki, a nadto w komisji tej pracować będą Jadwiga Nowakowska i Mieczysław Bandurka. Przewodniczącym Komisji Budownictwa, Gospodarki Przestrzennej, Komunalnej i Mieszkaniowej jest poseł Mieczysław Serwiński, a członkiem tej komisji Paweł Szymański. Członkami Komisji Edukacji Narodowej i Młodzieży są posłowie Mieczysław Bandurka i Jerzy Chojnacki. Posłowie Andrzej Gawłowski, Jerzy Chojnacki i Mieczysław Serwiński pracować będą w Komisji Nauki i Postępu Technicznego. W Komisji Ochrony Środowiska i Zasobów Naturalnych jest posłanka Elżbieta Zakrocka. Posłowie Tadeusz Czechowicz i Bolesław Strużek są członkami Komisji Planu Gospodarczego, Budżetu i Finansów. W Komisji Polityki Społecznej, Zdrowia i Kultury Fizycznej pracować będą posłanki Elżbieta Prusinowska i Elżbieta Zakrocka. Poseł Marek Kabat jest członkiem Komisji Prac Ustawodawczych. W Komisji Przemysłu jest poseł Władysław Janecki. Członkiem Komisji Rolnictwa, Leśnictwa i Gospodarki Żywnościowej jest Bolesław Strużek. W Komisji Spraw Zagranicznych pracować będzie Józef Barecki.

Posłowie z łódzkich okręgów uczestniczyć zatem będą w pracach jedenastu komisji sejmowych, w tym w dwóch jako ich przewodniczący; sześciu posłów — Elżbieta Zakrocka, Józef Barecki, Mieczysław Bandurka, Mieczysław Serwiński, Jerzy Chojnacki i Bolesław Strużek — podjęło się pracy w dwóch komisjach, pozostali będą członkami tylko jednej komisji. Nie ulega wątpliwości, że najuważniej będziemy śledzić i relacjonować efekty współuczestnictwa łódzkich posłów właśnie w pracach wymienionych tu komisji.

**4.**

W czasie przerwy w obradach Izby, przy herbacie w sejmowej restauracji rozmawiałem z posłanką Elżbietą Prusinowską. Tą samą, która — jeszcze jako kandydat na posła — uczestniczyła w dyskusji w naszej redakcji, poddając się konfrontacji z byłym wieloletnim posłem prof. Henrykiem Rafalskim. („Odgłosy" nr 41 — 85.10.12 — „Jak być posłem?").

— Pierwsze wrażenia — **mówi pani Elżbieta** — były bardzo silne. Teraz, po tygodniu, już ochłonęłam i przyzwyczaiłam się nieco. Ale pierwszego dnia czułam się ważna, jakbym odgrywała pierwszorzędną rolę, z jednoczesnym poczuciem niepewności, że biorę na siebie dużo obowiązków. Już trochę poznałam Sejm od środka, nie ginę w tym labiryncie korytarzy i pomieszczeń, dzięki paru bardziej doświadczonym koleżankom...

— **Z druku sejmowego nr 10, zawierającego wniosek Konwentu Seniorów w sprawie składu osobowego i liczbowego komisji sejmowych dowiedziałem się, że wybrała pani Komisję Polityki Społecznej, Zdrowia i Kultury Fizycznej...**

— Mogłam jeszcze wejść do komisji rolnictwa, z racji wykształcenia i miejsca zawodowej pracy, ale wybrałam tę komisję, bo płaszczyzna jej zainteresowań i kompetencji jest najbliższa temu, o czym najczęściej mówiłam podczas spotkań z wyborcami. Zresztą, dzięki pośrednictwu „Odgłosów", ogłosiłam parę założeń mojego osobistego programu, wiążącego się, najogólniej mówiąc, z potrzebą nadrobienia dystansu cywilizacyjnego, dzielącego wieś od miasta. Chcę się tego trzymać w mej pracy poselskiej, jako zobowiązania przede wszystkim wobec kobiet wiejskich. Miałam już spotkanie z prezydium Rady Kobiet przy CZKiOR.

— **A poseł w terenie?**

— Pracy rzucić nie zamierzam, i tak głównie jeździłam po wsiach. Ale z zawodowych obowiązków najchętniej porzucę te biurowe, papierkową robotę. Myślę, że firma nie będzie mi tego miała za złe. Papierów będę miała dość w Sejmie, a z kontaktów z moimi gospodyniami wiejskimi nie mogę zrezygnować. Już zapraszam na spotkanie, takie bardziej oficjalne, w Bratoszewicach na początku grudnia.

**5.**

Centralnym punktem drugiego posiedzenia plenarnego Sejmu było exposé premiera Zbigniewa Messnera. To dla wysłuchania tego pierwszego rządowego oświadczenia ściągnęli dziennikarze z całego kraju. (Zagranicznych, a zwłaszcza zachodnich jest już jakby mniej — ich zresztą bardziej interesują nowe twarze w rządzie i różne personalne spekulacje niż program działania tego rządu). Znów zapełniła się loża dyplomatyczna, a na galerii dla publiczności zasiedli członkowie władz partyjnych i ministrowie byłego rządu — niektórzy w towarzystwie, zapewne swych następców: obok ministra Kukuryki siedzi prezydent Łodzi Józef Niewiadomski...

Zanim jednak premier ogłosił program rządu, Sejm uchwalił swą pierwszą ustawę — o zmianach w organizacji i zakresie działania niektórych naczelnych i centralnych organów administracji państwowej. Istota nowej organizacji rządu polega na zmniejszeniu ilości resortów i urzędów centralnych. Połączono ministerstwo budownictwa z resortem gospodarki komunalnej, leśnictwo z rolnictwem, gospodarkę materiałową z paliwami, kulturę fizyczną i sport z turystyką, ceny przeszły do kompetencji resortu finansów, a sprawy administracji terenowej — do urzędu rady ministrów.

Dzień później, na konferencji prasowej dla dziennikarzy krajowych, premier Messner wyjaśnił, że jest to tylko kolejny etap realizacji reformy tzw. centrum, czyli systemu zarządzania państwem. Nie może rodzić to obaw o nadmierną centralizację i groźną dla samodzielności jednostek gospodarczych koncentrację kompetencji — wprost przeciwnie. Rząd najchętniej przekazałby wszystkie kompetencje decyzyjne w dół! Reforma systemu zarządzania jest w swym postępie uzależniona jednak od poziomu stabilizacji gospodarki. Socjalistyczny rząd musi zapewnić realizację podstawowych celów społecznych, dlatego musi ingerować w samodzielne decyzje gospodarcze przedsiębiorstw tak długo, jak długo nie będą zadowalająco działać mechanizmy samosterujące zaprojektowane w systemie reformy gospodarczej. Ideałem jest, by resorty np. gospodarcze mogły zajmować się polityką przemysłu, a nie ręcznym sterowaniem — dopóki nie jest to możliwe, należy zadbać o kulturę tego „sterowania"...

**6.**

Premier Messner na wspomnianej tu już konferencji prasowej nazwał swój gabinet rządem kontynuacji — kontynuacji dotychczasowej polityki rządu generała Jaruzelskiego, który osiągnął już pewien poziom normalizacji społeczno-ekonomicznej, dający następcom — rządowi ósmego premiera Polski Ludowej — szersze możliwości działania. Możliwości te oparte są nie tylko o dorobek materialny gospodarki państwowej, bo ten nie jest jeszcze — mimo postępów produkcji — zbyt wielki w stosunku do potrzeb społecznych. Oparte są one głównie o osiągnięty poziom stabilizacji politycznej, a przede wszystkim o pewien wypracowany (i już nie do odwrócenia) styl pracy rządu i administracji, polegający na otwartości działań i jawności procesu podejmowania decyzji, na poddawaniu kontroli społecznej coraz większej liczby dziedzin funkcjonowania państwa, na szerokim konsultowaniu, poprzez zasięganie opinii społecznych, nie tylko kwestii bieżących, ale i strategii socjalistycznego państwa.

Premier zapewnił, że ten styl będzie kontynuowany i wzbogacany o dalsze „otwarcia" i konsultacje społeczne. Zachęcił też dziennikarzy do aktywniejszego uczestniczenia w procesie krążenia oraz wzajemnej wymiany informacji i opinii między rządem a obywatelami.

Nie ulega jednak wątpliwości, że nie wszystkie głosy i postulaty opinii społecznej nadają się do uwzględnienia z jednakową mocą. Prawie każde środowisko prezentuje wobec rządu swoje słuszne, uzasadnione i usprawiedliwione postulaty, żądania i racje. Gdyby je wyizolować z całego kontekstu możliwości społeczno-gospodarczych państwa, to każdy byłby równie słuszny i zasługujący na załatwienie. Mamy właśnie do czynienia z nadmiarem celów pozornie równorzędnych i słusznych. Zadaniem rządu jest wybór celów najsłuszniejszych — idzie jednak o to, by nie tylko wybrać, ale i skutecznie wytłumaczyć, dlaczego akurat te, a nie inne cele uzyskały priorytet.

**7.**

Wybór celów został już dokonany. W oświadczeniu rządu premier Messner wymienił pięć zasadniczych kierunków działania, którym będą podporządkowane inne poczynania rządu, od których uzależniony będzie rozwój wszystkich społecznie ważnych dziedzin naszego życia publicznego. Są to:

**Rozwój i modernizacja potencjału wytwórczego, nasilenie procesów strukturalnych zmian w gospodarce.**

**Przyspieszenie postępu naukowo-technicznego i bardziej efektywne jego wykorzystanie w praktyce gospodarowania.**

**Poszerzenie udziału Polski w międzynarodowym podziale pracy, ściślejsza integracja gospodarcza z krajami socjalistycznymi.**

**Zapewnienie równowagi pieniężno-rynkowej.**

**Przestrzeganie reguł reformy gospodarczej i zwiększenie skuteczności działania jej mechanizmów we wszystkich aspektach procesu gospodarowania.**

Zapytany o uzasadnienie tego wyboru podczas konferencji prasowej, premier stwierdził, że koncentracja poczynań rządu na sferze gospodarczej, ma decydujące znaczenie nie tylko dla ekonomiki państwa. Wzrost nakładów na inne cele społeczne — konsumpcję zbiorową i socjalną ochronę gorzej sytuowanych, na kulturę, oświatę, ochronę zdrowia, naukę, zaspokajanie potrzeb ludności i stabilizację rynku — jest uzależniony bezpośrednio od dorobku gospodarki uspołecznionej. Od stanu gospodarki wprost proporcjonalnie zależne są też nastroje społeczne...

**8.**

Nasz przemysł się nieuchronnie i nieodwracalnie starzeje — przez ostatnie lata ze zrozumiałych względów nie mogliśmy poświęcić tyle uwagi unowocześnianiu potencjału wytwórczego, ile należałoby. Dalsza eksploatacja jest już i niemożliwa, i niebezpieczna. Nagromadzone potrzeby i oczekiwania społeczne w dziedzinie spożycia będą musiały ulec — w swej bardziej wysublimowanej warstwie — tymczasowemu odłożeniu. Doraźne zaspokajanie potrzeb konsumpcyjnych może utrwalić złą strukturę gospodarki.

Bez inwestycji dalszy rozwój jest już niemożliwy. Na początek rząd zamierza podjąć szybkorentowne, efektywne modernizacje. Są już określone konkretne 42 zadania, które będą preferowane ze względu na to, że najszybciej dadzą efekty. Wybrano też kilka branż, gdzie postęp musi być najszybszy, a zaangażowanie środków największe — elektronikę, automatyzację procesów produkcji, przemysł nowoczesnych materiałów i tworzyw konstrukcyjnych, sektor rynkowy i eksportowy przemysłu elektromaszynowego.

Nie wystarczy jednak wybrać, co będziemy zmieniać i określić, za ile (środków) możemy to zrobić. Najważniejsze jest, by wiedzieć — jak? Odpowiedź na to pytanie musi dać nauka. Rząd zamierza w przyszłym roku przeznaczyć na tę sferę 2,2 proc. dochodu narodowego (a w 1990 roku — do 3 proc., może więcej, jeżeli uda się wygospodarować nadwyżki). Ale i w tej dziedzinie potrzebna będzie koncentracja środków na wybranych celach, co oczywiście nie oznacza całkowitego ogołocenia budżetów innych gałęzi nauki, ale też i nie wzbudzi nadmiernego entuzjazmu u tych pozbawionych dopływu nowych funduszy. Niestety, innego wyboru nie mamy.

**9.**

Rozwój zdolności eksportowych jest jednym z głównych nurtów przeobrażenia struktury gospodarki. Premier Messner zapowiedział istotną reorientację naszej filozofii międzynarodowego zaangażowania gospodarczego. Koncentrować się będziemy na ściślejszej integracji z systemem gospodarczym krajów socjalistycznych. Jest to kierunek zdecydowanie efektywniejszy i bardziej bezpieczny. Wicepremier Władysław Gwiazda podczas konferencji prasowej wskazał na podstawowe kierunki i cele naszego zaangażowania we współpracy — głównie ze Związkiem Radzieckim. Celem zasadniczym jest zbudowanie drogi do zaopatrzenia surowcowego i umocnienie specjalizacji Polski w wybranych gałęziach czy grupach towarów wewnątrz systemu RWPG. Nasze obroty z ZSRR sięgają kwoty 12 miliardów rubli i do 1990 roku wzrosną o 30 proc. Ale nie chodzi tu tylko o prostą wymianę handlową — niezbędne są wspólne przedsięwzięcia inwestycyjne i udział kapitału ZSRR w budowie niektórych obiektów przemysłowych w Polsce. Mamy 4,8 miliardów rubli zadłużenia i jest to istotne obciążenie naszego bilansu...

W ogóle zresztą nasze długi są podstawową barierą rozwoju. Zrobiliśmy wszystko dla uwiarygodnienia naszego partnerstwa wobec wierzycieli. Jak się wydaje, zachodnie banki komercyjne zrozumiały naszą sytuację i udzielą nam pomocy dla odzyskania swoich wierzytelności. Uregulowane są też kwestie prawne z tzw. Klubem Paryskim, ale ciągle nie ma faktycznego potwierdzenia tych deklaracji, uzależnianego od warunków politycznych. Naszą gospodarkę badali eksperci Międzynarodowego Funduszu Walutowego i mają o niej na ogół niezłe opinie — lepsze niż niektórzy nasi publicyści i opierający swe wyroki o zdanie tychże publicystów zachodni sowietolodzy.

Korzystanie z kredytów nie jest błędem — stwierdził premier Messner. Dobrze ulokowane kredyty na pewno służą nakręcaniu koniunktury gospodarczej. Wicepremier Zbigniew Szałajda stwierdził, że jesteśmy dobrze przygotowani na ewentualne nowe kredyty. Nie ma mowy o zaciąganiu pożyczek na cele konsumpcyjne i zaopatrzeniowe. Opracowane programy dotyczą wyłącznie inwestycji i modernizacji w chemii, przemyśle spożywczym i lekkim przede wszystkim. Ich wspólną cechą jest wyraźna proeksportowość — albo wydatny wzrost, albo zupełnie nowe produkty na eksport. Konkretne propozycje zostały przedstawione przemysłowi RFN i na ogół dobrze przyjęte. Wystąpiliśmy też z ofertami wobec kół gospodarczych Anglii, Japonii i Francji.

**10.**

Na rynku wewnętrznym — wedle zawartego w exposé premiera sformułowania — zbliżamy się do całkowitego zniesienia reglamentacji, w tym reglamentacji mięsa, czego jednak nie należy oczekiwać w najbliższej przyszłości. Jest to zależne od wzrostu produkcji w liczącej się skali i od wyników podjętego w kilku rejonach kraju eksperymentu wolnej sprzedaży mięsa. Wyrażam nadzieję, że eksperyment ten zostanie wykorzystany wyłącznie do zbadania możliwości zaopatrzeniowych, a nie np. tzw. cierpliwości cenowej obywateli...

Nie ulega wszakże wątpliwości, że „cierpliwość" ta, czyli gotowość płacenia wysokich cen może wzrosnąć, gdyż w dalszym ciągu wzrost płac jest zdecydowanie szybszy od wzrostu wydajności. Oczywiście nie dotyczy to emerytów i rencistów, ale dla tej grupy rząd przewiduje dalszą waloryzację świadczeń w przyszłym roku. Istota jednak zachowania równowagi pieniężno-rynkowej leży w powiązaniu płac z wydajnością, we wzroście produkcji towarów rynkowych i elastycznym ruchu cen; odejdzie się od zasady skokowych i wobec tego globalnie znaczących dla rodzinnych budżetów podwyżek cen.

Reforma gospodarcza nie jest ciągle jeszcze wdrażana, ale jest już wdrożona; takie przekonanie wyraził premier podczas konferencji prasowej. Wobec tego nie ma co mówić o rzekomym odwrocie od jej zasad, tylko o czasowych ograniczeniach wynikających z konieczności dyktowanych przez sytuację gospodarczą i powinności socjalistycznego państwa, które nie mogą być jeszcze spełnione poprzez sterowanie normalnymi instrumentami ekonomicznymi.

Rząd przyznaje się do bardzo istotnego odejścia od proklamowanych zasad prawnych reformy — mianowicie w kwestii ulg i preferencji dla przedsiębiorstw i branż. Jest to jednak ważny problem społeczny, nie tylko ekonomiczny. Ale zapowiedź premiera w sejmowym oświadczeniu jest na przyszłość ostra: kredyt — tak, ulgi — nie! A więc koniec z przywilejami dla słabo gospodarujących kolosów, przywilejami wymuszanymi przy pomocy delikatnego szantażu, uwarunkowań społeczno-politycznych...

**11.**

Oczywiście nie wyczerpałem w tym komentarzu wszystkich wątków rządowego exposé i dyskusji nad nim w Sejmie. Rezerwuję sobie przeto prawo powrotu do tej problematyki. Chcę jeszcze tylko zwrócić uwagę na istotną okoliczność realizacyjną tego programu — na nowy rząd mianowicie.

W jego zmniejszonym składzie znalazło się trzech nowych wicepremierów (na pięciu w ogóle) i dziewięciu nowych ministrów (na dwudziestu sześciu). Analiza ich zawodowych karier dostarcza materiału do ciekawych wniosków. Oto jeden z wicepremierów awansował z wiceministra, drugi w ogóle nigdy nie pracował w centralnej administracji — był naukowcem. Wśród nowych ministrów znaleźli się też ludzie, którzy przeskoczyli pewne szczeble tradycyjnej „drabiny służbowej" — dyrektor szpitala, prezydent miasta, dyrektor portu, radca handlowy ambasady, redaktor naczelny młodzieżowego dziennika, sekretarz KW PZPR... Oznacza to, że premier sięgnął po praktyków, głęboko tkwiących w różnych dziedzinach życia. Można zatem oczekiwać, że nowy rząd będzie gabinetem nastawionym na skuteczne rozwiązywanie kwestii praktycznego gospodarowania i zarządzania sprawami kraju.

Mam też prywatną nadzieję, że na wszystkich członków rządu promieniować będzie ogrodnicze doświadczenie wicepremiera prof. Zbigniewa Gertycha, który może oduczy swoich kolegów popełniania błędu ogrodnika — nowicjusza, niecierpliwie wyciągającego z ziemi roślinki, by przekonać się, jak też rosną od korzeni. Otóż mało która roślinka taki zabieg może przetrzymać. Dajcie im rosnąć przynajmniej czas jakiś bez przeszkód...

ze str. 1

Ale jak walczyć z tym marnotrawstwem?

Narady odbywają się i na pewno będą się odbywać również w przyszłości. Wiele z nich jest wręcz niezbędnych dla prawidłowego funkcjonowania zakładu pracy. Problem tkwi w tym, że jest dużo narad niepotrzebnych, nie przygotowanych lub źle zorganizowanych, zbyt długo trwających, za mało efektywnych. Dzieje się tak dlatego, że organizatorzy narad często nie pamiętają o zasadach sprawnego działania. Nie przestrzegają ich w czasie przygotowywania narady, w trakcie jej przebiegu i po zakończeniu.

## CZEGO ŻĄDAĆ OD ORGANIZATORA NARADY?

Jeśli narada ma być zorganizowana zgodnie z zasadami sprawnego działania, to muszą być jasno sformułowane cele, radzenie nie wiadome po co. Dopytywanie się o cel umożliwia znalezienie innego sposobu osiągnięcia go. Jeśli zwoływana jest narada tylko po to, żeby zebrać lub przekazać określone informacje, to najczęściej okazuje się, że szybciej, lepiej i taniej można zebrać lub przekazać informacje innym sposobem, dzięki czemu można by zrezygnować z organizowania wielu narad.

Pytanie o cel umożliwia też trafniejsze określenie osób, które powinny wziąć udział w zebraniu. Często na naradę zaprasza się ludzi o wysokim prestiżu organizacyjnym — dyrektora, kierownika, sekretarza przewodniczącego. Ludzie mający prestiż, nie zawsze mają pogląd na określone, często bardzo specjalistyczne sprawy, nie zawsze posiadają merytoryczną wiedzę na każdy temat. Jeśli więc zdarza się komuś, że uczestniczy w naradzie nie mając zielonego pojęcia o temacie, to jego własna wina, gdyż wcześniej nie zapytał o cel zebrania.

Wreszcie odpowiednio wcześniejsze pytanie o cel przygotowywanej narady może doprowadzić do znacznego zmniejszenia liczby organizowanych spotkań. Przecież wiele narad jest zwoływanych rutynowo, czasami tylko dlatego, żeby w ten sposób zamanifestować swoją aktywność kierowniczą, udowodnić potrzebę własnego istnienia. Nieraz zdarza się słyszeć jak przełożony „organizuje" naradę — wydzwaniając do podwładnych i mówi: — **słuchajcie, w piątek będzie u mnie narada, przygotujcie jakiś temat.** To już jest zwyrodniała postać narady, kiedy zebranie kilku lub kilkunastu ludzi staje się celem samym w sobie, staje się manifestacją obecności i pozornej aktywności. Być może zmniejszyłaby się liczba takich zebrań, gdyby upowszechnił się zwyczaj pytania: **„po co?"**

Na wielu naradach często słyszymy, jak niektórzy chwalą się: — **zorganizowaliśmy naradę na ten temat.** I co gorsza, chwali się za to. A przecież nie jest to powód do chwały, tak jak nie należy szczycić się wydawaniem pieniędzy, tylko tym, co się tanio kupiło. Niestety, częściej mówi się o liczbie narad i ich uczestników, a mniej lub w ogóle o rezultatach spotkań. A więc nie chwalmy innych za to, że zorganizowali naradę, ale uporczywie wypytujmy, co zostało załatwione, wyjaśnione, rozwiązane, uzgodnione, popchnięte, ustalona dzięki jakiejś naradzie.

Na początku warto

## ZAPYTAĆ O SZCZEGÓŁOWY PROGRAM

spotkania i przewidywana nieprzekraczalna godzinę zakończenia, oczywiście jeśli organizatorzy zapomną podać te informacje, a zapominają często. Jeśli celem narady jest przekazanie informacji, można zapytać, dlaczego nie zostały wcześniej przesłane na piśmie. Natomiast jeśli celem narady jest zebranie informacji, obecnych jest 50 osób, a czas trwania 2 godziny, to warto zapytać, w jaki sposób organizatorzy chcą zebrać te informacje od tylu osób w takim czasie? Podobne pytanie można zadać, jeśli na naradę, której celem jest rozwiązanie jakiegoś problemu lub wypracowanie linii postępowania, zapraszają 30—40 osób. Zazwyczaj w takim przypadku najpierw organizator w ciągu godziny charakteryzuje problem, potem zaprasza do dyskusji, w której zwykle występuje 6—7 dyskutantów przemawiając po 15—20 minut. Po 3—4 godzinach wszyscy się rozchodzą a większość tych, którzy nie zdążyli zabrać głosu pozostaje z psychicznym kacem i poczuciem straconego czasu. I sami są sobie winni, jeśli w porę nie zapytali, dlaczego zaproszono tak dużo osób, dlaczego nie ograniczono wypowiedzi do 4—5 minut, dlaczego nie przeprowadzono np. dyskusji wielokrotnej w małych zespołach, co pozwoliłoby zabrać głos wszystkim uczestnikom nawet dość licznych zebrań.

Często przyczyna nikłych lub żadnych rezultatów narad jest brak kontroli merytorycznej treści wypowiedzi. Niestety wielu zabierających głos mówi po prostu nie na temat, tylko dlatego, że należy zaznaczyć swą obecność, dać się zauważyć. Organizatorzy narad rzadko w takich sytuacjach interweniują, dlatego należałoby im przypominać o tym obowiązku.

Często też obserwuje się, że jeśli jest kilkupunktowy porządek, to z reguły na pierwszy i drugi punkt przeznacza się większość czasu, a na resztę już go nie starcza. Dlatego uczestnicy powinni przypominać przewodniczącemu o takim gospodarowaniu czasem, żeby w pełni zrealizować założony program.

## POD KONIEC NARADY

szczególnie jeśli ta miała posłużyć do znalezienia rozwiązania problemu, organizatorzy najczęściej z przymilnym uśmiechem stwierdzają, że bogata dyskusja, duża liczba cennych propozycji, wniosków i postulatów uniemożliwia podsumowanie, ale materiały będą w pełni wykorzystane do dalszego doskonalenia czegoś tam. I co najgorsze uczestnicy narady w tym miejscu mdło uśmiechają się i rozchodzą, mrucząc pod nosem — po co ja tu przyszedłem? I znów sami sobie są winni. Szanując swój czas, nie powinni zgadzać się na brak podsumowania, bo jest to prawie zawsze dowód lenistwa lub braku umiejętności i odpowiedzialności organizatorów. Podsumowanie jest formą prezentacji wyników, do jakich powinno się dojść w trakcie pracy zespołowej. Oczywiście trudno organizatorowi dokonać podsumowania, jeśli nie ustalił celu narady, zebrał przypadkowych ludzi, i pozwolił każdemu gadać, co mu ślina na język przyniosła. Jeśli organizator rzeczywiście nie potrafi dokonać sensownego podsumowania, to należy na nim wymóc określenie terminu, w którym ustalenia narady zostaną przekazane wszystkim jej uczestnikom.

I wreszcie ostatnia sprawa. Po naradzie żądajmy informacji o sposobie wykorzystania materiałów z narady, sprawozdania z realizacji ustaleń.

## BRONISŁAW MUSZYŃSKI

P.S. Niedawno uczestniczyłem w dwudniowej naradzie „na temat". Kiedy na zakończenie drugiego dnia, przewodniczący z przymilnym uśmiechem stwierdził, że dyskusja była bogata, zgłoszono wiele cennych wniosków, dlatego nie czuje się na siłach dokonać podsumowania, ale obiecuje, że wszystkie propozycje, opinie i uwagi będą wykorzystane do dalszego... itd., wstałem i poprosiłem, żeby jednak przewodniczący dokonał podsumowania i postarał się o sformułowanie chociażby kilku zasadniczych ustaleń.

I o dziwo. Wśród zebranych nie znalazłem poparcia. Szkoda czasu. Śpieszymy się na pociąg. Obiad musimy zjeść. Przewodniczący wykorzystał to i powiedział, że z powodu późnej pory (a była 12.40) nie dokona podsumowania teraz, ale w dalszej pracy na roboczo... itd. A ja się uparłem. Mam czas, odjeżdżam późniejszym pociągiem.

Wtedy przewodniczący poddał się. Stwierdził, że dyskusja nie doprowadziła do konkretnych ustaleń, były rozbieżne opinie i propozycje, wiele wypowiedzi nie dotyczyło bezpośrednio tematu narady, wnioski często były nierealne i dlatego nie jest w stanie dokonać podsumowania.

Co w ten sposób zyskałem? Na pewno nie zostanę drugi raz zaproszony na podobną naradę. To niewątpliwy zysk.

A przewodniczący? Być może kiedy będzie znów przewodniczył jakiejś naradzie, staranniej przygotuje się, mniej będzie plotkował za prezydialnym stołem a lepiej będzie kierował merytorycznym tokiem narady, tak, aby osiągnąć cele, dla których spęd został dokonany. Przewodniczący narad muszą wiedzieć, że popełnione błędy nie ujdą im na sucho.

**B. M.**

# Czy narady mogą być pożyteczne?

Ponieważ w naradzie uczestniczą zawsze dwie strony — organizatorzy i uczestnicy, to powinny być określone odrębne cele z punktu widzenia organizatorów i uczestników. Dlatego pierwszą rzeczą, jakiej mogą żądać uczestnicy narady, to wcześniejsze, jasne sprecyzowanie celów spotkania.

Co to jest cel? Nie chodzi tu o jakąś ścisłą, podręcznikową definicję. Najogólniej rzecz biorąc, cel narady powinien być określony w kategoriach wyników — korzyści osiąganych przez jej uczestników.

Narada kosztuje. W tym czasie uczestnicy nie zrobią czegoś innego. Dlatego trzeba określić te korzyści, które organizatorzy pragną osiągnąć z pomocą zebranych. Oczywiście przewidywane korzyści muszą być wyraźnie większe od przewidywanych strat powodowanych uczestniczeniem w naradzie.

Żeby dowiedzieć się o celach zebrania, trzeba organizatorom zadawać pytania: „po co", „dlaczego". Jak dotąd organizatorzy rzadko sobie zadają trud precyzowania celów narad. Powiadamiając nas o naradach, najczęściej informują, że odbędzie się narada na temat lub w sprawie. Temat narady nie jest równoznaczny z jej celem. Jeżeli tematem narady jest np. postęp techniczny, to celem może być np. zebranie informacji o przyczynach hamujących postęp, poszukiwanie możliwości przyśpieszenia postępu, poinformowanie o zasadach finansowania nakładów na postęp i dziesiątki innych lub podobnych celów.

## SFORMUŁOWANIE CELU NARADY

jest niełatwym zadaniem, tym bardziej, że prawie nikt nie ćwiczy tej umiejętności. W zależności od celu mogą być narady informacyjne i problemowe. Na naradach informacyjnych celem powinno być zebranie lub przekazanie określonych informacji. Celem narad problemowych jest poszukiwanie możliwości rozwiązania określonego problemu, znalezienie odpowiedzi na postawione pytanie, wypracowanie wspólnej strategii lub taktyki postępowania w określonej sprawie. Narady mogą mieć też charakter, nazwijmy to, mieszany informacyjno-problemowy. Wtedy oczywiście powinny być odpowiednio sformułowane dwa cele — jakie informacje przekazać (uzyskać) oraz jaki problem rozwiązać.

Pytanie o cel należy zadawać przed naradą. W przeciwnym razie może to być przysłowiowa musztarda po obiedzie. Dowiadywanie się o cel wymaga pewnej odwagi. Narady organizują zazwyczaj nasi przełożeni, uprawnieni do tego, mogący nam zaszkodzić. Pytania rozpoczynające się od zaimków: „po co" i „dlaczego" uważane są za napastliwe i niedyskretne. Większość ludzi nie lubi być podejrzewana o napastliwość i niedyskrecję, dlatego najczęściej nie pytamy o cel narady. Nie chcemy się narażać. Ale też w takim przypadku nie powinniśmy narzekać, że zmarnowaliśmy kilka godzin czasu, bo uczestniczyliśmy w bzdurnej naradzie, której celu nie znaliśmy.

# Był las...

Kiedyś zorganizowano konkurs drwali. W turniejowe szranki stanęli przedstawiciele takich światowych potęg w produkcji drewna jak Stany Zjednoczone, Związek Radziecki, Kanada, Brazylia, Finlandia i Szwecja. Ku zdumieniu wszystkich do konkursu zgłosił się również chudy, niepozorny i zniszczony wiekiem Murzyn. Myślano jednak, że jest to jakiś kawał. Tymczasem okazało się, że ten niepozorny drwal pobił swoimi wynikami, o jakich nikomu się nie śniło, wszystkich najgroźniejszych rywali. Zaczęto więc wypytywać go, gdzie tak dobrze nauczył się swojego fachu. W odpowiedzi, z ust siwiutkiego Murzyna, padły tylko dwa słowa: „Na Saharze". Zdumienie wszystkich nie miało granic. Jak to na Saharze? Na tej pustyni?! Na co, kiwając z zadumą głową, zwycięski drwal odrzekł: „Owszem, teraz jest pustynia, ale kiedyś rosły tam piękne drzewa".

Anegdota o konkursie drwali nie należy do najweselszych. Niemniej jednak trafnie sygnalizuje problem zagrożenia światowych obszarów leśnych, które są przecież jednym z najcenniejszych bogactw naturalnych. Lasy zajmują obecnie na kuli ziemskiej obszar około 4 mld hektarów, tj. około 23 procent lądu. Stanowi to niewiele więcej niż połowę obszaru, jaki zajmowały jeszcze przed 300 laty. Ogołacanie Ziemi z lasów rozpoczęło się bardzo dawno i niestety trwa nadal. W Europie Zachodniej wykarczowano dwie trzecie pierwotnych lasów. W krajach śródziemnomorskich zjawisko to objęło jeszcze większy odsetek gruntów. Lasy Wielkiej Brytanii zajmują obecnie zaledwie 5 procent ogólnej powierzchni kraju. Znaczne obszary na Bliskim i Środkowym Wschodzie, dawniej zasobne w dorodne drzewostany, są obecnie pozbawione ich całkowicie. To samo dotyczy ogromnych połaci Chin, które należą do najbardziej pozbawionych drzew krajów świata. W regionie Morza Karaibskiego pozostały już tylko resztki pierwotnych puszcz. Ostatnio doszła do tego rabunkowa eksploatacja olbrzymich połaci lasów równikowych Amazonii, Konga i Indonezji. Tak powoli las zaczyna zmieniać swoje oblicze, a kto wie, czy wręcz nie ginąć.

Tymczasem wiadomo, że to właśnie lasy odgrywają znaczącą rolę w układach klimatycznych, glebowych oraz w stosunkach wodnych naszej planety. Rozgałęziony system korzeni chroni glebę, zwłaszcza na stromych stokach gór, przed przyspieszoną erozją. Las osłabia działanie wiatrów, które zwiewają wierzchnią warstwę urodzajną. Zabezpiecza także glebę przed nadmiernym spłukaniem jej przez wody opadowe, przed gwałtownym oziębieniem, gorącymi, suchymi wiatrami oraz lotnymi piaskami. Ściółka leśna gromadzi śnieg oraz wodę deszczową i stopniowo oddaje ją strumykom i rzekom, uzupełniając w ten sposób zasoby wód gruntowych. Natomiast likwidacja lasów powoduje obniżenie tychże wód, jak również zabagnienie. Lasy regulują zawartość tlenu i dwutlenku węgla w atmosferze oraz wywierają wpływ na krążenie wody. Stwierdzono, że na obszarach leśnych ilość opadów atmosferycznych jest z reguły wyższa niż na obszarach pozbawionych drzewostanu.

Nic więc dziwnego, że aktualna sytuacja światowych zasobów leśnych zaniepokoiła wiele rządów i organizacji społecznych. Ochrona lasów stała się pilną sprawą narodową i międzynarodową. I tak parlament Szwajcarii jedną ze swoich sesji poświęcił całkowicie problematyce leśnej. Natomiast Organizacja do Spraw Wyżywienia i Rolnictwa (FAO), działająca przy ONZ rok 1985 ogłosiła Międzynarodowym Rokiem Lasu.

## A CO W POLSCE?

Zalesienie Polski w 1980 roku wynosiło 27,6 procent obszaru kraju. Na jednego mieszkańca Polski przypada około 0,24 ha powierzchni leśnej. Dominują lasy iglaste. Według danych Lasów Państwowych w 1979 roku gatunki iglaste zajmowały 79,6 procent całej powierzchni leśnej. Twierdzi się, że Polska jest krajem sosny. Ale czy na długo? Lasy polskie są bowiem poważnie zagrożone, a z nimi i nasza tradycyjna sosna.

Sytuacja polskich lasów jest wręcz katastrofalna. W niektórych regionach, na przykład w Karkonoszach czy Górach Izerskich ogłoszono nawet stan klęski ekologicznej. W rejonach północnych i zachodnich Polski atak brudnicy mniszki, silne wiatry i obfite opady śniegu stały się przyczyną, postępującego w bardzo szybkim tempie, procesu niszczenia zdrowego i dorodnego drzewostanu. Poważnie są zagrożone: jodła, świerk, dąb i nawet sosna. Leśnicy martwią się, czy w przyszłości gatunkom tym nie grozi całkowita zagłada.

## CO ZAGRAŻA LASOM?

Wrogiem nr 1 jest człowiek, zachłanny na rozprzestrzenianie swojego stanu posiadania, bez skrupułów łamiący prawa natury. W związku z uprzemysłowieniem i industrializacją ciągle wzrasta szkodliwy wpływ emisji przemysłowych i ogarnia coraz większe powierzchnie leśne. Niestety, przemysł polski jeszcze niezbyt gorliwie dba o elektrofiltry i pochłaniacze gazów oraz pyłów, co automatycznie odbija się na ekologicznym stanie lasów. Sukcesywnie zwiększa się powierzchnia leśna przeznaczona na cele wyższej użyteczności społecznej (tj. budowę obiektów przemysłowych, urbanizację, budowę nowych dróg, linii wysokiego napięcia i inne). I w imię wyższych racji bezpowrotnie wycinamy tysiące hektarów zdrowego, wysokopiennego lasu, tak jak to było chociażby w przypadku Zalewu Sulejowskiego czy Bełchatowa.

Charakterystyczną cechą współczesnej cywilizacji jest masowa turystyka. Od kilku lat zjawisko to obserwujemy również w Polsce co wynika z dynamicznego uprzemysłowienia, nasilenia procesów urbanizacji, wzrostu stopy życiowej i szybkiego postępu motoryzacji. I pojawił się nam polski pseudo-turysta o „wysokiej kulturze cywilizacji", który wjeżdża do lasu samochodem z ryczącym na cały regulator magnetofonem, radiem, a nawet telewizorem i urządza na łonie natury alkoholowe pikniki, paląc bezmyślnie ogniska i pozostawiając po sobie śmietnik. Nierzadko niedopałek papierosa, rzucony gdziekolwiek przez takiego „miłośnika" przyrody, staje się przyczyną pożaru, niosącego zagładę wielu tysiącom hektarów drzewostanu.

Las jest dla wszystkich otwarty. Tylko około 25 procent lasów objęte jest całorocznym zakazem wstępu. Dotyczy to upraw leśnych, młodników, leśnych powierzchni doświadczalnych, ostoi zwierzyny, gruntów ulegających procesom erozji. Ponadto okresowym zakazem wstępu objęte jest około 14 procent ogólnej powierzchni leśnej tj. drzewostany narażone na pożary, drzewostany żywicowe i takie, w których zwalczane są metodą chemiczną szkodliwe owady i grzyby.

Każdego roku na terenach leśnych urządzanych jest kilkaset nowych obiektów turystyczno-wypoczynkowych, takich jak parkingi, pola biwakowe, tereny masowego wypoczynku. Szkoda tylko, że wielu z nas nie potrafi z tego skorzystać, ale za to doskonale potrafi niszczyć.

Las atakowany jest również przez samą naturę. Olbrzymi wpływ na jego stan sanitarny mają klęski żywiołowe: huragany i zamiecie śnieżne, powodujące znaczne szkody w drzewostanie. Obszarom leśnym dokuczają też okresowe susze i ciężkie mroźne zimy. Nie należy również zapominać o istnieniu szkodników (owadów i grzybów), które zawsze cierpliwie czekają na sprzyjające warunki do ataku na las.

## STAN ŁÓDZKICH LASÓW

Pojęcie „łódzkie lasy" obejmuje swoim zasięgiem lasy pięciu województw: łódzkiego, piotrkowskiego, sieradzkiego, skierniewickiego i płockiego. Obszar ten znajduje się pod opieką Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych w Łodzi i wynosi łącznie około 275 tys. hektarów lasów państwowych oraz około 125 tys. hektarów lasów niepaństwowych. Obszary centralnej Polski nie mają możliwości powiększenia terenów leśnych, gdy tymczasem obecność lasów jest tu bardzo potrzebna. Została bowiem zachwiana proporcja między wielkością i rozmieszczeniem pól uprawnych a powierzchniami lasów i innych elementów krajobrazu. Tym samym zostały naruszone stosunki biologiczne w środowisku. I tak ziemie centralne mają najniższy wskaźnik opadów atmosferycznych w Polsce. Opadają wody gruntowe. Ziemia stepowieje. Obszar lasów przypadający na jednego mieszkańca centralnej Polski kształtuje się poniżej, i tak niskiej, średniej krajowej i wynosi około 0,17 ha.

Łódzka aglomeracja przemysłowa działa na najbliższe lasy szkodliwymi emisjami przemysłowymi, głównie tlenkami siarki. Jest też Płock z „Petrochemią", Tomaszów Mazowiecki z „Wistomem", Piotrków Trybunalski, Działoszyn i Bełchatów. Ostatnio stwierdzono, że 6 tysięcy hektarów jest pod szkodliwym wpływem Bełchatowa. Łącznie na terenie całego Zarządu Łódzkiego bezpośrednio zagrożonych przez przemysł jest 26 tysięcy hektarów drzewostanu. Na dodatek obserwuje się proces bezpowrotnego wyrębu lasów centralnej Polski. Zalew Sulejowski pochłonął 1200 ha zdrowego lasu, Bełchatów — ponad drugi tysiąc. Swoje zrobił też zalew w Jeziorsku na Warcie. Łącznie wszystkie inwestycje i budowy im towarzyszące zabrały nam około 5 tysięcy ha zdrowego lasu, który nigdzie nie jest uzupełniany. Leśnicy uważają, że należałoby całkowicie wstrzymać w centralnej Polsce wyręb na rzecz inwestycji, gdyż dalsze jego prowadzenie może doprowadzić do katastrofy ekologicznej.

Największy wysiłek Okręgowego Zarządu był i jest nadal kierowany na zagospodarowanie i ochronę lasu. Chodzi o utrzymanie dobrego stanu sanitarnego lasu, który jest poważnie zagrożony przez szkodniki, na skutek różnego rodzaju klęsk, które nawiedziły tutejsze lasy.

Prowadzi się walkę z szkodnikami za pomocą środków chemicznych. W latach 1978—82 na terenie woj. płockiego leśnicy walczyli z brudnicą mniszką. Obecnie zwalcza się borecznik sosnowy, który na terenie nadleśnictwa Złoczew zaatakował 3 ha drzewostanu. Likwidując suche gałęzie i uschnięte drzewa chroni się las przed działaniem szkodników.

**EWA LACHOWSKA**

# „Shoah" — czyli obsesje Claude Lanzmanna

ZENON JANUSZ MICHALSKI

No i mamy już za sobą projekcję „Shoah" — filmu, którego zapowiedź — przyznaję to — przyjąłem początkowo zdecydowanie niechętnie i to z dwóch powodów. Po drugie, że trzeba będzie zapłacić z polskiej niezbyt zasobnej sakiewki za negatywny, żeby nie powiedzieć wrogi stosunek do narodu polskiego, a więc do nas wszystkich. Po pierwsze natomiast — i najważniejsze — byłem pełen obaw, że film chociaż kłamliwy, ale być może sugestywnie zrobiony, wywrze ujemny wpływ na najmniej intelektualnie i obywatelsko wyrobioną część oglądających.

Nie miałem racji. To co zobaczyliśmy na szklanym ekranie wywołało reakcję ani przez Claude Lanzmanna, ani też przez tych, którzy za nim stali nie przewidzianą. Od pewnego czasu — jak wiadomo — siły Polsce niechętne usiłują skłócić polskie społeczeństwo. Claude Lanzmann, chociaż niewątpliwie tego nie pragnął przyczynił się do jego konsolidacji. Przeciwko fałszerzowi historii złączył się w proteście i potępieniu cały naród. Marksiści i katolicy — rzecz ujmując światopoglądowo, zwolennicy socjalizmu w Polsce i jego przeciwnicy — operując kryteriami politycznymi, wszyscy oni jednakowo traktują próbę gigantycznego szachrajstwa.

## CZY RZECZYWIŚCIE DOKUMENT?

W czołówce „Shoah" zapisano — film dokumentalny. Niechaj zaprotestują fachowcy jeżeli nie mam racji, ale dla mnie film dokumentalny to taki, który przedstawia jakiś fragment rzeczywistości, w której żyjemy, lub przywraca pamięć o czasach przeszłych. Oczywiście każdy twórca na swój sposób interpretuje przedstawiane fakty i zjawiska, ale istnieją pewne granice subiektywizmu, po przekroczeniu których film przestaje być dokumentalny, a staje się fabułą dla określonych celów imitującą dokument.

„Shoah" to taka właśnie fabuła — notabene kiepski film fabularny, czym akurat my martwić się nie powinniśmy. W czołówce „Shoah" zapisano — film dokumentalny. Miał to być dokument polskiej kolaboracji z hitleryzmem, dokument polskiej aprobaty dla masowej eksterminacji ludności żydowskiej. Miał potwierdzić łajdacką tezę, że lokalizacja obozów zagłady na ziemiach polskich wynikała z akceptującej postawy Polaków. A nie przyszło do głowy Claude Lanzmannowi, że lokalizacja obozów gdzie indziej — na przykład na ziemi francuskiej — nie miałaby uzasadnienia, bo to przecież nie Francuzi głównie zapełniali te obozy. Niechaj mi darują słowa prawdy wszyscy uczciwi Francuzi, w tym i moi serdeczni przyjaciele. Ale też niech nie próbują tłumaczyć, że to jednostkowa sprawa Claude Lanzmanna. Film „Shoah" firmuje przecież — tak zrozumiałem czołówkę — francuskie Ministerstwo Kultury, a sam prezydent Republiki uczestniczył w uroczystej premierze.

Ejże, panowie! A jakim to prawem wy właśnie chcecie zarzucać innym kolaborowanie. Rzeczywiście różnimy się chociażby tym, że nam nazwa Vichy kojarzy się z musującymi tabletkami, a wam...?

Postanowił Claude Lanzmann udowodnić, że społeczeństwo polskie aprobowało hitlerowski program zagłady Żydów. Postanowił także uzyskać odpowiedź na pytanie, jakie były przyczyny tej aprobaty.

Claude Lanzmann nie jest głupcem. On dobrze wie, jak było naprawdę, ale jeszcze lepiej wie, za jaki obraz Polski i Polaków może dostać duże pieniądze. I tak powstaje — zadząc po produkcie finalnym, czyli filmie — scenariusz o gdzieś tam w Europie żyjącym, zacofanym polskim społeczeństwie. Pojawiają się w scenariuszowym zapisie prymitywni Polacy, ludzie o wyjątkowo niskim poziomie intelektualnym, ludzie w których ktoś musiał zaszczepić i rozwinąć antysemityzm. Czy w Polsce są tylko tacy? Pojawia się wreszcie i sprawca — Kościół katolicki z całym swoim bogatym obrządkiem kształtującym osobowość wiernych. I z uporem powraca to jakże potrzebne Lanzmannowi zdanie: *„...krew Jego na was i na dzieci wasze..."*.

## ZNALEŹĆ JUDASZA

Claude Lanzmann to cwaniak, ale jednocześnie, bo jedno drugiemu jak wiadomo nie przeszkadza — inteligentny człowiek. Dobrze zdawał sobie sprawę z tego, że będzie mu trudno na polskiej ziemi znaleźć Judasza za franki opluwającego swój naród. Szukał więc tam, gdzie sojusznika mógł znaleźć nie w zdradzie ale po prostu w głupocie czy w bardzo niskim poziomie świadomości, no i w końcu znalazł. Brzuchaty imbecyl o posturze neandertalczyka, wodząc palcem po gardle śmiał się serdecznie tym prostym śmiechem człowieka rozumiejącego tyle, ile ogarnia jego intelekt, to znaczy nic. Przypiął się do niego Lanzmann w stylu sędziego świętej inkwizycji, czyhającego na najmniejsze nawet potknięcie przesłuchiwanego. Myślę zresztą, że wyjątkowo odrażające w tym filmie było natręctwo w zdawaniu prowokacyjnych pytań i wyciąganie słów, które można było po swojemu interpretować. Lanzmann, jak kiedyś ci z Inkwizycji, wyraźnie nie zakładał, że dowie się czegoś co poszerzy jego wiedzę w danym przedmiocie. Każdy przepytywany miał tylko potwierdzić a priori spreparowaną tezę, że Polacy są współwinni martyrologii narodu żydowskiego.

A tak nawiasem mówiąc Claude Lanzmann nie zna chyba zbyt dobrze realiów życia na ziemiach polskich pod okupacją hitlerowską. Gdyby znał, nie umieściłby w swym filmie tego ckliwego opowiadania o żydowskim więźniu — chłopcu, który umilał esesmanom czas śpiewaniem żydowskich piosenek, a ci w rewanżu uczyli go niemieckich pieśni. Gdyby opowiadał to jeden z esesmańskich strażników obozowych, który chciałby zatrzeć w ludzkiej pamięci obraz nieludzkości tamtych czasów, mógłbym to zrozumieć, ale Lanzmann...?

Nie zdobył Claude Lanzmann od ludzi, z którymi rozmawiał zbyt wielu materiałów dla potwierdzenia swojej tezy. Ludzie prości, intelektualnie o wiele niżej stojący od swego rozmówcy mieli w sobie to, czego nie uwzględniał w rozumowaniu. Mieli pamięć i godność. Jedni mówili o swych dawnych współmieszkańcach — Żydach ciepło i z sympatią, inni obojętnie, inni jeszcze z pewną niechęcią, ale przecież nawet ten najmniej przyjaźnie do Żydów nastawiony stwierdził, że gdyby sami wyjechali z Polski to byłoby dobrze, ale wyniszczenie ich stanowiło wielką zbrodnię. Poglądy rozmówców nie znajdowały zrozumienia u Claude Lanzmanna. Stał obok nich czujny, spięty, drapieżny i pewny siebie, że oto za chwilę ujawni się jeszcze jeden antysemita lub na antysemitów wskaże.

Antysemityzm w Polsce połowy lat 80-tych, to taka sama prawda jak ten obraz Polski, który C. Lanzmann w swym filmie przedstawił. Gdyby natomiast zastanawiać się nad przesłankami ewentualnego odradzania się antysemityzmu, to bez wątpienia wskazać by trzeba na takich ludzi jak Lanzmann i na takie zjawiska jak jego twórczość. A może zresztą o to właśnie chodziło, zdarzało się przecież, że syjonistom bardzo na rękę był antysemityzm.

## O CO PRETENSJE?

Siadając do oglądania „Shoah" sądziłem w oparciu o zasłyszane opinie, że mam przed sobą film szkalujący Polaków jako antysemitów, nawet w obliczu zagłady żydowskiego narodu. Wstawałem w nastroju odmiennym, z większą jednak liczbą znaków zapytania. Uważam, że pretensje do Claude Lanzmanna trzeba mieć za to przede wszystkim, że chciał przedstawić nas w roli kibiców zbrodni. Twierdzę, że chciał, ale nie przedstawił, bo tak jak istnieją granice wszystkiego, tak i istnieją granice fałszowania historii. Lanzmann nie jest pierwszym i na pewno nie jest też ostatnim, któremu nie udało się znaleźć Polaków gotowych uwłaczać czci swojego narodu. Reżyser Lanzmann nie spełnił więc zadania, które przed sobą postawił, czy też które przed nim postawiono.

Pretensje do Claude Lanzmanna trzeba mieć także za to, że pokazuje Polskę i Polaków jako osiemnastowieczny rezerwat w sercu Europy. Prowadził przecież swoje rozmowy w Polsce na przełomie lat 70-tych i 80-tych, a film pokazuje wyłącznie kurze chaty, rozlatujące się konne wozy i prymitywnych zaniedbanych ludzi. W Polsce wywołać to może tylko oburzenie czy wręcz śmiech, ale za granicą określone koła przy pomocy takich właśnie filmów próbują kształtować poglądy na polskie sprawy.

Ale pretensje największe, oburzenie i gniew budzi fakt, iż Claude Lanzmann w swoim obsesyjnym dążeniu do fałszowania przeszłości sięga do świadków przedziwnych. Hitlerowscy oprawcy, dzisiaj podtatusiali panowie cynicznie stwierdzają, a film ten pogląd upowszechnia, że Polacy wiedzieli. Przepraszam za określenie, ale przywoływanie oprawców by świadczyli przeciw swoim ofiarom, bo taka była relacja między Niemcami a Polakami w tamtych czasach, to już pełna paranoja.

Pokazowi „Shoah" towarzyszyła dyskusja. O różnych sprawach, nawet o przebaczeniu. Osobiście uważam, że o przebaczeniu można mówić wyłącznie w stosunku do niektórych — ogólnie mówiąc — nieprzemyślanych wypowiedzi. Ci, którzy siedzieli przed telewizorami wiedzą o co i o kogo chodzi, ci co nie oglądali — nie muszą wiedzieć.

## PODSUMOWUJĄC

Podsumowanie będzie krótkie. Rzecz rozważając w kategoriach artystycznych — jawi się miernota. W etycznych — nieuczciwość. W obyczajowych — cwaniactwo pospolite, a w politycznych — prowokacja.

ANTONI GALIŃSKI

# Żołnierze Wehrmachtu strzelali do osadników niemieckich

Z ziemie dawnego województwa łódzkiego zajmują pod względem ilości egzekucji dokonanych przez żołnierzy Wehrmachtu we wrześniu 1939 roku, pierwsze miejsce w skali ogólnokrajowej, pod względem liczby zabitych miejsce drugie. Zamordowano w tym czasie na terenie łódzkiego co najmniej 2555 osób, w tym znajdowało się 241 dzieci i młodzieży do lat 18 (13 proc.), 257 kobiet (10 proc.) oraz 211 mężczyzn powyżej 60 lat (11 proc.).

Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Łodzi od lat prowadzi śledztwa i prace badawczo-naukowe dotyczące zbrodni Wehrmachtu. W wyniku tych prac udało się zidentyfikować większość ofiar zbrodni, częściowo okoliczności tych zbrodni, jak również przypisać je określonym jednostkom Wehrmachtu. W sprawach tych ustalenie osoby bądź osób odpowiedzialnych za zbrodnie jest prawie niemożliwe.

Najczęściej występującymi motywami zbrodni dokonanych we wrześniu 1939 r. były — na omawianym terenie — odwet za niepowodzenia poniesione w walce, strach przed Polakami jak również dążenie do sterroryzowania ludności i złamania jakiegokolwiek oporu. Na potwierdzenie wniosku, że żołnierze Wehrmachtu bali się Polaków, można przytoczyć dziesiątki faktów strzelania do mężczyzn, którzy trzymali ręce w kieszeni, gorączkowego szukania przy nich ostrych narzędzi, strzelanie do tych, którzy zbyt powolnie podnosili ręce do góry, bezpodstawne obrzucanie budynków granatami, strzelanie do kobiet, a nawet dzieci gdy próbowali się ukryć, itp.

Wśród osób zamordowanych przez żołnierzy niemieckich w Łódzkiem jest kilkudziesięciu obywateli polskich narodowości niemieckiej. W tym 9 zamordowano w gminie Niewiesz, 2 w gminie Dobroń, 1 w gminie Marianska. Nadto kilkunastu zginęło w trakcie bombardowania kolumn uciekinierów na drogach do Warszawy.

Ograniczę się jedynie do faktów zbrodni, jakie miały miejsce w dniach 6—7 września 1939 r. w Balinie i Grocholicach w byłym powiecie Poddębice, obecnie woj. sieradzkie. Fakty te są ściśle związane ze stratami poniesionymi przez oddziały niemieckie w starciach z 25 Kaliską Dywizją Piechoty w okolicach Uniejowa i Niewiesza. Zwłaszcza zaś, z rozbiciem w dniu 7 września przez 3 kompanię z 60 pułku piechoty tejże dywizji, dowodzoną przez kpt. Bolesława Majewskiego, kompanii cyklistów z 30 Dywizji Piechoty Wehrmachtu. W wyniku ataku na bagnety, przeprowadzonego przez pluton odwodowy 3 kompanii. Niemcy stracili około 80 poległych i znaczne ilości sprzętu.

W odwet za tę porażkę wymordowano kilkuset mieszkańców gminy Niewiesz oraz miasta i gminy Uniejów, jak również uciekinierów z kaliskiego, tureckiego i sieradzkiego, schwytanych na tym terenie. Nadto spalono kilka miejscowości w tym całkowicie wsie: Balin, Dominikowice i Grocholice.

W tym samym mniej więcej czasie, gdy miała miejsce wspomniana bitwa, Niemcy wyparli żołnierzy 4 i 5 kompanii 60 pułku piechoty ze wsi Balin. W zabudowaniach tejże wsi ukrywało się wielu mieszkańców i uciekinierów, którzy nie zdążyli zbiec z terenu objętego działaniami zbrojnymi. Wkraczając do wsi żołnierze niemieccy strzelali bez jakiegokolwiek uzasadnienia, do każdej osoby. Zginęło co najmniej 17 osób w tym 8 miejscowych Niemców. I tak:

Olga Firus ur. 13 II 1886 r. w Balinie zamieszkała w Dominikowicach została zastrzelona wraz ze swym psem wilczurem, w chwili, gdy podnosiła rękę pozdrawiając żołnierzy w języku niemieckim;

Reinhold Fiszer ur. 31 XII 1899 r. w Balinie, miejscowy piekarz, został zastrzelony wraz z sołtysem wsi Balin — Antonim Jaraszkiewiczem, w chwili, gdy udawali się do sąsiada Feliksa Pietruchy;

Ferdynand Fiszer, ur. 30 XI 1859 r. w Balinie, rolnik, zginął gdyż odważył się prosić, aby nie podpalano jego zabudowań, zwłoki wrzucono do palącej się stodoły, gdzie uległy zwęgleniu;

Juliusz Lechelt ur. 19 III 1876 r. w Józefowie został zakłuty bagnetem na łące obok Balina, jego żona Julianna Lechelt ur. 24 II 1868 r. w Leśnikach, przerażona tym, co czynią żołnierze niemieccy ukryła się w betonowych kręgach mostu łączącego drogę z polem, ale została tam zauważona przez jednego z żołnierzy, który wrzucił do wewnątrz granat;

Młynarz z Bronowa Waldemar Eichler, ur. 21 VI 1902 r został zastrzelony na polu, w czasie, gdy jechał po słomę aby przygotować nocleg dla żołnierzy niemieckich;

Max Lechelt, ur. 9 XII 1903 r. w Balinie został zastrzelony w Felicjanowie na szosie prowadzącej do Uniejowa.

Nie udało się ustalić dotychczas okoliczności śmierci w dniu 7 września 1939 r. Ludwiga Lehmanna ur. 1.IX.1912 r.

Żołnierze niemieccy zamordowali również Oswalda Lehmanna (brata Ludwiga) ur. 1 II 1902 r. w Balinie. Ukrył się on podczas działań zbrojnych w Grocholicach, w murowanej piwnicy pod stodołą należącą do Józefa Pełczyńskiego. W piwnicy tej przebywały nadto dalsze 3 osoby z rodziny Lehmannów oraz kilka osób z rodziny Józefa i Zygmunta Pełczyńskich. Nad ranem 7 września 1939 r. Niemcy podpalili budynek, pod którym była piwnica. W obawie uduszenia zgromadzeni tam postanowili opuścić pomieszczenie. Najpierw wychodziły kobiety i dzieci, potem mężczyźni. Bezzwłocznie po wyjściu z piwnicy mężczyzn i chłopców odprowadzono w kierunku szosy Uniejów — Poddębice. Wśród nich byli Oswald Lehmann oraz Józef i Zygmunt Pełczyńscy. Nadto 11-letni Roman i 13-letni Konstanty, synowie Józefa Pełczyńskiego. Zygmunt Pełczyński niósł na ręce 3-letniego synka.

Po drodze do grupy tej dołączono Kazimierza Przytułę, Władysława Tarnowskiego i Stanisława Tomasika mieszkańców wsi Sempułki. Po przejściu szosy zatrzymano prowadzonych na łące, gdzie stał samochód terenowy, a w nim siedział oficer Wehrmachtu. Jeden z żołnierzy eskorty złożył raport, po wysłuchaniu którego oficer wyskoczył z samochodu z pistoletem w dłoni i zastrzelił przyprowadzonych mężczyzn. Odbyło się to wszystko na oczach braci Pełczyńskich. Przed oddaniem strzału do Zygmunta Pełczyńskiego rozkazano mu postawić synka na ziemi. Dziecko — według zeznań ojca — który przeżył egzekucję, trzymało go za nogi zanosząc się od płaczu. Oswald Lehmann zginął od pierwszego strzału.

Większość zamordowanych została pochowana na katolickim cmentarzu w Niewieszu, pozostali na cmentarzu ewangelickim w Leśniku. Na terenie tym, w dniu, kiedy dokonano zbrodni, działały jednostki 30 Dywizji Piechoty, dowodzonej przez gen. mjr Kurta von Briesena. Szefem sztabu tej dywizji był ppłk von Le Suire. Oni więc i podlegli im żołnierze są odpowiedzialni za zbrodnie popełnione na Niemcach i Polakach w Balinie, Grocholicach i Felicjanowie.

Fakt zamordowania aż 8 Niemców przez żołnierzy hitlerowskich nie mógł być pominięty milczeniem przez władze okupacyjne. Znaleziono wyjście, które było bardzo przydatne z punktu widzenia propagandowego. W maju 1941 r., na polecenie władzy policyjnej z Niewiesza, wówczas pow. Turek (Der Ortspolizeiböherde in Niewiesch Kreis Turek) niejaki F. Guderian, w zastępstwie urzędnika stanu cywilnego w Niewieszu, sporządził akty zgonu dla wszystkich zamordowanych Niemców. Jako datę znalezienia zwłok podał wszędzie 7 IX 1939 r., zaznaczając jednocześnie, że nie udało się stwierdzić daty i godziny zgonu. Wszędzie również, w rubryce przyczyna zgonu (Todesursache), podano — zamordowany przez Polaków (Von Polen ermordet).

Jest to jeszcze jeden ewidentny przykład na to, w jaki sposób powstała historia o polskich zbrodniach na Niemcach.

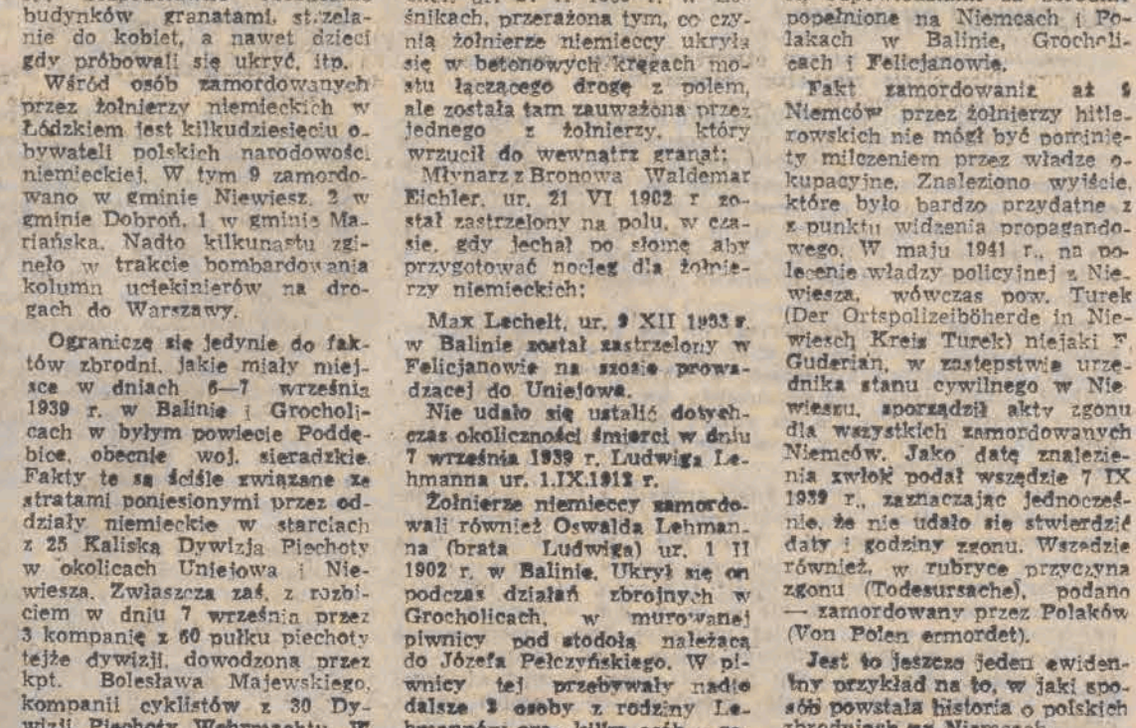

*Zbombardowany dworzec kolejowy w Kutnie.*

# A jak przyjdą wakacje, to się przebieram...

ROMAN KUBIAK

## PRZEZ DZIESIĘĆ MIESIĘCY W ROKU

noszę jasną koszulę i spodnie odprasowane w kancik. Pierwszego staję w kolejce do kasy po moje dwanaście tysięcy z groszami. Jestem „profesorem" — tak zwracają się do mnie licealiści, których uczę co dobre, a co złe, co wypada, a czego nie należy robić. Potem nadchodzi lato i długie wakacje.

Błogosławione dwa miesiące urlopu, które bardzo wielu jeszcze trzymają w tym zawodzie. Mnie też. Więc kiedy nastają wakacje, zdejmuję ten profesorski strój, wyciągam flanelową koszulę, drelichowe portki, zawijam rękawy i najmuję się do roboty. Ciężkiej fizycznej roboty. Ostatniego dnia miesiąca staję przed portfelem mojego wakacyjnego szefa: majstra, murarza, badylarza — wszystko jedno, po czterdzieści, pięćdziesiąt tysięcy z groszami.

## WSTAJE SŁOŃCE

W miasteczku rządzi jeszcze cisza, wczasowicze śpią. Tylko dostawcze żuki wolno wytaczają się na asfalt, biorą kurs na mleczarnię, piekarnię, na odległe targowisko, gdzie czekają warzywa dla „letników". W pensjonatach i wypoczynkowych domach terkocą budziki, kucharki niemrawo przecierają oczy. Czas wstawać do pracy — żeby spać mógł ktoś... Przed bramą różowej willi zatrzymał się rozklekotany traktor ciągnący odrapany asenizacyjny zbiornik. Trzech ludzi w waciakach, drelichowych spodniach i wywinietych gumiakach zeskakuje na pobocze drogi. W oknie willi pojawia się twarz gospodarza. Po chwili mężczyzna śpiesznie otwiera żelazną bramę.

— Dobrze, że jesteście panowie — nie ukrywa zadowolenia. — Już od dwóch dni proszę gości, żeby nie nadużywali wody, bo szambo przepełnione. Zaczynajcie — jeśli łaska — dodaje po chwili to swoje „jeśli łaska", żeby broń Boże nie urazić tych trzech. Bo oni są tutaj bardzo ważni, bardzo niezbędni. I wiedzą o tym. Trzech „szambonurków" — jak mówią o nich wyperfumowani wczasowicze.

— Panowie, tylko proszę możliwie cicho, żeby nie obudzić moich gości — życzy sobie gospodarz i wtyka coś do ręki Pierwszego w gumiakach.

— I pewnie tak, żeby nie śmierdziało... — Krzywi się Pierwszy, chowając to coś do kieszeni portek.

— Jeśli to możliwe...

Pierwszy mruga do Drugiego, ten wskakuje za kierownicę ciągnika i wtacza beczkę na betonowe podwórze. Pierwszy i Trzeci montują grube węże. Warczy motor.

— Profesor, sypnij chlorem — Drugi poleca Trzeciemu.

Ten Trzeci, mimo parodniowego zarostu na policzkach, nie wygląda tak jak dwaj jego kumple. Szczupły, w drucianych okularach... Posłusznie wypełnia polecenie Drugiego.

— Jeszcze Profesor, jeszcze, żeby państwu nie zwiędły nosy...

Ciężki zbiornik rusza w kierunku asfaltowej drogi. Gospodarz zaciera łapki.

— Stokrotne dzięki, panowie. Polecam się szanownej pamięci — znowu wtyka coś Pierwszemu.

— Widzisz Profesor — mówi Pierwszy — to jest szacunek dla człowieka pracy.

## MYŚLISZ, ŻE TO WSTYD?

Wstyd, że ja, wykształcony nauczyciel imam się takich prac? Ja tak nie myślę. Pewnie, że jest mi głupio, może nawet przykro, kiedy ludzie mijają mnie odwracając głowy. Bo jestem takim brudnym, wstrętnym robolem — tak mówią. Ale popatrz, nikt dzisiaj nie wskazuje palcem na takich jak ja, nie mówi swoim dzieciom: ucz się Janek, bo jak nie będziesz chciał się uczyć, to zostaniesz robolem. Nie te czasy... Dzisiaj ludzie mijają nas i szepcą o tym, jaki to szmal wpada w te nasze brudne łapy. Patrzą jednak z pogardą, z wyższością urzędnika na wczasach, który przez cały rok ma pewnie dokładnie takie same jak ja problemy, lecz za nic w świecie nie przyzna się do tego. Nawet przed sobą.

Jak się czują w takiej roli? Dokładnie tak jak mnie traktują. Przeważnie podle. Ale patrz na tych, którzy muszą korzystać z naszej pracy, dla których jesteśmy warunkiem rozkwitu jakiegoś tam interesu. Ci potrafią być bardzo mili, uprzejmi. Z czystego wyrachowania, z zimnej kalkulacji oczywiście. Mają elastyczne karki i dobrze przetrenowane uśmiechy. Potem zapewne szybciutko myją ręce i przeklinają nas, ale tańczą tak jak im zagramy, bo wykonujemy robotę, za którą trzeba słono płacić.

Inaczej ci, z którymi pracuję. To są prości ludzie, którzy doskonale rozumieją, że coś jest nie tak, jeśli inżynier zarabia mniej niż oni, jeśli nauczyciel zarabia mniej niż dozorca. Oczywiście wiedzą kim jestem. Wcześniej czy później musieli się tego dowiedzieć, bo nie można jednocześnie udawać i ciężko pracować. Więc lepiej niczego nie ukrywać. Zresztą po co? Poznałem tych ludzi dość dobrze. W końcu nie pierwszy raz tyram podczas wakacji. Robiłem już na budowach, w ogrodnictwie, przy żniwach, przy wyładunku węgla na bocznicy i jeszcze w paru miejscach. Oni, robotnicy, na początku pokpiwają trochę, zrobią jakiegoś brzydkiego psikusa, ale jak pokażesz, że nie boisz się roboty, że nie chcesz wszystkiego zwalić na nich, wtedy zaakceptują cię — jesteś swój chłop. Mówią na mnie „Profesor" i nie ma w tym złośliwości.

Pytasz, czemu zapuściłem brodę? Nie wiem, może jednak trochę się wstydzę...

## TRZECH W GUMIAKACH

myje się przy studni. Do wieczora mają wolne. W południe wczasowicze kręcą się po kurorcie i nie chcą oglądać cuchnącego szambowozu. Więc trzech w gumiakach zjeżdża do „bazy". Tutaj, w chłopskiej zagrodzie przekąszą coś, poleżą na trawie, zdrzemną się.

— Ech, poszłoby się na plażę — marzy Drugi. — Dziewuchy tam, proszę was, leżą i wzdychają... Takie pulchne, z wymalowanymi paznokietkami, prawie gołe... Leżą i wzdychają...

— Do ciebie wzdychają, ciemna maso?! — karci go Pierwszy. — Idź tam i powiedz: dzień dobry, jestem Czesiek Wozignój, syn małorolnego z Woli.

— A po co od razu nawijać kto ja za jeden?

— No pewno, wystarczy na ciebie popatrzeć. Widać żeś lekarz albo dyrektor. Pofiluj tabaku na Profesora — uczony człowiek. Ten ma wygląd i gadane, że daj ci zdrowie. Taki podchodzi do panienki, chlapnie coś o Sienkiewiczu, o Żeromskim, powie, że żna aktora Fronczewskiego i już wszystkie sikają w majty. Co nie, Profesor?

— Bzdury pleciesz — kwituje Trzeci. — Nauczyciel to nie jest dobra partia dla praktycznej dziewczyny. To nie Arab i nie badylarz. Z czym do gości...

— To rzuć Profesor szkołę, rzuć w cholerę — proponuje Pierwszy. — Masz łeb na karku, weź się za uczciwą robotę. Ja wiem, może garbery, babskie ciuchy, pieczarki...

Ale Profesor milczy.

## PO WAKACJACH WRACAM DO SZKOŁY.

Zakładam jasną koszulę i spodnie odprasowane w kancik. Stanę przy tablicy i będę mówił o tym, że należy zdobywać wiedzę, uczyć się wytrwale, bo wiedza jest warunkiem życiowego sukcesu, społecznego uznania, dobrobytu.

Mówi się — szacunek dla nauczycieli. Ładnie to brzmi, prawda? Teraz krzyczy się, że tego szacunku nie ma, że młodzież nie szanuje swoich wychowawców, nie bierze z nich przykładu. Właśnie — przykładu. Niby dlaczego moi uczniowie mają brać przykład ze mnie, z nas, nauczycieli?

## BIAŁY POLONEZ

dziarsko rusza spod zagrody. Pierwszy z zaciekawieniem ogląda tekturowy karton. Zza wrót stodoły wychyla głowę Drugi.

— Co jest? — pyta

— Był klient. Chce nas widzieć jutro, czyli usługa superekspress.

— Wzięłeś?

— Jasne. Przecież gość zostawił wagon browaru. Amstel beer — sylabizuje Pierwszy.

— To dawaj!

— Chwilunia. Najpierw dzielimy szmal. Gdzie Profesor?

— W sadzie, coś czyta.

Pierwszy idzie we wskazanym kierunku. Rozprostowuje zmięte banknoty.

— Masz tu Profesor swoją dolę — odlicza dwa tysiące i kładzie je na kolanie wspólnika. — To za dzisiejszy dzień. I zdejm te patrzałki do roboty, bo mi klientów straszysz. Wczoraj jeden gość przygadnął skąd wytrzasnąłem tego inteligenicka. To mówię jak jest, że z kultury i sztuki, żeś autentyczny profesor, belfer znaczy się, co końca z końcem związać nie może. Wtedy facet wyciągnął jeszcze „Kopernika" i kazał ci dać. Bierz Profesor, forsa nie śmierdzi...

# Milioner bez grosza

EUGENIUSZ IWANICKI

**W obiegowej opinii ta instytucja jest traktowana jako zło konieczne: zmotoryzowani klną na wzrastające z roku na rok opłaty za ubezpieczenie pojazdów samochodowych, ci, którzy ubezpieczają mieszkania mają pretensje, że w przypadku pęknięcia rury wodociągowej czy kradzieży, PZU wypłaca sumy nieadekwatne do poniesionych szkód itp., itd. Jednym słowem sprawa wygląda tak, że PZU bierze pieniądze, ale wypłaca je nie w takiej wysokości jakiej się spodziewa posiadacz polisy ubezpieczeniowej.**

Pamiętam, że były głosy domagające się powołania konkurencyjnej instytucji, by obywatel miał szansę wyboru. Skończyło się jednak na pobożnych życzeniach, a PAŃSTWOWY ZAKŁAD UBEZPIECZEŃ nadal jest monopolistą, którego można nie lubić, można krytykować, ale nie ma możliwości wyrugować go z naszego życia. Bowiem każdy przeciętny Polak prędzej czy później staje się klientem tej firmy.

Piszący te słowa od lat ma ścisły związek z PZU zarówno jako właściciel pojazdu samochodowego, i jako posiadacz polisy ubezpieczeniowej swojego M-4. Toteż wie z autopsji jak i ile ta instytucja zwraca, np. za zalanie przez sąsiada z wyższego piętra mieszkania, oraz ile płaci za rozbity samochód. Nie są to kwoty na miarę moich oczekiwań, ale — co w tym wszystkim jest najważniejsze — są to przecież pieniądze. Bez ubezpieczenia nikt nie dałby mi przysłowiowego grosza. I ta świadomość każe mi opłacić rosnącą z roku na rok sumę przedstawicielowi PZU, który zjawia się w moim mieszkaniu w ostatnich dniach każdego grudnia.

Ktoś może zapytać, po co o tym piszę, gdyż są to rzeczy znane. Właśnie. Ano po to, by wykazać, iż mimo ogromnych kwot, jakie wpływają do kasy tej firmy, nie jest ona socjalistycznym Krezusem bez trosk i problemów.

Dziś będzie o ubezpieczeniach mienia w transporcie krajowym. Pod pióro ciśnie się już wykorzystany przeze mnie tytuł: Kto opłaca przewoźnika? Bowiem on tu będzie właściwym bohaterem tej smutnej i wywołującej niewesołe refleksje opowieści.

Oto do Prokuratury Wojewódzkiej w Łodzi wpłynęło dramatyczne pismo z Państwowego Zakładu Ubezpieczeń Oddział Wojewódzki w Łodzi dotyczące wspomnianych ubezpieczeń mienia w transporcie krajowym za rok 1984. Wynika z niego, że w wielu przedsiębiorstwach odszkodowania z tytułu kradzieży czy zaginięcia przewyższają składkę ubezpieczeniową o parę setek procent. PZU wychodzi z założenia, że taka sytuacja przestaje mieć znaczenie wyłącznie ekonomiczne. Sprawa staje się problemem społecznym. A do tego bardzo niepokojącym. Na dowód powyższego dołączono pismo uzupełniające, będące niejako rejestrem „szkodowości", czyli sum wypłaconych przez PZU przedsiębiorstwom i spółdzielniom. A że lektura tego wykazu jest interesująca, przytoczę z niego spory fragment. I tak:

— W Przedsiębiorstwie Handlu Artykułami Papierniczymi i Spożywczymi „Arpis" w Łodzi, ul. Piotrkowska 86 składka przypisana wynosi zł 1.063.848, zaś odszkodowania wypłacono zł 3.345.386. „Szkodowość", jak mówią w PZU, wyniosła aż 314,4 proc.

— 12 Gminnych Spółdzielni podległych CRS „Samopomoc Chłopska" przekazało składkę w wysokości 3.710.570 zł, a PZU wypłacił odszkodowanie na sumę 9.086.686 zł (244.8 proc.).

— Spółdzielczość mleczarska także nie pozostaje w tyle. Składka wynosi 200.439 zł, natomiast odszkodowania osiągnęły kwotę 552.030 zł (275.0 proc.).

— Łódzka Centrala Materiałów Budowlanych; składka wyniosła 1.768.500 zł, z tytułu odszkodowań wypłacono 3.536.663 zł.

— Przedsiębiorstwo Handlu Artykułami Technicznymi „Elmet", składka — 2.000.000 zł, odszkodowania — 2.862.029 zł.

— PP „Polmozbyt": składka — 1.556.997 zł, odszkodowania — 2.417.299 zł.

— Łódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Sprzętem Rolniczym „Agroma": składka — 698.100 zł, odszkodowania — 790.011 zł.

— Centrala Produktów Naftowych: składka — 2.602.507 zł, odszkodowania — 4.772.444 zł. W przyznanych odszkodowaniach aż 96,8 procent stanowią szkody powstałe w wyniku kradzieży!

Lista jest dłuższa i budzi niewesołe refleksje. Towary będące przedmiotem handlu wymienionych powyżej przedsiębiorstw z reguły były kradzione w czasie ich transportu lub, jak to PZU ładnie nazywa, ulegały zaginięciu. Stąd dramatyczne pismo do Prokuratury Wojewódzkiej, by ta w ramach prokuratorskiej kontroli przestrzegania prawa podjęła stosowne w tym względzie działania.

Prokuratura takie działania podjęła. Do wszystkich tych przedsiębiorstw skierowano odpowiednie pisma zobowiązujące dyrektorów do dokonania *„analizy przyczyn wzrostu kwot wypłacanych z tytułu ubezpieczenia mienia w transporcie ze wskazaniem jakiego rodzaju były to szkody, gdzie wystąpiły i jaka była ich przyczyna"*. Prokuratura domaga się także wyjaśnienia, czy osoby odpowiedzialne za ten stan rzeczy były pociągnięte do odpowiedzialności dyscyplinarnej bądź regulaminowej *(„kiedy, komu, za co i jaką karę wymierzono")*.

I teraz właściwie rozpoczyna się najciekawsza część niniejszej publikacji. Przedsiębiorstwa odpowiadając Prokuraturze Wojewódzkiej, nieomylnie wskazują winnego. Najlepiej jednak będzie, jeśli posłużę się cytatami, które będą wymowną ilustracją tego, co dzieje się w królestwie największego krajowego przewoźnika, jakim są Polskie Koleje Państwowe.

Oto co pisze PHSR „Agroma" o przyczynach, które wynikają z: *„...atrakcyjności naszego sprzętu i łatwości dostępu do kradzieży — ciągniki, przyczepy, kombajny i inny sprzęt rolniczy dostarczany jest głównie na platformach, widoczny z daleka i dla wszystkich zainteresowanych takimi elementami jak: prądnice, rozruszniki, lampy, przewody, wyposażenia — łatwych do zdemontowania prostymi narzędziami..."*

Nie mniej dramatycznie odpowiada Centrala Produktów Naftowych. Oto CPN Wydział Gosp. Skł. w Warszawie stwierdził, iż okradanie przesyłek produktów naftowych kierowanych do ZGPN nr 13 w Płocku stało się nagminne. I jako przykłady podaje: *„...dnia 11.V.84 r. okradziono 5 cystern kolejowych — braki ponad normę 2.806 kg o wartości 115.607,80 zł. Dnia 10.VIII.84 r. okradziono także 5 cystern kolejowych — braki ponad normę 1.314 kg o wartości 76.858,80 zł"*.

Łódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Artykułami Technicznymi „Elmet" na dowód, co i gdzie ginie załączyło nawet specjalną tabelkę, z której wynika, że w czasie transportu kolejowego są kradzione przede wszystkim grzejniki, rury żeliwne, rury PCV, fajans, wanny, kuchnie węglowe i gazowe, żarówki, drut, świetlówki. Straty są milionowe, nie mówiąc już o stratach, jakie ponoszą odbiorcy owych poszukiwanych towarów.

PP „Polmozbyt" natomiast obliczył, że odszkodowania jakie wynikły z winy własnego transportu wynoszą zaledwie 1,5 proc. całości uzyskanych odszkodowań z tytułu ubezpieczenia mienia w transporcie. Natomiast odszkodowania za braki i uszkodzenia części w dostawach samochodów transportem PKP wynoszą aż 1.653.419 zł, a odszkodowania za braki i uszkodzenia w dostawach opon i dętek przez tegoż przewoźnika — 539.065 zł.

Natomiast dyrekcja Domów Towarowych „Centrum" tak pisze: *„Nie można wykluczyć, że część szkód udokumentowanych jako szkody samochodowe są faktycznie szkodami kolejowymi, lecz z uwagi na nienaruszone opakowanie oraz konieczność szybkiego rozładunku wagonu (by nie płacić kar z tytułu postojowego) nie stwierdzone w czasie odbioru z PKP. Nie jest możliwe szczegółowe rozpakowywanie całych dostaw w czasie rozładunku wagonu z uwagi na ograniczony czas, a z drugiej na trudności w jego dalszym transporcie"*. Jednakże, jak obliczono, 16 proc. wynoszą stwierdzone szkody powstałe w czasie transportu kolejowego od dostawców do magazynów DT „Centrum".

Byłoby niesprawiedliwością jako winnego wszelkim kradzieżom i niszczenia towarów wskazywać wyłącznie PKP. Sporą zasługę w tym ma także PTHW, PSK, PKS.

Natomiast ani w jednym wyjaśnieniu, jakie nadeszły od zakładów do Prokuratury Wojewódzkiej nie ma nic na temat winy własnej. Może jest tak naprawdę, ale czyż nie zdarzają się przypadki, że w przesyłce zamiast zapowiadanego towaru jest zupełnie co innego? Albo waga nie odpowiada tej, jaka widnieje na opakowaniu. Czy to także wina przewoźnika? Ale to już inny temat wymagający odrębnego potraktowania.

Analiza sum wypłacanych za powstałe szkody przez PZU wykazuje, iż w stosunku do roku 1983, rok 1984 był pomyślniejszy. „Szkodowość" zmalała o 1,1 proc. i wynosi 68,4 proc. Niestety, dla 113 jednostek ubezpieczeniowych wynosiła 133,8 proc., a w niektórych aż 314,4 proc.

A jakie są prognozy na rok bieżący?

Pomyślne. Odnotowano odczuwalny spadek ilości szkód, choć całkowite dane zostaną opracowane przez PZU po zakończeniu roku kalendarzowego. Dla przypomnienia podam, że tzw. „szkodowość" w roku ubiegłym wynosiła 68,4 proc., natomiast pierwsze półrocze br. osiągnęło „zaledwie" 29 proc., w transporcie wliczając w to wszystkich możliwych przewoźników.

Dla zilustrowania tych optymistycznych prognoz poprosiłem Oddział Wojewódzki PZU w Łodzi o podanie mi odszkodowań tych przedsiębiorstw, które ponoszą w czasie przewożenia ich towarów największe straty. I tak: PP „Polmozbyt" za trzy kwartały br. miał 43 szkody, a kwota wydanych odszkodowań wyniosła 1.300 tys. zł (w 1984 r. — 2.417.299 zł). Centrala Produktów Naftowych za ten sam okres miała 66 szkód, za co wypłacono 1.330 tys. zł.

Niestety w tym niechlubnym współzawodnictwie nadal prym wiedzie „Społem", gdyż towary tej firmy są zbyt dużą pokusą dla złodziei i kombinatorów. W ciągu trzech minionych kwartałów 1985 r. szkód było 1.635, za co PZU wypłaciło 5.100 tys. zł. Tu trzeba jednak zaznaczyć, że głównym przewoźnikiem towarów tej spółdzielni jest PTHW i taka „szkodowość", jak ją określa się w języku fachowców, nie przynosi zaszczytu temu przedsiębiorcy, gdyż PTHW zajmuje się przewozem nie tylko artykułów należących do „Społem".

Ideałem byłby więc stan, w którym społeczeństwo pozbyłoby się całkowicie złodziei. Niestety, jest to czysta utopia. Skoro więc mamy złodziei i ludzi nieuczciwych, należy przedsięwziąć takie środki, by ryzyko szkód w czasie przewozu towarów zmniejszyć do minimum. W Dzienniku Ustaw nr 53 z 28 listopada 1984 r. poz. 272 z dn. 15.XI.84 zamieszczono „Prawo przewozowe". Jest to ustawa ważna, ale jak wiadomo żadna ustawa jeszcze niczego nie załatwiła, choćby była nie wiem jak słuszna i mądra. Zalecenia wypływające z zarządzeń wykonują ludzie. Artykuł 56 p. 2 poz. 2 tegoż prawa przewozowego brzmi: *„Przesyłki wymagające dozorowania przez klienta w czasie przewozu oraz szczególne warunki takiego przewozu"* zobowiązują przewoźnika do ochrony przewożonych towarów.

Starsi nasi Czytelnicy zapewne pamiętają, że zaraz po wojnie na końcu każdego składu pociągu towarowego znajdował się wagon z budką, w której siedział strażnik z karabinem. Do jego obowiązków należało pilnowanie tego, co znajdowało się w wagonach. Dziś nie ma nawet wagonów z budkami, a co dopiero strażników. Proszę więc wyobrazić sobie pociąg towarowy składający się z sześćdziesięciu wagonów załadowanych wszelkim dobrem, a w szczególności towarami deficytowymi, których nie uświadczysz na rynku. Nie wiem dokładnie, ilu ludzi obsługuje taki pociąg, ale jedno jest pewne, że nie siedzą oni ani w środku składu, ani na jego końcu.

I teraz taka sytuacja: pociąg zatrzymuje się pod sygnałem przed wjazdem do jakiejś niewielkiej stacyjki. Jest noc, teren pusty, głusza. Co może dojrzeć obsługa pociągu? Czy widzi cały skład, wszystkie sześćdziesiąt wagonów? Jeśli pod ostatni podjedzie furgonetka, a zdarza się, że zwykły chłopski wóz, to złodzieje rozładują taki wagon w ciągu kilkudziesięciu minut. Ale powiedzmy, że ktoś z obsługi usłyszy podejrzane odgłosy, to czy starczy mu odwagi, by biec w ciemności kilkaset metrów i sprawdzić co się dzieje? Życie jest miłe i narażać go dla iluś tam lodówek czy akumulatorów nie ma sensu.

I jeszcze jedna rzecz w tej całej sprawie przewozowej nie daje mi spokoju. Chodzi o traktowanie wynaturzeń jak czegoś normalnego. Wszyscy wiedzą, że towary giną w czasie-ich transportu, że jakże często złodziejami są pracownicy przedsiębiorstwa przewozowego, a mimo to nie ma zmasowanych działań zapobiegawczych. Nadawca wie, że jego towar może nie dotrzeć do adresata, ale dla uspokojenia sumienia i dla wymagań ekonomiczno-prawnych ubezpiecza towar w PZU. Ci z kolei — bo po to są — zawierają umowę, choć są przekonani z góry, że i tak zapłacą odszkodowanie. Przewoźnik zaś nie bacząc na szalejące złodziejstwo (najgorzej się ustrzec przed własnym złodziejem) towary ładuje na wagony lub samochody nie przejmując się co z tego wszystkiego wyniknie.

Usiłowałem znaleźć jakieś optymistyczne zakończenie tej smutnej historii. I nie znalazłem. Może nowe przepisy ubezpieczeniowe, jakie wejdą w życie w roku przyszłym zmienią coś na lepsze. Zobaczymy.

ze str. 1

**— I tak zrobimy. Jeśli kelnerzy w „Kaskadzie" nie zmienią stylu swej pracy, to trzeba będzie przenieść ich do zakładów gastronomicznych niższych kategorii. Otrzymają niższe stawki i może wtedy zrozumieją, że gości trzeba traktować z szacunkiem i szybko obsługiwać.**

**— Dlaczego tego nie rozumieją?**

— Był taki czas, że ludzie brali wszystko, co im się podawało. Wiadomo, były wtedy trudności. I nasi ludzie uwierzyli, że tak może być zawsze. Na przykład, niektórzy kierownicy ciągle piszą do nas w sprawie godzin otwarcia restauracji. Ich zdaniem restauracje powinny być otwarte od godziny 12 do 20.

**— I pewnie chcieliby wszyscy mieć wolne soboty?**

— Oczywiście. Uważają, że jak restauracja pracuje w niedzielę, to w poniedziałek powinna być zamknięta. A przecież gastronomia musi być czynna cały czas. Gastronomia jest dla ludzi, a nie dla pracowników gastronomii.

**— Jak można to zmienić?**

— Powiedziałam już, że wiele zależy od ludzi. Ale trzeba to może bardziej skonkretyzować. Wiele zależy od kierownika. Kierownik jest po to, aby miał inicjatywę, aby wymagał od ludzi, aby ich kontrolował. My natomiast musimy kontrolować kierowników. Dokonamy w najbliższym czasie analizy pracy poszczególnych zakładów i ocenimy pracę kierowników. Ci, których ocena będzie zła, znajdą się w trudnej sytuacji.

**— Powiedziała pani, że kierownik powinien mieć inicjatywę. To prawda. Ale jak chodzi się do restauracji, to można odnieść takie wrażenie, że dyrekcja hamuje inicjatywę i ustala dla wszystkich restauracji jeden jadłospis i wszystkim kucharzom każe wszystko robić z pieczarkami. Czy tak nie jest?**

— Nie. Przykro mi to mówić, ale pieczarki to nic innego jak tylko najprostszy sposób na podniesienie ceny potrawy. Sama widziałam, jak w dobrej restauracji podawano dobrą galaretkę z marynowanymi pieczarkami. Próbujemy temu przeciwdziałać. Kontrolujemy jadłospisy, wyrzucamy z nich pieczarki, ale wszystkiego nie da się skontrolować.

Mogę też pani powiedzieć, że mieliśmy takie przykłady, kiedy w restauracjach sprzedawano kawior w słoiczkach czy kraby w puszkach. Zdecydowanie temu przeciwdziałamy. Gastronomia jest od żywienia, a nie od handlu!

**— Można zatem mieć nadzieję, że będziemy chodzili do różnych restauracji na specjalnie, tylko tam podawane potrawy?**

— Jest to naszym zamiarem. Na przykład „Ludowa" ma już dobrą kuchnię. Zmieniła się kuchnia w „Peszcie". Przyszła tam nowa kierowniczka, której chce się pracować.

**— Czyli wracamy znów do ludzi.**

— Tak. Podam pani taki przykład. Dwa zakłady blisko siebie: „Zacisze" i „Turystyczna" Wszystko jest przeciwko „Turystycznej", bo w „Zaciszu" i kuchnia lepsza, i wydajność wyższa. A zatem decyduje człowiek.

**— Czy w obu zakładach były takie same płace?**

— Niestety. W „Turystycznej" pensje nie były niższe niż w „Zaciszu" i to jest niesprawiedliwe. Ale wszystkiego od razu nie da się uregulować. Poza tym u nas obowiązują płace prowizyjne. Ile załoga zarobi, tyle ma. Ale leniwy szef może też zarabiać przy pomocy pieczarek. Jak to na przykład wygląda, gdy w restauracji szykuje się wesele? Zamiast 3 deko salami daje się 5. Klient płaci za wszystko i za to również, czego weselni goście nie zjedzą, bo nie są w stanie. Co robimy? Kontrolujemy jadłospisy i wyrzucamy z nich wszystko, co jest zbędne i nie na korzyść klienta. Szefowie oburzają się i mówią, że to biurokracja, a to tylko obrona interesów naszego klienta.

**— Nie zawsze jest możliwa kontrola. Czy jest jakiś sposób, aby takie praktyki ukrócić?**

— Chcemy w przyszłym roku inaczej spojrzeć na wyniki ekonomiczne osiągane przez poszczególne zakłady gastronomiczne. Już nie tylko widzieć wyniki całego zakładu, ale popatrzeć jak się one rozkładają na poszczególne miejsca konsumpcyjne, poszczególnych zatrudnionych, na sposoby, w jakie się je osiąga.

**— A jak jest z zaopatrzeniem? Odnoszę bowiem wrażenie, że gastronomia ma duże trudności. To nie gdzie indziej, jak w „Kaskadzie" usłyszałam od kelnera, że jak się chce zjeść obiad to trzeba przychodzić wcześniej, bo teraz już nie prawie nie ma do jedzenia. A była to godzina 17. Wcale nie tak późno, a poza tym „Kaskada" pracuje dużo dłużej. Jak to więc z tym jest?**

— Poza mięsem zaopatrzenie — według naszej oceny — jest dobre i wystarczające.

**— Czy są kłopoty z drobiem lub baraniną?**

— Nie, nie ma takich kłopotów. Zaopatrzenie w drób i baraninę jest bardzo dobre.

**— A w jadłospisach często nie ma potraw z drobiu, a już rzadko można spotkać baraninę.**

— Wszystko zależy tylko i wyłącznie od inwencji i pomysłowości szefa kuchni i kierownika. Ale — jak mówiłam — są prostsze sposoby zarabiania, kiedy nie trzeba się wysilać. Staramy się i będziemy temu przeciwdziałali.

Obserwujemy zmiany w obyczajowości. Młode gospodynie już — z różnych zresztą powodów — nie chcą sterczeć przy kuchni. Coraz częściej całe rodziny przychodzą do restauracji. A zatem w restauracji musi być taka atmosfera, aby ludzie chcieli przychodzić nie tylko kiedy są głodni, ale żeby posiedzieć, posłuchać muzyki, coś przekąsić, napić się, żeby byli szybko i sprawnie obsłużeni. Na przykład na Węgrzech kiedy gość siada przy stoliku, natychmiast zjawia się kelner.

**— A u nas trzech stoi w kącie, pali papierosy i z ożywieniem dyskutuje patrząc bezczelnie na niecierpliwiących się gości.**

**— Niestety. Ale to musi się zmienić.**

**— I po 17 będzie coś do zjedzenia w każdym lokalu?**

— Nawet na godzinę przed zamknięciem lokalu nie może być takiej sytuacji, że nie ma nic do jedzenia. Każdy kierownik obowiązany jest utrzymać do końca dwa, trzy podstawowe dania.

Kierownicy zakładów gastronomicznych dysponują funduszami płac i tam, gdzie są wyniki mogą być i wysokie płace. Jak chce się pracować kierownikowi, to i ludzie dobrze zarobią. Trudności na ogół mają ci, którym się nie chce. Proszę poza tym pamiętać, że Łódź ma najwyższe średnie płace w gastronomii w kraju. Za nami jest Poznań i Katowice.

**— To może dlatego, że mamy wyższe ceny w restauracjach?**

# Zimny befsztyk z pieczarkami

— Otóż nie. Ceny mamy niższe niż w Katowicach i Krakowie. W Katowicach — wiadomo — górnictwo i wysokie zarobki. W Krakowie turyści. W Łodzi ani zarobki wysokie, ani nie ma tylu turystów, stąd i ceny muszą być niższe. Podnosimy ceny tylko o tyle, o ile rosną koszty.

**— Czy zatem gastronomia jest rentowna? Na ogół panuje opinia, że nie.**

— Jest rentowna. Z tym, że sytuacja jest dość złożona. Są zakłady rentowne i nierentowne. Na przykład bary mleczne po podwyższeniu dotacji przez Ministerstwo Finansów są na pograniczu rentowności lub mają niewielką rentowność. Bary muszą być co roku malowane i to nam podnosi koszty. Ale „Zachęta", „Wzorowy", „Reprezentacyjny" już przynoszą zyski.

Przy okazji barów, to warto zasygnalizować nowe zjawisko, które jest dla nas trudnym problemem — to „zjadacze". Otóż wystarczy przynieść na stolik zupę i pójść po drugie, i już zupa znika.

Wracając jednak do rentowności, to obniżają ją nam przede wszystkim remonty. I dlatego są zakłady nierentowne. A poza tym rentowność zależy też od ludzi i ich pracy: od tego czy potrafią właściwie gospodarować energią, surowcem, czy mają inicjatywę, czy chcą jak najszybciej zamknąć lokal, czy o 17 jest jeszcze coś do zjedzenia, czy szybko, sprawnie i uprzejmie obsługują gości.

**— Skoro już powiedziała pani o remontach, to muszę zapytać, dlaczego to tak długo trwa?**

— Żeby to była tylko sprawa terminu. Jest ona bardziej skomplikowana. Przede wszystkim podczas remontu przebudowujemy kuchnie. Na przykład w „Halce" kuchnia była w piwnicy, teraz jest na powierzchni, ale przez to straciliśmy jedną salę. Podobnie było z „Casanovą" i będzie z „Simem". Odbywa się to kosztem liczby miejsc w restauracjach. Chociaż staramy się rekompensować to w inny sposób. Ten sposób to ogródki. Tego lata był przy „Halce". Chcemy, aby w przyszłym roku był przy „Simie", a także przy „Halce", „Jontku" i „Łodziance". Swój charakter zmieniła również „Honoratka". Rozbudowie ulegnie weranda w „Tivoli". Niektóre ogródki będą miały daszki, weranda w „Tivoli" rozsuwane drzwi, chcemy aby ogródki mogły być czynne bez względu na pogodę, a „Tivoli" miała charakter prawdziwie letniej restauracji.

**— Ale to może funkcjonować tylko latem. Remonty trwają długo i przez nie również zmniejsza się liczba miejsc. Ciągnie się to miesiącami. Na przykład, jedyna restauracja „Lajkonik" w rejonie Czerwonego Rynku zamknięta jest już od dłuższego czasu i nie widać, aby tam się coś działo.**

— Jeśli chodzi o „Lajkonika", to być może pospieszono się z zamknięciem. Ale remont był konieczny. W „Lajkoniku" były ciągle awarie sieci wodociągowej. Remont zaczęto więc od piwnic i stąd wydaje się, że tam się nic nie dzieje. Byłam dwukrotnie na kontroli w „Lajkoniku" i wiem, co tam się dzieje.

Remonty trwają długo — to prawda. Dlaczego? Ano dlatego, że często zlecamy je rzemieślnikom, a ci nie zawsze się spieszą, albo robią to niedbale. Nie wszyscy oczywiście. Poza tym brak materiałów.

**— I nie ma na to sposobu?**

— Znaleźliśmy, choć może zabrzmi to śmiesznie. Otóż sama gastronomia wzięła się za remonty. Powołaliśmy brygady i już mamy pewną poprawę. Nie pokonamy jednak trudności z materiałami. Różne przedsiębiorstwa nam pomagają, ale to też na tyle, na ile same mogą. Przykład: nie możemy zakończyć remontu, bo zabrakło lakieru do pomalowania boazerii, a w restauracji boazeria musi być lakierowana.

**— Czy w ogóle musi być boazeria?**

— Tak, bo to jest tańsze niż remont co dwa lata. A poza tym małe remonty są najdroższe i trzeba je często robić.

**— W ilu zakładach gastronomicznych trwają teraz remonty?**

— Do końca roku remonty będą w 24 placówkach. Przy tym, w niektórych, zmienia się organizację i charakter usług. Na przykład w „Dąbrowie" była restauracja i pijalnia piwa. Teraz będzie restauracja, w której podawane będzie piwo, na dole będzie natomiast bar szybkiej obsługi. Taki remont wymaga trochę czasu.

**— Czy w trakcie remontu nie można poszczególnym restauracjom nadawać jakiegoś im tylko właściwego stylu, aby wszystkie nie były do siebie podobne?**

— Staramy się to robić. Wprawdzie „Karl-Marx-Stadt" to nowa restauracja, ale ma już swój styl. Byłam w Budapeszcie i widziałam tam dużą salę restauracyjną podzieloną drewnianymi przepierzeniami łączonymi z ciemnym szkłem na części. Zrobiłam, jak umiałam rysunki i przywiozłam je fachowcom. Chcemy coś takiego zastosować w „Europie". Również „Sim" otrzyma swój nowy styl. Coś więc robimy.

**— Czy podpatrzyła pani coś jeszcze interesującego na Węgrzech?**

— Tak. Przede wszystkim to, że natychmiast zjawia się kelner, choć na zamówioną potrawę czasem można trochę poczekać. Ale o tym już decyduje kuchnia i rodzaj potrawy. Bardzo bym chciała, aby to się przyjęło i u nas. Będziemy zresztą do tego dążyli.

Inne spostrzeżenie — to piwiarnie. W Łodzi nie ma piwiarni. Rolę piwiarni pełnią kawiarnie i restauracje. Często trzeba obsługiwać ludzi, których nie powinno się obsługiwać. W Budapeszcie realizuje się teraz program rozbudowy piwiarni tanim kosztem. Urządza się je w piwnicach. I mnie też marzą się takie trzy, cztery piwnice w śródmieściu. Przenieśliby się tam klienci restauracji i kawiarń, którzy przychodzą tylko na piwo. Byłaby nad nimi inna kontrola, a w restauracji można byłoby też spokojnie posiedzieć nad kuflem piwa.

**— Czy są szanse, aby to marzenie się spełniło?**

— Mam nadzieję, że tak. Może już w przyszłym roku uda mi się zrobić dwie takie piwnice w śródmieściu.

**— Mówi pani o śródmieściu. A przecież Łódź ma wiele innych dzielnic. Czy jest pani zadowolona z tego, co można nazwać geografią gastronomiczną?**

— Nie jestem z tego zadowolona. W śródmieściu liczba lokali gastronomicznych jest wystarczająca. Mówię tylko o śródmieściu, bo tu się koncentruje na ogół życie. Tak jest wszędzie.

**— A czy nie jest to przypadkiem rezultat koncepcji, według której całe życie koncentruje się w śródmieściu, a obrzeża są tylko sypialniami?**

— Nie przeczę, że taka koncepcja była. Dziś już ją odrzuciliśmy. Na Widzewie-Wschodzie powstała restauracja „Karl-Marx-Stadt" i nie cierpi na brak gości. Urządza się tam wesela, przyjęcia.

**— Właśnie. Biorąc pod uwagę wielkość naszych mieszkań niezbędne są lokale, gdzie można byłoby urządzić wesele, chrzciny, imieniny i inne uroczystości. A restauracje i kawiarnie nadają się do tego przede wszystkim. I są osiedla, gdzie ich nie ma.**

— To prawda. Źle było na Widzewie. Teraz trochę się poprawiło, ale nie jest jeszcze dobrze. Konieczny jest bar szybkiej obsługi albo i restauracja na Retkini. Buduje się wprawdzie, ale zbyt wolno. W ogóle na Polesiu jest bardzo źle pod tym względem.

**— A Chojny-Zatorze?**

— Tam nic nie ma. Jak już wspomniałam, dziś inaczej patrzymy na gastronomię w osiedlu, ale też i obyczaje się zmieniły. Nie tak dawno jeszcze w niedzielę restauracje były puste, teraz są pełne. Przychodzą na obiad całe rodziny. Ludziom się nie chce w niedzielę gotować. Musimy więc myśleć o tym jak szczególnie młodym rodzinom zapewnić posiłki w niedzielę.

**— Tak się dzieje u naszych sąsiadów, w NRD i w Czechosłowacji.**

— Tak też jest na Węgrzech. Tylko organizacja tam lepsza, a przede wszystkim inna. Na obiady abonamentowe przychodzą całe rodziny. Obowiązuje samoobsługa. Ale jak ktoś życzy sobie obsługi kelnera, to po prostu siada w innym miejscu. Będę chciała czegoś takiego spróbować w Łodzi.

I jeszcze ciekawostka. Otóż jadłospisy mają zdjęcia potraw będących specjalnością zakładu. Klient może sobie zobaczyć jak to wygląda, czy mu się podoba, a następnie zamówić.

**— Czy to też chciałaby pani u nas wypróbować?**

— A czemu nie?

**— Wypada tylko życzyć pani, aby to wszystko udało się i zostało wprowadzone w naszej gastronomii. Będziemy realizację tych zamierzeń śledzili, a jak coś nam się nie będzie podobało, to napiszemy o tym.**

— Proszę bardzo. Nam to tylko pomoże.

*Foto: Grzegorz Gałasiński*

**Rozmawiała:**
**BOGDA MADEJ**

P.S. Z żalem donoszę, że 8 listopada około godziny 16.30 byłam na obiedzie w „Halce" i niestety styl pracy zmiany kelnerskiej był taki sam jak wszędzie, a na rachunek czekaliśmy chyba z pół godziny. Czyżby „Halka" chciała równać do złych wzorów? Mam nadzieję, że był to tylko „zły dzień" załogi „Halki".

**B. M.**

## *Dorota Chróścielewska*

☆ ★ ☆

**Złotem liści nas owiało**
**Mgłą ze srebra zaczadziło**
**Przyjacielu wypijemy**
**za to co się nie spełniło**

**Za wytchnienie jak westchnienie**
**Szczęście choć na okamgnienie**

**Pośród złotej zawieruchy**
**mgły ze srebra zaćma zamieć**
**Za mych niekochanych pij**
**Piję za twe niekochane**

**Klejnotami noc mamiła**
**by cię czarną chmurą welnić**
**Wypijemy przyjacielu**
**za to co się nam nie spełni**

**Za wytchnienie jak westchnienie**
**Szczęście choć na okamgnienie**

**Za wabiącą dal**
**Za dławiący żal**

# Sandomierz

**Nad gotykiem ratusza obłoki rokoko**
**W złotą siatkę wiatr łowi ciszę**
**Jedwabiem seledynowym**
**szeleści tamaryszek**

**W bazylice Pan Bóg gotycki**
**U Świętego Jakuba romański**
**Obojętni obaj i nieczuli**

**Wisła jak sen**
**bez początku i końca**
**niczym jutrznia**
**mrocznym światłem broczy**

**Tyle piękna a we mnie**
**ciemno**
**ciemniej**
**najciemniej**
**Tamaryszku mgła przesłania oczy**

☆ ★ ☆

**Nic nie świeci się i nic nie jarzy**
**Noc jest chłodna i ostra jak szkło**
**Tak daleko odeszłam że nie wiem**
**o co kiedyś w życiu mi szło**

**Nie ma świtu Nie ma zarania**
**Noc się filcem klei do szyby**
**Tylko ból był zawsze naprawdę**
**Za to szczęście jedynie na niby**

**Jest gdzieś łąka szmaragdowa i wonna**
**Mgły z opalu i nieba turkmalin**
**Dal różowa od pocałunków**
**Pocałunki różowe od malin**

**I jest ogród a w nim złota róża**
**tylko dla mnie świeci się wieczorem**
**Więc walizy pakuję choć wiem**
**że w tę podróż już się nie wybiorę**

☆ ★ ☆

**I znowu niedorzeczna noc**
**rozcina nożem moje rany**
**Jakby nie dosyć było tych**
**przez dzień sztyletem zadawanych**

**Lecz wszystko chwała Bogu mija**
**Poza mną mgła Przede mną mgła**
**Ech nocy głupia nie przez ciebie**
**spływa mi po policzku łza**

**Gdzieś**
**dawno dawno za górami**
**mórz i za morzami gór**
**żyła dziewczyna z warkoczami**
**co świat zbawiała wierszykami**
**Mądrym na śmiech**
**Prawym na grzech**
**Sobie na ból**

*Rys. Janusz Szymański-Glanc*

# Claude Simon — Nobel'85

Niezbadane są wyroki komitetu literackiej Nagrody Nobla. Nie ma co więc i tym razem dochodzić argumentów, przyczyn i motywacji. Dyskusje i zastrzeżenia, które pojawiają się w prasie światowej po każdorocznej decyzji, wydają się nie przenikać do staroświeckiego gabinetu jurorów. Nierzadko ma się wrażenie, iż werdykty, które tam zapadają obliczone są z góry na wywołanie zaskoczenia, niespodzianki a przecież i często szoku. Brak jakichkolwiek kryteriów, które choćby w części były racjonalne i obiektywne, pozwala członkom komitetu na ferowanie wyroków trudnych do przewidzenia. Ma to jedną dobrą stronę. Każdego roku po sztokholmskiej decyzji krytyka ma okazję do rozejrzenia się w światowym dorobku literatury, do oceny rzeczywistych osiągnięć i zasług.

Dotychczasowe decyzje od roku 1901, niemal bez wyjątku, świadczą o tradycjonalizmie i konserwatyzmie gustów komitetu choć jego skład przecież się zmieniał. Pomijając kilka przykładów, kiedy to przyznano laury nie bez podtekstów politycznych, jurorzy wydają się być impregnowani na to wszystko co w świecie się dzieje, wydają się nie dostrzegać ewolucji i przemian dwudziestowiecznej literatury. Zawsze o nagrodzie decydowały więc wartości estetyzujące i klasycyzujące raczej zachowawcze niż nowatorskie. Na plan pierwszy w komunikatach o nagrodzie wysuwano jakości ideowe i światopoglądowe. Oczywiście zdarzały się i wyjątki. Można je jednakowoż wyliczyć na palcach jednej ręki.

Czy werdykty komitetu noblowskiego zmieniają hierarchie w świecie literatury? Jeśli chodzi o literaturę powszechną, światową to na pytanie powyższe trzeba odpowiedzieć negatywnie. Natomiast w kontekstach określonych literatur narodowych Nagroda Nobla może dokonać i często dokonuje przestawień w skali obowiązujących dotąd wartości. Dla pisarza mniej znanego, elitarnego laur noblowski stanowi bardzo istotne wsparcie na drodze do czytelnika. Jakże często jednak ten okres sławy i poczytności jest krótki!

Laureatem tegorocznej Nagrody Nobla został pisarz francuski Claude Simon. U nas, gdzie zawsze nazwiska nagrodzonych traktowano z nabożną atencją i czasopisma rozpisywały się o ich twórczości, tym razem zapadła cisza. Niektóre dzienniki nie podały nawet zwyczajnej agencyjnej wiadomości. Czyżby nagle w naszej opinii Prix Nobel straciła swój autorytet? Chyba jednak nie. Przyczyna jest inna. Twórczość Claude'a Simon jest w Polsce praktycznie nieznana. Owszem czytająca publiczność wie, że jest Simon autorem powieści „Droga przez Flandrię", a co bardziej ze współczesną literaturą obeznani potrafią jeszcze go skojarzyć z tzw. nową powieścią. Na tym wiedza o laureacie 1985 roku z reguły się kończy.

W grupie dotychczasowych pisarzy francuskich obdarowanych noblowską premią (Sully-Prudhomme, Mistral, Rolland, France Bergson, Martin du Gard, Gide, Mauriac, Camus, Saint-John, Perse i Sartre, który w 1964 odmówił przyjęcia nagrody) Simon jest i nie jest zaskoczeniem. Jak objaśniłbym ten paradoks? Autor „Drogi przez Flandrię" bezsprzecznie należy do wybitniejszych pisarzy XX wieku we Francji. Ceniony jednak wyżej przez krytykę niż przez czytelników. Jest pisarzem wysoce elitarnym, ale nawet w tej grupie kreatorów i nowatorów jego pisarstwo jakby funkcjonuje na drugim planie. Spośród nich wymienia się przede wszystkim inne nazwiska i inne książki, które spotkały się z powszechniejszym uznaniem zarówno we Francji jak poza jej granicami. Sporym więc dla mnie zaskoczeniem jest informacja, iż w Szwecji wydano dotąd dziewięć jego powieści, w kraju, gdzie awangarda nigdy nie święciła specjalnych triumfów. Bo jest Simon pisarzem awangardowym, można rzec nawet, iż z listy dotąd nagrodzonych w ogóle, najbardziej na to miano zasługuje. Więc co? Nagle komitet noblowski zdał sobie sprawę, że awangarda i nowatorstwo przecież istnieją, są godne uwagi? Ale komunikat o nagrodzie jakby ten fakt negliżuje. Mówi się tam o „pogłębieniu świadomości swojego czasu i opisu kondycji ludzkiej".

Claude Simon urodził się w roku 1913 w Tananarywie (obecnie stolica Republiki Malgaskiej). Próbując swych sił najpierw jako malarz, twórczość literacką podjął stosunkowo późno. Pierwszą powieść, w poetyce zbliżoną do Alberta Camusa, wydał w roku 1945. Był to utwór pod tytułem „Le tricheur" („Oszust"), który krytyka, porównując też z „Mdłościami" Sartre'a, oceniła dość chłodno. Już w tej powieści dostrzec można próby znalezienia nowych sposobów narracji, która tu ujęta została w formę spowiedzi bohatera naczonego przez nieszczęśliwe dzieciństwo i młodość nienawiści do wszystkiego. O takich poszukiwaniach świadcza też następne powieści, (pomijam tu tom wspomnień „La corderaide" z roku 1947) „Guliver" (1952) i „Le sacre du printemps" („Święto wiosny"), powstała w dwa lata później, które krytyka łączy z kolei z pisarstwem Williama Faulknera.

Dopiero kolejna książka („Le vent" — „Wiatr") z roku 1957 i następne nadały pisarstwu Simona wyrazistość i artystyczną rangę. Wpisywał się nimi autor w kształtującą się właśnie tendencję „nouveau roman" (nową powieść) współtworząc ją i indywidualizując na równi z A. Robbe-Grillietem, Natalią Sarraute i M. Butorem. Należałoby tu może wymienić i innych, np. Becketta (piszącego też po angielsku, laureat Nobla z 1969 roku), J. Cayrola czy Marguerite Duras, ale przecież nie jest moim zamiarem pisanie historii „nowej powieści" Można mieć różne zdanie co do jej dokonań i osiągnięć. Trzeba jednak przyznać, iż ta francuska idea, której towarzyszyła wcale potężna fala piśmiennictwa o charakterze teoretycznym i programowym (notabene w przeciwieństwie do innych Simon teoretyzowaniem się nie zajmował), spowodowała najbardziej znaczące zmiany w obrazie powieści XX wieku. I to w skali, którą obecnie trudno byłoby opisać i ocenić. Nowe kategorie zapisu rzeczywistości, odnowienie form narracji, dekompozycja tradycyjnych płaszczyzn czasowych, dekonwencjonalizacja sposobów traktowania fabuły i bohatera podjęte przez nowatorów spod znaku „nouveau roman" rewolucjonizują powieść, ten zdawałoby się martwy już gatunek, po dzień dzisiejszy.

Dla tych, którzy poszukują w literaturze, a więc i w powieści, pogłębionego psychologicznie i socjologicznie obrazu naszej obecnej rzeczywistości, humanistycznych wizji człowieka, jego wzlotów i upadków, pełni jego życia, rozterek i poszukiwań, „nowa powieść" francuska nie przynosi większych satysfakcji. Bo też rzeczywiście nastawiona jest na eksperyment, badanie własnych środków, autotematyczna refleksję, a to co ma poruszyć czytelnika, wytrącić z ustalonych kolein, wstrząsnąć świadomością, a więc idea, los, światopoglądowa wizja jakby nie interesowały twórców „nouveau roman". Powiedziałbym nawet tak, że większe, ideowo odpowiedzialniejsze pokłosie zbierają eksperymenty nowopowieściowe poza literaturą francuską, a zatem poza obszarem, gdzie się narodziły i ukorzeniły. Choć nazwiska Butora, Robbe-Grilleta, Sarraute błyszczą na nieboskłonie literatury XX wieku, to przecież nie w ich powieściach to stulecie się w całym swoim skomplikowaniu zapisało.

I tu gotów jestem uznać intencje tegorocznej decyzji noblowskiego komitetu. Pisarstwo Claude'a Simon tym się wyróżnia spośród wszystkich powieściowych osiągnięć Francuzów, etykietowanych nazwą „nouveau roman", że nie rezygnując z eksperymentu, z autoświadomości własnego warsztatu, podejmuje ważkie zagadnienia egzystencjalne i historiozoficzne naszych czasów. One są punktem wyjścia i punktem dojścia dla pisarza. Myślę tu zwłaszcza o trzech jego powieściach: „L'herbe" („Trawa", 1958), „Droga do Flandrii" („La route des Flandres", 1960) i „Le Palace" („Pałac", 1962).

Historia i człowiek — tak można by w największym skrócie idee tych powieści scharakteryzować. Historia, ale nie ta jej oficjalna postać na pompatycznym koturnie, nie jej wersja układzona i sprowadzona do zewnętrznych faktów i wydarzeń. Jej obraz (II wojna światowa, „drole de guerre" Francuzów, wojna domowa w Hiszpanii) rozpada się na subiektywne cząstki, na drobiazgowe opisy przeżyć i emocji postaci poddanych próbie tragicznych zdarzeń, w których im przyszło uczestniczyć. Chronologia w tych powieściach rozbita została na chaotyczny ciąg epizodów, które przedstawiają czas wewnętrzny, psychologiczny bohaterów. Ich świadomość, czy podświadomość jest jakby jedynym spoiwem, jedynym porządkiem rzeczywistości. Pamięć więc w książkach Simona jest sprawą nadrzędną i najważniejszą: raz jako impuls samej twórczości pisarza, raz jako — by tak określić — jej bohater ideowy.

Poświadczają to kolejne powieści laureata, „Histoire" (1967), „Les georgiques" (1981), czy „La chevelure de Berenice" (1983), że ograniczę się do wybranych tytułów. Jeśliby próbować jeszcze szukać innych powinowactw dla tego pisarstwa, trzeba by chyba wymienić nazwisko Marcela Prousta, właśnie ze względu na skrajną dociekliwość w rekonstruowaniu, przywoływaniu i interpretacji przeszłości.

Mimo wszystko jest Claude Simon pisarzem trudnym (ten fakt, jak sądzę jest przyczyną omijania go przez polskich tłumaczy, choć przecież z nie takimi trudnościami dawali sobie świetnie radę!) głównie ze względu na przyjęty przez siebie sposób pisania. Zdanie Simona to nie kończący się ciąg słów przetykanych wtrąceniami, frazami nawiasowymi, licznymi imiesłowami. To słowna magma, albo bezkresny gąszcz, który wymaga ciągłej, natężonej uwagi, aby nie pogubić się w tym natłoku obrazów, refleksji i skojarzeń. „Droga przez Flandrię", jedyna tłumaczona na polski powieść Simona (ukazała się w 1982 roku, w bardzo dobrym przekładzie Wiery Bieńkowskiej), wprawdzie zniknęła z księgarń w ciągu kilkunastu dni, ale jakoś nie stała się powodem do zbyt wielu krytycznych omówień i czytelniczych rozmów. Może teraz ci liczni nabywcy („Czytelnik" wydał powieść w nakładzie 20 tysięcy, o jakim autor w rodzimej Francji mógł dotąd tylko marzyć) przymuszeni wiadomością o nagrodzie zdejmą książkę z półki „na potem" i spróbują ją przeczytać?

**GRZEGORZ GAZDA**

# Bigos hultajski

## Mieszanka firmowa literacko – obyczajowa

### „BIBLIOFILE"

Klemens Kantecki w książce „Początek Zakładu Narodowego im. Ossolińskich" (Poznań 1883) przytacza przykłady co najmniej obojętnego stosunku rodaków do książki. Czytajmy:

„Książki Ossolińskiego mieściły się nie tylko w stolicy Austrii, lecz także i w Galicji, na wsi, a mianowicie w wiosce Przybysz, należącej do gminy Zgórska.

Owe dzieła, znalezione w dziwnie opłakanym stanie, mało przyniosły korzyści. Doznawały one takiego losu, jak niektóre poklasztorne księgozbiory, np. w warszawskim kościele św. Franciszka, gdzie, jak słychać, służyły za podkładki do rupieci, za schodki do sięgania po bieliznę, za zatykadła do dziur w ścianach i dachu, w końcu zaś poszły na całopalenie w zakrystii, albo w innej, znanej nam miejscowości, gdzie ksiądz proboszcz sędziwymi, przepysznymi foliantami wyścielał sobie wśród błota drogę z plebanii do kościoła...

Mówił nam niedawno szanowny ze wszech miar p. Aleksander W. z Galicji, jak mu sąsiad z uśmiechem na ustach opowiadał, że rozniecìwszy wielki ogień na kominku, wrzucił w niego cały stos starych dyplomatów, a skwierk topiących się woskowych pieczęci sprawił mu rozkosz nie do opisania".

### ROZSĄDEK

*Młode serce siwej głowy,*
*To rozsądek narodowy.*

Kazimierz Brodziński

### WŁOSY NAPOLEONA I

Ostatnie chwile monarchii napoleońskiej, chwieje się tron cesarski. W pałacu mnóstwo podnieconych dworzan i oficerów sztabowych, a wśród nich, rozumie się, nie mogło zabraknąć wiernych do ostatka Polaków. Wspomina Józef Grabowski, oficer sztabowy marszałka Berthiera:

Cały prawie dzień nie ustępowałem z pokojów pałacowych w Fontainebleau. Co chwila tam coś nowego się działo i coraz to smutniejszego. Dezercje oficerów, otaczających cesarza, wzgardą i gniewem mnie przejmowały.

Szukałem sposobności w pałacu, abym mógł jeszcze raz widzieć Napoleona i w tym celu nazajutrz znów do przedpokoju służbowego poszedłem. Gdy tam się znajduję, patrzę, iż z pokojów cesarskich wychodzi dobrze mi znajomy kamerdyner cesarza, Constant, i trzyma w lewym ręku nożyczki i snopek mały włosów. Pytam się skwapliwie Constanta, czy to nie są włosy cesarza. Powiada, że istotnie tak. Daj mi je pan! — mówię. — Weź je pan! Wziąłem. Włosy te mam dotychczas oprawione nad miniaturą cesarza, którą mi mój przyjaciel H. S. darował i która jest pędzla sławnego malarza Isabey.

Miałem tych drogich włosów więcej, lecz gdy się moi koledzy dowiedzieli, że je mam, nie mogłem odmówić i musiałem podział zrobić, że mi się mało zostało, dosyć jednak na pamiątkę.

Francuzi znajomi napierali się ich także, ale tym dałem bez skrupułu fałszywe włosy. Może te włosy dziś są gdzie w obserwie wielkiej i w złoto oprawne, a to są realnie włosy jednej ładnej panienki, która w Fontainebleau w kwaterze mojej była (J. Grabowski, Pamiętniki wojskowe 1812—1813—1814. Warszawa 1905).

### NA TEMAT REPRINTÓW

Ostatnio sporą popularnością cieszą się tzw. reprinty, czyli wierne odwzorowanie dawnych ksiąg, których treść zachowała do dzisiejszego dnia walory poznawcze i wzbudza zainteresowanie badaczy i czytelników. Dzięki reprintom szacowne pierwodruki odpoczywają spokojnie w zaciszu bibliotecznych magazynów, ale... zdarza się czasem, że Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, główny producent reprintów, wypuszczą w świat dzieło, mogące spokojnie ustąpić swojej kolejki innemu. W ten sposób sprawdza się anegdota „U bibliomana", zawarta w kalendarzyku „Facet" na rok 1893:

— *Jak to, za tę starą książkę dałeś pan pięćdziesiąt rubli?*

— *Tak, panie, to rzadkość, biały kruk...*

— *Więc dlaczegoż jej nie przedrukują?*

— *Bo jakby ją przedrukował, to by jej nikt nie kupił...*

### PAN BÓG I RABIN

Pewien pobożny rabin miał raz to wielkie szczęście, iż mógł porozmawiać z Panem Bogiem. Rebe, nie w ciemię bity, gdy już omówił z Panem Bogiem sprawy duchowne, postanowił przy tej sposobności zrobić jeszcze jaki mały interesik. Pyta więc Pana Boga:

— *Panie Boże, czym jest dla ciebie tysiąc lat?*

— *Tysiąc lat to dla mnie chwilka!* — brzmiała odpowiedź.

— *A tysiąc koron?*

— *To tyle, co jeden halerz!*

— *Panie Boże, daj mi jednego halerza.*

— *Poczekaj chwilkę.*

„Diabeł", 1910, nr 7

**Opracował:**
**ANDRZEJ KEMPA**

# Mozartowski zadatek

Już piąty sezon działa Teatr Wielki pod obecną dyrekcją i dopiero teraz rozbrzmiewa w nim muzyka Mozarta. Dla prawdziwych melomanów, którzy na operę przychodzą głównie dla jej muzyki (i dla śpiewaczego wykonawstwa), ta absencja jednego z największych kompozytorów w historii muzyki była czymś coraz bardziej niepokojącym, zwłaszcza iż trafiały w tym okresie na naszą scenę opery o dość miernej wartości muzycznej, choć nieraz godne były uwagi ze względu na swą reprezentatywność dla określonego okresu czy stylu w rozwoju teatru operowego.

Tak, to prawda, co pisze we wprowadzeniu do ostatniego programu dyrektor Sławomir Pietras, że wystawienie Mozarta jest w naszym kraju przedsięwzięciem na ogół ryzykownym (nie biła rekordów frekwencji znakomicie wykonywana swego czasu na naszej scenie „Così fan tuttae"), pomimo tego w działalności artystycznej teatru operowego dzieła Mozarta należy uznać za zadanie najpoważniejsze, jedno z najważniejszych, stanowiące zresztą surowy sprawdzian muzycznego i wokalnego mistrzostwa dla całego zespołu.

Na ten pierwszy po wielu latach kontakt z Mozartem (nie licząc gościnnych występów Berliner Staatsoper z „Czarodziejskim fletem") wybrano dwa jednoaktowe utwory małoobsadowe, choć niezupełnie kameralne, które po pewnych zabiegach inscenizacyjnych dają się połączyć w pewną jakby całość za pośrednictwem tych samych dramatis personae i wypełnić wspólnie program wieczoru.

Nie miejsce tu na szczegółową relację z poczynionych zabiegów, dość na tym, że pierwszy z tych utworów „Lo sposo deluso" (Mąż zawiedziony) wymagał uzupełnień dość licznych fragmentów partytury, które kompozytor pozostawił jedynie w szkicu, w drugim natomiast utworze, komedii mówionej z partiami śpiewanymi (Singspiel) pt. „Schauspieldirektor" (Dyrektor teatru) uznano za wskazane skorzystać z nowego tekstu libretta, napisanego przez Joannę Kulmową. Dodajmy przy tym, że „Mąż zawiedziony" (w Polsce dotychczas nie wykonywany), grywany był dotąd wszędzie na świecie pod postacią operetki czy musicalu z licznymi dowolnościami muzycznymi, toteż nasze obecne przedstawienie (oparte za to na pewnych redukcjach postaci) jest światową prapremierą tego utworu w tym kształcie, natomiast „Dyrektor teatru" ze względu na nowy tekst mówiony stanowi prapremierę polską. Dodajmy też, że w obu utworach partie wokalne śpiewane są po włosku.

Po wysłuchaniu doskonale odegranej uwertury pod batutą **Wojciecha Michniewskiego**, kierownika muzycznego „Dwóch oper" (jak zatytułowano całość programu), uwertury, która stanowi zachowany w całości oryginalny zapis Mozarta, zetknęliśmy się po podniesieniu kurtyny z uzupełnieniami muzycznymi, dokonanymi przez Michniewskiego — w scenie przygotowywania przez dyrektora i jego śpiewaków opery dla uświetnienia zaślubin **Księcia**, przysłuchującego się tym próbom ze sceny.

W tym to „teatrze w teatrze" strona muzyczna, w moim odczuciu niespecjalisty, nie odstawała stylistycznie od uwertury i od tego, co przeciętny słuchacz kojarzy, jak mi się wydaje, ze stylem mozartowskim, poza, być może, niektórymi frazami, powtarzającymi się jakby obsesyjnie, zapewne dla podkreślenia komicznego charakteru akcji scenicznej. Tu znakomicie zaprezentował się wokalnie i zwłaszcza aktorsko w roli **Buffa PIOTR NOWACKI**, również interesująco wypadła **ROMA OWSIŃSKA** jako **Pani Rossignol**. Wspaniałe, szumne entreé sławnej gwiazdy, **Pani Nachtigall** zademonstrowała **DELFINA AMBROZIAK**, która swoją partię wokalną, wymagającą raptownych „skoków" po całej rozpiętości skali wykonała bez uchybień.

W jak najlepszej formie śpiewaczej znajdował się w roli Dyrektora **ROMAN WERLIŃSKI** wykonując brawurowo, pełnym dźwiękiem swoją wielką arię, zapewne w oryginalnym mozartowskim zapisie, artysta panował też swobodnie nad aktorskimi zadaniami. Na zakończenie usłyszeliśmy godne pochwał wykonanie tercetu obu pań i Dyrektora (również w oryginale).

Z tymi samymi postaciami spotkaliśmy się w następnym utworze, ale w jakże odmienionej sytuacji dramatycznej. Zamiast wspaniałego teatru dworskiego, któremu Książę odmówił swego szczodrobliwego mecenatu, z powodu „krnąbrnej" postawy artystów, zobaczyliśmy obraz opustoszenia i nędzy, nieszczęsnego Dyrektora na gruzach swoich złudzeń wraz ze swym nieodstępnym totumfackim Buffem.

W atmosferę par excellence komediową wprowadza jednak dowcipny dialog, pełen zmyślnych makaronizmów, z którego dowiadujemy się, iż możliwości wskrzeszenia teatru ma wkrótce zbadać na miejscu na polecenie Księcia jego Tajny Radca. Jak się okaże, jedyną szansą restytucji opery jest wprowadzenie na scenę bezdusznych i posłusznych lalek zamiast żywych aktorów, od których zawsze można się obawiać daleko idącego krytycyzmu pod adresem mecenasa. Rzecz jednak kończy się... rozsądnie, artyści pojmując, że wbrew okolicznościom zewnętrznym sztuka musi służyć ludziom, idą na pewne prestiżowe koncesje wobec władcy, co brzmi jakby żywcem wyjęte było z ostatniego wywiadu Kazimierza Dejmka dla „Polityki".

W „Dyrektorze teatru" uwidoczniło się dobre przygotowanie zespołu uczestniczącego pod względem ruchowo-aktorskim, zwłaszcza panów — z **ANDRZEJEM NIEMIEROWICZEM** na czele (mówiona rola **Tajnego Radcy**). Ale i strona wokalna mogła dostarczyć wielu satysfakcji. **ROMA OWSIŃSKA** z liryczną ekspresją wykonała swoją arię, z kolei **DELFINA AMBROZIAK** zaprezentowała w stylowo wykonanym Rondzie wzorową Mozartowską lekkość i precyzję, po czym obie panie wraz z Dyrektorem i Buffem utworzyły kwartet, który chwilami rozchodził się z orkiestrą, a ponadto w śpiewie Owsińskiej dały się kilkakrotnie słyszeć zbyt ostre dźwięki w górnym rejestrze. Z powodzeniem śpiewał swoją partię Nowacki. Nie wystąpił w tym utworze **KRZYSZTOF BEDNAREK**, który poprzednio jako **Tenorino** nie miał wiele do śpiewania.

„Dyrektor teatru" okazał się ciekawszy pod względem akcji scenicznej niż „Mąż zawiedziony", co do mnie jednak, to wolałbym mniej gadania, a więcej mozartowskiej muzyki i śpiewu.

Ten pierwszy po latach wieczór Mozarta należałoby uznać za udany, do czego przyczyniła się wysmakowana dekoracja w „Mężu" i pełne dobrego smaku i urody kostiumy, zaprojektowane swojego czasu przez nieżyjącą od kilku lat **Zofię Wierchowicz**.

Czy powiedzie się zamysł ujawniony przez kierownictwo teatru zrealizowania w ciągu sześciu lat poprzedzających dwusetną rocznicę śmierci Wolfganga Amadeusza, a właściwie Johanna, Chryzostoma, Wolfganga, Teofila — czworga imion (jak podaje nieoceniony Riemann) wszystkich ważniejszych dzieł scenicznych tego genialnego kompozytora? A przy tym, czy stać będzie naszą placówkę na godną zamierzeń stylową muzycznie i wokalnie, nienaganną aktorską realizację dzieł, zwłaszcza wymagających wielkiej obsady?

Powodzenie tego zamysłu byłoby najwymowniejszym świadectwem wysokiej rangi artystycznej naszej operowej placówki.

**JERZY KWIECIŃSKI**

**Wolfgang Amadeusz Mozart:** „Lo sposo deluso" (Mąż zawiedziony, czyli rywalizacja trzech dam o jednego kochanka"), opera buffo, libretto **Lorenzo da Ponte**, niedokończone fragmenty partytury Mozarta uzupełnił **Wojciech Michniewski**, dialogi polskie **Ryszard Peryt**. „Der Schauspieldirektor" („Dyrektor teatru"). Singspiel w jednym akcie, libretto wg Gottlieba Stephaniego — **Joanna Kulmowa**. Całość programu zatytułowana **„Dwie opery"** — jako „przedstawienie **Ryszarda Peryta**". Prapremiera 9 listopada 1985 r.

*Na zdjęciu: Roman Werliński (Dyrektor), Roma Owsińska (Rossignol), Delfina Ambroziak (Nachtigall).*

*Foto: Chwalisław Zieliński*

# Ja, łodziak z Chojen...

Nurt literatury osobistej, autorefleksyjnej, wzbogaconej motywami z biografii autora, utrwalił w kulturze europejskiej mniej więcej od czasów Montaigne'a. Jego „Próby" rychło znalazły sobie zwolenników, a forma wypowiedzi bywa naśladowana do dziś przez badaczy ludzkiej duszy, którzy usiłują odpowiedzieć na podstawowe pytania dotyczące natury człowieka wraz ze wszystkimi jej uwarunkowaniami. Jest to, być może, wysiłek godny Syzyfa, jednak z pewnością wart podjęcia — pisanie o sobie jest podobno najtrudniejsze.

Jerzy Waleńczyk nie stawia sobie aż tak ambitnego zadania. Nie pisze także pamiętnika, choć niektóre opowiadania tego autora mają charakter wyraźnie wspomnieniowy, a on sam balansuje zręcznie na granicy między poetycką, rytmiczną prozą a mikroesejem filozoficznym, stawiając siebie i swoje przeżycia w centrum zainteresowania. Przywiązany do Łodzi, miasta w którym urodził się i studiował, mówi o nim z sympatią, z nutką liryzmu, z widocznym (dobrze pojętym) patriotyzmem lokalnym, a jednak gdy tylko czuje, że jego zwierzenia stają się zbyt wąskie, zbyt prywatne, wówczas natychmiast ucieka w dostojny, historiozoficzny obiektywizm. Waleńczyk jakby bał się odsłonić — będąc równocześnie podmiotem i przedmiotem dokonywanych przez siebie obserwacji jest nieustannie narażony na samookaleczenie, na psychiczny ekshibicjonizm, stąd pewna formalna bariera wzniesiona przez autora pomiędzy przedstawionym światem a jego odbiorcą. Waleńczyk dobrowolnie rezygnuje z dosłowności, wiele kwestii wypowiadanych jest nie wprost („Nie traktujmy się tak dosłownie"), ciąg skojarzeń myślowych bywa często niejasny, skomplikowany, autoironiczny, utrudniający lekturę. Jest to typowa cecha twórczości poetyckiej, metaforycznej, igrającej z podświadomością własną i czytelnika. Dążenie do samowiedzy wykorzystuje tu nierzadko zwyczajne wydarzenia i codzienne sytuacje, pojmowane jako budulec rzeczywistości najprostszej, namacalnej, zmysłowej, lecz zdolnej do nabrania wymiarów niezwykłych, metafizycznych. Poeta te zwykłe sprawy poddaje drobiazgowej analizie, filozoficznej obróbce, wprowadza w nie ład, odsłaniając ich ukryte znaczenie i ontologiczny sens. Podobnie postępuje Jerzy Waleńczyk, uporczywie poszukujący w szarzyźnie i banalności uzasadnienia dla egzystencji współczesnego człowieka, bytującego w określonych warunkach historycznych i materialnych, w rzeczywistości, której jest współtwórcą. Ale pisarz nie jest do końca przekonany o słuszności swoich spostrzeżeń, nie jest bowiem jednoznaczny i dosłowny, w swej zasadniczej postawie pozostaje sceptykiem. Świat Waleńczyka jest względny; to, co jawi się jako realne okazuje się być grą pozorów, zaś rzekome iluzje mają naturalny wpływ na powolny bieg rzeczy. Pewne jest jedynie to, iż wiele problemów posiada wiele, niejednokrotnie sprzecznych, rozwiązań. W tej sytuacji szczególnego znaczenia nabiera nie tyle samo rozwiązanie, uzależnione od punktu widzenia, od kontekstu, doświadczeń, lecz stawianie pytań, wskazywanie na istnienie związku między sprawami na pozór odległymi, nie mającymi wspólnego punktu, wspólnej natury. Waleńczyk stawia przede wszystkim pytania, zachęca do podjęcia poszukiwań, formułuje problem, wskazuje na jego różnorodne aspekty, nieraz zaskakujące, ale nie próbuje go wyjaśnić — próbuje go zrozumieć. Czy to wystarczy? Zdaniem Waleńczyka, tak. Bogactwo codzienności jest tak złożone, iż niemożliwa jest jakaś jedna odpowiedź, odpowiedzi jest wiele, tyle, ilu odpowiadających. Zadaniem artysty jest wytworzenie materiału, zwrócenie uwagi na rzeczy zazwyczaj pomijane milczeniem, dostarczenie tematu do przemyśleń.

Waleńczykowi nie jest obca tradycja kartezjańskiego „res cogitans" — człowiek dla niego jest najpierw istotą myślącą, dopiero potem czującą. Wszystko przechodzi przez filtr naszego rozumu, który jakkolwiek zawodny, jest niezastąpionym narzędziem poznania. Nie oznacza to, iż Waleńczyk traktuje człowieka jak bezduszną, myślącą maszynę — myśl i uczucie uzupełniają się u niego, razem tworzą harmonijną, jednorodną całość, prymat myśli uwidacznia się zaś w procesie poznawczym, gdzie czucie, siłą rzeczy, odsunięte jest na dalszy plan. Nasze doznania psychiczne grają równie ważną rolę — są jednocześnie motorem i wynikiem poznania, rzutują na sposób pojmowania świata, jakim się posługujemy. Ludzkie wartości składają się w równej mierze z myśli, jak i uczuć, dialog z historią, jaki podejmuje w swej książce Waleńczyk, ma w sobie tyleż racjonalizmu, co emocji, tyleż wątpliwości, co cynizmu. Od nas zależy, jak będziemy interpretować fakty, jakim opatrzymy je komentarzem.

Jerzy Waleńczyk jest na pewno pisarzem wrażliwym, ale nieco pretensjonalnym. Nie zadowala się osiągniętym już efektem, usiłuje go poprawić, uatrakcyjnić, co w rezultacie powoduje pewien formalny i intelektualny zamęt, utrudnia odbiór jego prozy. Chwilami brzmi ona nieszczerze, upaja się sama sobą, nie do tego stopnia jednak, by stać się pustą sztuką dla sztuki, zatracającą gdzieś po drodze swój sens. Waleńczyk kusi i prowokuje czytelnika, każe mu myśleć podczas lektury, skłania do refleksji, powoduje, że zdajemy sobie sprawę z istnienia nie zauważonych dotąd powiązań i zależności, będących częścią naszego codziennego bytu.

Trudno potraktować Waleńczyka obojętnie, nie zwrócić uwagi na jego zainteresowanie człowiekiem, na bystre i trafne spostrzeżenia dotyczące ludzkiej kondycji, na dywagacje natury historiozoficznej. Autor należy do tej kategorii filozofujących pisarzy, którzy potrafią pobudzić czytelnika do wytworzenia własnej drogi poszukiwań, wciągnąć go w krąg swoich rozważań. Książka Waleńczyka nie jest lekturą łatwą, ale mogącą myślącemu i czującemu czytelnikowi dostarczyć wiele satysfakcji intelektualnej.

**MACIEJ ŚWIERKOCKI**

**Jerzy Waleńczyk — Parafia Przemienienia Pańskiego, Wyd. Łódzkie, Łódź 1985, nakład 10 000 egz.**

# Wydawcy proponują

Spośród nowości znakomitej i już wcale bogatej serii dwujęzycznych edycji poezji światowej Wydawnictwo Literackie proponuje *Iwana Turgieniewa, „Poezje prozą"* (s. 226, nakł. 10 tys., cena 320 zł) w przekładzie i z objaśnieniami Pawła Hertza. Turgieniew jako poeta? Rzeczywiście, znany powszechnemu odbiorcy jako wybitny powieściopisarz i prozaik, próbował także twórczości poetyckiej. Po raz pierwszy w literaturze rosyjskiej posłużył się formą poematu prozą, gatunku który ukształtował się w Europie już w pierwszych dziesięcioleciach XIX wieku. Przystosował ów gatunek do własnych wyobrażeń o poezji, jej ideach i tematach tworząc utwory nasycone lirycznymi emocjami, a jednocześnie nie pozbawione refleksji egzystencjalnej i filozoficznej.

Także druga książka Wydawnictwa Literackiego prezentuje teksty, których po polsku dotąd nie znaliśmy. *„Utwory dramatyczne" Aleksandra Bloka* (s. 235, nakł. 5 tys., cena 180 zł) w tłumaczeniu Seweryna Pollaka i Jerzego Zagorskiego zawierają siedem sztuk, które są ciekawym przykładem dramaturgii symbolistycznej. Uzupełniają artystyczny obraz tego najwybitniejszego poety rosyjskiego „srebrnego wieku".

Trzecia nowość Wydawnictwa Literackiego z kręgu literatury rosyjskiej to tom *„Z notatników i listów księcia Piotra Wiaziemskiego"* (s. 171, nakł. 3 tys., cena 200 zł), w przekładzie Andrzeja Kępińskiego i Floriana Nieuważnego. Wiaziemski, rówieśnik Puszkina i Mickiewicza, arystokrata, potomek historycznego rodu książęcego, poeta, pozostawił po sobie także teksty osobiste, które są cennym materiałem do poznania osobowości samego autora i życia umysłowego dziewiętnastowiecznej Rosji.

Państwowy Instytut Wydawniczy pośród wielu ciekawych książek z ostatnich tygodni (niektóre z nich „Odgłosy" będą recenzować oddzielnie) przedstawia drugie wydanie *„Prób Michela de Montaigne* (t. I—III, s. 444+457+334, nakł. 5 tys., cena w opr. brosz. 900 zł, w twardej 1500 zł), w serii „Biblioteki Poezji i Prozy". Pisane w ciągu wielu lat eseje Montaigne'a stały się summą nowożytnego racjonalizmu. Opublikowane po raz pierwszy w roku 1580 i dziś są świadectwem niezależności myśli i ducha tolerancji. Przekład Tadeusza Żeleńskiego-Boya i ze wstępem Zbigniewa Gierczyńskiego.

Kolejną książkę PIW, którą tu polecam, można uznać za filologiczną sensację. Wprawdzie od dawna wiedziano o pasjach teatralnych *Bolesława Leśmiana*, ale dopiero teraz, dzięki amerykańskiej polonistce Rochelle H. Stone poznajemy dwa „dramaty mimiczne" tego poety. Tom zatytułowany *„Skrzypek opętany"* (s. 225, nakł. 10 tys., cena 220 zł), zawiera dwa teksty Leśmiana, właśnie „Skrzypka opętanego" i „Pierrota i Kolombinę" wraz ze wstępem, przypisami i notami edytorki.

W serii małych monografii biograficznych „Klasycy literatury XX wieku" którą redaguje Lech Budrecki, „Czytelnik" wydał książkę zatytułowaną *„James Baldwin"* autorstwa *Wacława Sadkowskiego* (s. 94 + ilustr., nakł. 10 tys., cena 190 zł). Twórczość tego murzyńskiego pisarza amerykańskiego odbiorca polski zna dobrze. Otrzymał przekłady zbiorów opowiadań, esejów i powieści, z których dwie („Inny kraj" i „Powiedz mi, jak dawno odszedł pociąg") były nawet wznawiane. Esej Sadkowskiego, krytyka kompetentnego i wnikliwego, przynosi uogólniającą interpretację całości dorobku Baldwina.

Po dosyć zgrzebnie zainaugurowanej serii „Trzy wieki kultury europejskiej" (tak oceniając mam na uwadze efekt drukarski) Wydawnictwo Łódzkie rozpoczyna kolejną, nazwaną „Człowiek i jego cywilizacja". Ukazała się w niej książka *Claude'a Lévi-Straussa „Drogi masek"* (s. 146, nakł. 20 tys., cena 100 zł.), jedna z nowszych prac francuskiego antropologa o światowej renomie. Mimo sporego nakładu nie jest to tzw. książka dla każdego. Zainteresuje z całą pewnością humanistów i to nie ze względu na temat (aspekty funkcjonowania indiańskich masek obrzędowych) ale z uwagi na wzorcowy — jak się ocenia — przykład analizy strukturalistycznej.

I kolejny tytuł książki, która jak i wszystkie wyżej zaprezentowane dotrze do czytelnika o określonych preferencjach. *„Miąższ zakazanych owoców" Sergiusza Sterny-Wachowiaka* (bydgoskie wydawnictwo „Pomorze", s. 180, nakł. 5 tys., cena 220 zł), to cztery szkice interpretujące dokonania polskiego futuryzmu, a w zasadzie trzech jego przedstawicieli Jerzego Jankowskiego, Brunona Jasieńskiego i Stanisława Grędzińskiego. O polskich futurystach napisano już niemało, jednak Sterny-Wachowiak, który od lat zajmuje się nowatorskimi tendencjami w literaturze XX wieku potrafił dostrzec walory artystyczne poszerzające i uzupełniające wiedzę o futurystycznej awangardzie.

Już na koniec informacja o przygotowanym przez „Iskry" tomie poezji *Krzysztofa Kamila Baczyńskiego* pt. *„Spojrzenia"* (s. 166, nakł. 30 tys., cena 380 zł), w wyborze Anieli Kmity-Piorunowej. To już bodaj trzecia książka poetycka „Iskier" (po Przybosiu i Broniewskim), do której dołączono płytę z nagranymi recytacjami wierszy. Znakomitym wykonawcą poezji Baczyńskiego jest tu Krzysztof Kolberger.

**(GRZG.)**

# Tamta Łódź

ze str. 1

wtedy krytyków literackich, filozofów czy socjologów kultury, oblegali redakcje, wysiadywali w Klubie Pickwicka (przy dzisiejszym, opuszczonym i niszczejącym hotelu „Savoy"), obsiadywali kawiarniane stoliki. Taki był styl pierwszych lat. I jeszcze inny. Wielu pisarzy chodziło w mundurach, oficerskich rzecz prosta. Ale, jeśli dobrze pamiętam, po większej części, nie wyglądali na żołnierzy. Wszystko na nich było za duże, albo za małe, jeśli nie czapki, to rewolwery, walczyli wszakże ostro piórami.

## 3.

Pierwsza dyskusja, której kibicowałem, dotyczyła zagadnienia wcale nie bagatelnego — samej organizacji pisarzy. Jedna dla wszystkich, czy też więcej? Przeciwnicy własnej organizacji pisarzy chłopskich nie zasypiali gruszek w popiele. Na łamach „Kuźnicy" z niezwykle ostrym atakiem wystąpił Adam Ważyk. O odrębności pisarzy chłopskich powiedział całkiem prosto: *„...bajdurzenie o szczególnym powołaniu wsi do twórczości kulturalnej"*. A dalej (że też cierpliwy papier to zniósł!) — *„...ów temperament, instynkt i żywioł, gleba i podgleba po niemiecku nazywa się znacznie krócej: „Blut und Boden"*.

Replikował równie ostro i dzisiaj zadziorny Zygmunt Kałużyński, oczywiście w imieniu „Wsi": *„Chłopska rzeczywistość nie daje spać zaklinaczom węży spod znaku „Kuźnicy"... razi ich surowość i występująca tu i ówdzie nieporadność chłopskiego poetyckiego słowa. Czyżby ich mowa była rodem z salonu mieszczańskiego, gdzie każde wyrażenie owija się w naperfumowaną chusteczkę? Mówią dużo o swoim marksizmie, czyżby drżeli na myśl, że możemy o tym zapomnieć, biorąc ich mylnie za reakcję?"*. Przy tej okazji Kałużyński dodał, że nie rozumie, czemuż to pisarze kręgu „Kuźnicy" uważają się za odkrywców prawdziwego marksizmu, skoro wychowali się w mieszczańskich pierzynach? Czas pokazał, że miał trochę racji, kilku pisarzy z kręgu tego tygodnika porzuciło marksizm z rzadko spotykaną łatwością, nie przechodząc nawet, lecz przeskakując do obozu przeciwnego.

Dyskusja przybierała na sile, choć powstał Oddział Wiejski Związku Zawodowego Literatów Polskich, któremu prezesował Jan Wiktor, a wiceprezesowali — Stanisław Piętak i Paweł Kubisz z Zaolzia. Mój szef, Jan Aleksander wystąpił ze swoimi poglądami na literaturę. Zaatakował z dużą furią Tetmajera, Konopnicką, dostało się także i Janowi z Czarnolasu. Nasz redakcyjny Król dowiódł z dziecinną łatwością, że Irena Piecówna jest daleko więcej warta niż Konopnicka, nie mówiąc już o Janie Baranowiczu, gdyż ich poezja naprawdę jest chłopska, autentyczna, podczas gdy tamci tylko stylizowali. Zresztą, mój ty Boże, Kochanowski był ograniczony klasowo, spętany pochodzeniem, nie mógł wyjść poza perspektywy poznawcze swojej, wiadomo przecież, klasy. Król tak sformułował zadania dla literatury:

*„Pisarz będzie miał za zadanie stać na straży nastawionej produkcyjnie i postępowo wsi. Karcić odstępstwa, nawroty do bierności i lubej zaściankowości. Jego formalne, literackie zadania ulegną również w tym okresie wielkiej przebudowy wsi — przemianom. Zrezygnuje z rodzajów i form, które by chłopa sprowadzały z drogi wielkiego napięcia energii produkcyjnej, wielkich społecznych przedsięwzięć i sycały urokami sielskiej wegetacji i przedwczesnego odpoczynku. Dziełem jego ma być nie tyle literatura piękna, ile pisarstwo mądre, docierające do poznania rzeczywistości, umiejące radzić, projektować, krytykować i głosić chwałę osiągnięć chłopskich"*.

Skóra cierpnie dzisiaj na samą myśl, co by to było, gdyby tak słowa mojego szefa zaczęły się sprawdzać. Chociaż, prawdę mówiąc, wyprorokował co nieco, ale nie on odegrał główną rolę w wyznaczaniu „nowych zadań" literaturze, lecz jego polemiści z kręgu „Kuźnicy". Dzieje tego tygodnika, kształtującego przecież w skali krajowej opinie o istocie literatury i jej perspektywach, nie zostały jeszcze napisane, a nie były z pewnością bagatelne. „Kuźnica" wywołała z miejsca wielką dyskusję, słynny w tamtych latach spór o realizm (pod takim tytułem wydał książkę Jan Kott, czołowy wtedy ideolog pisma), w której brali udział pisarze, profesorowie, docenci i adiunkci, a także co zdolniejsza młodzież polonistyczna. Stanęło na realizmie, postępowym ma się rozumieć, rozumianym po marksistowsku. Lecz co to wtedy znaczyło — po marksistowsku? Pytanie to stawiano sobie nie tylko w środowisku literackim Łodzi i całego kraju, lecz także we wszystkich innych kręgach artystycznych i naukowych. Stawialiśmy je sobie i my, studenci — przyszli krytycy, poeci, prozaicy. I różne bywały odpowiedzi, niekiedy wręcz absurdalne, jeśli przyglądać im się z dzisiejszej perspektywy.

Nasi wielcy pisarze — realiści: Prus, powiedzmy dla przykładu, Sienkiewicz, Reymont czy Żeromski, analizowani po „marksistowsku", wypadali coraz bardziej żałośnie, jako klasowo ograniczeni. W wypadku Sienkiewicza powtarzano za Brzozowskim, że to saskie parchy i szlachecki trąd niesiony w zdrowe masy ludowe. Prus otrzymał legitymację partyjną endecji ze stemplem antysemity. Reymont bywał apologetą rodzimego kułactwa i autorem obrzydliwej sceny śmierci drobnego kapitalisty — wyzyskiwacza (Boryny), który nawet w momencie śmierci pazurami drapał ziemię, wykazując jeszcze w ostatniej chwili ponury instynkt posiadacza. Żeromski popadał w odchylenie nacjonalistyczne i wraz z Sienkiewiczem czekał na wznowienia jak dzisiaj niejeden poeta na wydanie pierwszej i nie tylko pierwszej książki. „Kwiaty polskie" Juliana Tuwima okazywały się typowym poematem drobnomieszczańskim, Gałczyński — poetą tej samej prowieniencji, Iwaszkiewicz tracił wiedzę o człowieku, a i Matejko nie najlepiej nam się spisał. Przypominam sobie głośną w tamtym czasie dyskusję — analizę klasową jego obrazu — „Bitwa pod Grunwaldem", z której wynikało, że artysta wysunął na czoło swojego dzieła przedstawicieli warstwy feudalnej, nawet ów tak bardzo widoczny koński zad należał do szlacheckiego konia, a nie chłopskiego.

Oczywiście, tego rodzaju ekstremalne pojmowanie marksizmu na gruncie literatury, sprzyjało gorzkiej atmosferze zjazdu literatów w Szczecinie, kiedy niejako proklamowano jeden dla literatury kierunek rozwoju, jeden sposób widzenia konfliktów i ich rozwiązywania, jedną metodę artystycznego wyrazu. Czas zweryfikował wiele żarliwych może, ale mylnych poglądów, ale owo pytanie pozostawało — co to znaczy: po marksistowsku?

## 4.

W początkach 1946 roku ogłosił Stefan Żółkiewski w „Kuźnicy" głośny tekst, zatytułowany: „O młodszym bracie — pamflet". Pisał wtedy: *„Są grzeczni. Chcą się uczyć. Bardzo chcą się uczyć. Ale nic poza tym nie chcą. Nie szarpią się z tradycją. Nie mają żadnych własnych upodobań kulturalnych"*.

Był to ostry pamflet wymierzony również w moje pokolenie. Wyszliśmy z wojny uformowani przez określoną tradycję, niepodległościową i patriotyczną, nie chcieliśmy nadal jej się sprzeniewierzać. Może zresztą nie przychodziło nam tak łatwo na myśl, że właśnie te tradycje można po marksistowsku znowelizować?

W kilkanaście lat później napisze Tadeusz Drewnowski o tym pamflecie: *„Cios był wymierzony celnie. Nikt temu pokoleniu nie stawiał dotąd takich zarzutów i takich wymagań. Żądano od niego, by sprawnie posługiwało się parabelką, by zachowało elementarne, bardzo tradycjonalnie pojęte poczucie honoru, by gardziło śmiercią. Szarpanie się z tradycją? Ależ to my byliśmy w jej fatalnych sidłach, to ona nami szarpała! Żółkiewski przemilczał w pamflecie aktualną tej tragedii pomyłek konsekwencję: wrzenie polityczne, jakie pchnęło to pokolenie na niebezpieczne rozdroże. Podówczas był to bodaj główny dylemat polskiej rewolucji. Drogi dwóch głównych uczciwych sił — obozu polskiej reformy i patriotycznego żywiołu młodzieży — rozeszły się. Nie darmo konflikt ten stanowi kanwę najlepszych utworów rozgrywających się tuż po wojnie: „Odwetów" Kruczkowskiego i „Popiołu i diamentu" Andrzejewskiego"*.

Istotnie, chcieliśmy się przede wszystkim uczyć, wojna zabrała nam sześć najlepszych lat. Ale właśnie ta chęć przyśpieszała odpowiedź na pytanie — co to znaczy: po marksistowsku? Uniwersytet wrzał od dyskusji, widmo marksizmu krążyło po salach wykładowych, rozrzuconych po całej Łodzi, zaglądało do kin i sądu przy placu Dąbrowskiego, a nawet i prywatnych mieszkań, wszędzie, gdzie odbywały się wtedy wykłady lub seminaria. Młody, namiętny profesor Adam Schaff ukazywał niezwykłe uroki tej młodej filozofii, która zdawała się tłumaczyć wszystko. Zaprzeczał jej podczas innego wykładu profesor konserwatywny, żeby nie powiedzieć tamtym językiem — reakcyjny. Trzeba było wybierać, nieustannie wybierać. Czytaliśmy uważnie „Myśl współczesną", znakomity, a zapomniany już dzisiaj kwartalnik naukowy i społeczno-kulturalny. Tam się spierali o postawę współczesnego inteligenta nasi wychowawcy i profesorowie. Na łamach tego kwartalnika pisał nasz ówczesny rektor, prof. Tadeusz Kotarbiński: *„Trzeba tak przerobić ustrój świata, by potrzeby ludzi przestały się zahaczać jak koła pojazdów, splecione w fatalnym zderzeniu, lecz aby się zwierały tak jak ostrza kół zębatych w maszynie. Trzeba tak przerobić ustrój świata, by obawa ludów przed ludami straciła swą zasadność"*.

Wielki uczony pisał pięknie, wzywał do realizmu praktycznego, postępowania spolegliwego, zgodnego z logiką i rozsądkiem, pomijał jednak marksizm jako klucz otwierający tajemnice naszego wewnętrznego i społecznego bytu. Bliższy marksizmowi był jego polemista i następny rektor UŁ, profesor Józef Chałasiński, pisał o konieczności przetworzenia się w naród robotniczo-chłopski, który potrafi wyzyskać wszystkie siły Polski Ludowej dla pomyślnego rozwoju kraju, dla osiągnięcia poziomu cywilizacyjnego, umożliwiającego rywalizację z innymi krajami. Takiego przetworzenia nie dokona tradycyjna inteligencja polska.

## 5.

W 1946 roku ukazała się praca profesora, zatytułowana: „Społeczna genealogia inteligencji polskiej". Czytaliśmy ją z wypiekami na twarzach, rozgoraczkowani, zgadzając się i ostro protestując. Nie cała polska inteligencja pochodzi ze szlachty i nie cała przyjęła w dziejowym procesie postawę rezydenta najwyższych wartości. A Kasprowicz, Orkan, Daszyński? Pigoń, Bujak, Waryński? Znakomicie napisany esej profesora polaryzował stanowiska w obrębie mojego pokolenia i nie tylko tego pokolenia. Skrzykiwali marksistów wokół „Kuźnicy", a także i „Wsi". Marksiści uzyskali poważne wpływy w bardzo prężnym kole polonistów a i filozofów. Wciąż jeszcze widzę młode, zapalone twarze — dwie Marie: Janion i Żmigrodzka, złośliwy uśmiech hurra-marksisty Leszka Kołakowskiego, zadumanego Tadeusza Drewnowskiego, Jakuba Litwina czy Wiktora Woroszylskiego. I chociaż niektórzy z nich zademonstrowali później prawdziwe wyczyny ekwilibrystyczne w sferze światopoglądu, to jednak niezaprzeczalną wartością, jak sądzę pozostaje tamten ferment umysłowy. Esej profesora Chałasińskiego skrzykiwał i przeciwników marksizmu, którzy bardzo chętnie powoływali się na autorytet profesora Stefana Ossowskiego. Profesor od początku do końca nie zgadzał się z Adamem Schaffem, szczególnie zaś z jego artykułem pt. „Walka klas w nauce", pomieszczonym na łamach „Kuźnicy", w którym autor mocno zaakcentował niemożliwość utrzymania się postawy „neutralnej" w nauce, w świecie skomplikowanych, antagonistycznych stosunków klasowych — uczony, jak każdy myślący człowiek, zawsze się plasuje po tej czy tamtej stronie, a jeżeli tak, to nauka zawsze pełni funkcję wspierającą ideologię i politykę. Literatura zresztą też. Profesor Ossowski replikował w osobno wydanym eseju pt. „Marksizm i twórczość naukowa w społeczeństwie socjalistycznym". Pisał profesor: *„... pracownik naukowy to taki człowiek, do którego zawodowych obowiązków należy brak posłuszeństwa w myśleniu. Na tym polega jego służba społeczna, aby pełniąc swoje zawodowe czynności nie był w myśleniu posłuszny... ani synodowi, ani komitetowi, ani ministrowi, ani cesarzowi, ani Panu Bogu. Jeżeli jest posłuszny, jeżeli swoje poglądy zmienia na rozkaz... sprzeniewierza się swoim obowiązkom"*

Dyskusja była zażarta i trudna jak nasze dojrzewanie, obejmowała wszystkie środowiska twórcze i naukowe Łodzi, słusznie wtedy nazywanej stolicą intelektualną Polski, stanowiła najistotniejszą cechę atmosfery z tamtych lat. Nie były to jeszcze czasy, kiedy światopogląd dostawało się „z góry" w odpowiednim opakowaniu, trzeba go było zdobywać samemu, samemu wybierać między sprzecznymi wartościami. I chyba bardzo w tej dyskusji ważny był głos samych pisarzy. Nie wiem dokładnie, ilu ich w końcu było w Łodzi, zresztą liczba zmieniała się nieustannie, przyjeżdżali, odjeżdżali, ale z pewnością ZLP łódzki liczył w pierwszych trzech latach powojennych grubo ponad setkę pisarzy. I to jakich! Przestał dość szybko działać nie nazbyt udany w sumie Oddział Wiejski ZLP i mieliśmy jedną, jak dzisiaj, organizację pisarzy. Nie pamiętam, kto kolejno prezesował, pamiętam jednak, że pisarze polscy, również i łódzcy, choć to mocno myląca nazwa, dyskutowali ze sobą również przy pomocy książek. Czytaliśmy je często z zapartym tchem. „Medaliony" Nałkowskiej korespondowały z „Dymami nad Birkenau" Szmaglewskiej, ale już „Z kraju milczenia" Żukrowskiego stała niejako w opozycji wobec Adolfa Rudnickiego „Żołnierzy" czy „Niekochanej", „Popiół i diament" Andrzejewskiego zdawał się zaprzeczać wszystkim sensom wojaczki, wyłożonym w „Trzynastu opowieściach" Pruszyńskiego, „Sedan" Herza, czy „Mity rodzinne" Ważyka zmuszały do nowego i ostro wartościującego raz jeszcze spojrzenia na własne tradycje i tradycje pokolenia. A wszystko to działo się w ogromnie złożonej atmosferze. Owszem, nadzwyczaj bogatej w wydarzenia artystyczne.

Wychodziły świetne książki, tomy poetyckie, proza, eseje, teatry dawały znakomite przedstawienia. Schiller wystawił znowu „Krakowiaków i górali", „Celestynę", „Igraszki z diabłem", można było oglądać Adwentowicza w „Burzy" Szekspira, Mrozowską w niezapomnianych sztukach Giraudoux — „Elektrze" i „Amfitrionie 38", Zelwerowicza, Woszczerowicza, Węgrzyna, Świderskiego, Waltera, Chojnacką, Łapickiego i tylu, tylu innych. Lecz to tylko jedna strona owej atmosfery.

Były jeszcze i strajki studenckie, manifestacje uliczne, zwłaszcza po zamordowaniu studentki w parku przy Dworcu Fabrycznym, był też nieustanny ruch mas chłopskich, zwykłej biedy, w stronę dymiących fabryk ziemi obiecanej, starych, zużytych, niezdrowych. Robotnice pracowały w bielnikach w wodzie po kostki W Klubie Pickwicka, „Fraszce", czy u Piątkowskiego nie słyszało się strzałów, ale one padały gdzieś za rogatkami, w lasach pomiędzy Piotrkowem i Wieluniem, tam jeszcze szalał i „Warszyc" i „Murat". O brzasku szły matki do pracy na kolejną zmianę w tym mieście pozbawionym podstawowych urządzeń komunalnych, przyrównywanym do Bombaju. Pamiętam jeszcze beczkowozy snujące się po ulicach w porannych godzinach i długie kolejki ludzi z wiaderkami. Ale nie pamiętam, aby Łódź, jej skomplikowana przecież problematyka przedostawała się na łamy ówczesnych, „własnych" pism. Łódź okazywała się niegodna tamtych świetnych piór, nie stanowiła nawet jakiejś rzeczywistości przykładowej dla szerszych rozważań, darmo szukać reportaży z fabryk czy przedmieść. Życie kipiało, szumiało, ale niemal jedynie wzdłuż Piotrkowskiej. Łódź to ulica Piotrkowska i to, co się nie chciało na niej zmieścić — pisał wtedy złośliwie satyryk.

## 6.

Łódź to znacznie więcej. Ale ta prawda, a cóż to za osobliwy paradoks — wyszła na wierzch po wielkim exodusie. Od roku 1948 począwszy zaczęli miasto opuszczać nie tylko pisarze, ale także wszyscy inni artyści i naukowcy, porzucały Łódź również instytucje, całe zespoły teatralne. Kiedy w połowie lat pięćdziesiątych przyjmowano mnie do Związku Literatów Polskich, jego oddział łódzki liczył niewiele ponad dwudziestu pisarzy. Rozpoczął się powolny proces formowania autentycznie już łódzkich środowisk twórczych chyba w dobrej atmosferze, która wytworzyły gościnne występy polskiej czołówki artystyczno-kulturalnej i naukowej. Zabłyśnie na nowo wielki talent łódzkiego barda Mariana Piechala, zwróci uwagę poezja i proza Antoniego Kasprowicza, tak bardzo z Łodzią związanego. Te związki podkreśla w swojej twórczości — Tadeusz Chrościelewski i Władysław Rymkiewicz, Tadeusz Papier i Edward Szuster, Tadeusz Gicgler, Józef M. Kononowicz i inni. Pisarze, a zwłaszcza ich ówczesny prezes Stanisław Czernik, przyczynią się walnie do powstania Wydawnictwa Łódzkiego, poprowadzą przez pewien czas znakomicie redagowany dwutygodnik „Kronika", póki nie zostanie on jak najbardziej niesłuszną decyzją — zamknięty. Zaczną więc wydawać (po dzień dzisiejszy) kwartalnik — „Osnowa", odegrają niebagatelną rolę przy powstaniu „Odgłosów". Ale to już całkiem inna historia.

**WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI**

# Skądżeście? Z miasta Łodzi

(...) Oczywiście do miasteczka, w którym przed wojną mieszkałem, przyjeżdżali ludzie z Łodzi, najczęściej do krewnych, a także wyjeżdżali stąd do Łodzi w odwiedziny. Mówiło się wtedy: „Z. pojechał do miasta Łodzi" albo „N. przyjechał z miasta Łodzi". Bardzo mnie to dziwiło, a nawet śmieszyło. Jako młody chłopiec zapytywałem ojca, dlaczego nie mówi się, że ktoś przybył z miasta Krakowa czy wyjechał do miasta Poznania. Wskutek tej osobliwości Łódź rysowała się w mej wyobraźni jako miasto wyjątkowe, niepodobne do żadnego innego w Polsce, a może nawet na świecie.

W latach późniejszych, ale jeszcze przed rokiem 1939, przeczytałem o Łodzi dwie rzeczy: felietony Zygmunta Nowakowskiego, zamieszczone w „Geografii serdecznej" i reportaż Ksawerego Pruszyńskiego „Żółci kulisi" w jego zbiorze „Podróż po Polsce". I jeden, i drugi autor utwierdził mnie w moich wcześniejszych wyobrażeniach, a Nowakowski, choć pisał z felietonową przesadą i „wisielczym humorem", wywołał nawet coś w rodzaju grozy. Oto jego słowa: „To miasto nie ma najmniejszego sensu, a trzyma się i nie tonie jedynie dlatego, że jest naprawdę jakąś tragiczną, poczwarną Łodzią Charona, pływającą po bezdennym bagnie. Łódź jest oczywistym absurdem, toteż kiedy człowiek, otoczony zewsząd mniejszościami narodowymi, idzie przez te idiotyczne, długie, karykaturalne ulice, zalane tłumem obcym i dziwnie nie zindywidualizowanym — odnosi się wrażenie, że to nie miasto, lecz jakiś przykry kawał. To jedyne miasto, do którego nikt nie przyjeżdża dla przyjemności. Jeśli idzie o charakter łodzian, to główną jego cechą jest osobista odwaga. Bądź co bądź, żyć stale w Łodzi — to wymaga pewnej wytrzymałości i męstwa."

A na innym miejscu w tej samej książce Nowakowski dodaje, że „Łódź ciągle jeszcze czeka na swojego Nerona".

Mając takie wiadomości, sprowadziłem się do tego miasta w sierpniu 1950 roku. Było to już prawie po zakończeniu słynnego „exodusu", kiedy z Łodzi, pełniącej w pierwszych latach po wojnie rolę i obowiązki stolicy, w miarę odbudowywania Warszawy zaczęły wynosić się instytucje, redakcje czasopism i dzienników, teatry, a wraz z nimi naukowcy, artyści, dziennikarze i literaci. Jednym z ostatnich, który jak spóźniony ptak odleciał za zespołem „Kuźnicy", był Artur Sandauer. Objąłem po nim mieszkanie w Domu Literatów przy ulicy Mickiewicza 8 na trzecim piętrze. Sandauer pozostawił mi w spadku „Biblię" w języku hebrajskim oraz „Czarodziejską Górę" Tomasza Manna po niemiecku. Jak na początek — dobre i to. (...)

Łódź mnie olśniła. Nie mogłem wyjść z podziwu, że ktoś tak rozsądny jak Zygmunt Nowakowski nawypisywał o niej tyle bzdur. Chodziłem z upodobaniem po ulicach, cieszył mnie ruch i gwar ludzki. Nie widziałem w tym mieście nic brzydkiego. Naturalnie Łódź lat trzydziestych, którą opisał Nowakowski, i Łódź lat pięćdziesiątych, którą ja oglądałem, to dwa nieledwie obce sobie miasta. Domy i ulice pozostały wprawdzie te same, ale życie zaczęło płynąć innym rytmem, a i ludzi przybyło tu zewsząd niemało: głównie z miasteczek i wsi podłódzkich, lecz także z terenów wschodnich, z Kieleckiego, pozostało też trochę warszawiaków, bowiem nie wszyscy, których losy zagnały do Łodzi, mieli ochotę wracać do gruzów i zniszczeń stolicy.(...)

Inny jeszcze wzgląd zadecydował o tym, że Łódź bardzo mi się podobała. Oto stęskniłem się za prawdziwie miejskim życiem. Będąc w Berlinie — mieście ogromnym, ale rozbitym i pozbawionym normalnej egzystencji — a następnie mieszkając parę lat pod Szklarską Porębą, w niewielkiej osadzie, odczuwałem dojmującą potrzebę szerszych kontaktów z ludźmi, zwłaszcza o podobnej jak moja profesji. Nie uśmiechało mi się przebywanie z dala od większych ośrodków kulturoznawczych, a i to muszę dodać, że nie przepadałem i nie przepadam za wsią i tzw. życiem na łonie natury.(...)

Czy Łódź zaspokoiła te moje oczekiwania? W dużym stopniu — tak. Nie miałem tutaj przyjaciół, poza jedynym moim znajomym jeszcze z okresu przedwojennego, Stanisławem Piętakiem, ale zaraz po osiedleniu się począłem nawiązywać pierwsze kontakty w środowisku literackim i dziennikarskim. Złożyłem między innymi wizytę kierownikowi działu kulturalnego w „Dzienniku Łódzkim" — Leopoldowi Beckowi, z którym rychło znaleźliśmy wspólny język, jako że obaj lubiliśmy poezję Rilkego, Wiedeń i literaturę austriacką. Wkrótce też stałem się współpracownikiem „Dziennika". Była to osobliwa, w tej formie możliwa jedynie w tamtych czasach, współpraca, o której dziś, gdy ją wspominam, powątpiewam, czy istniała naprawdę, czy nie był to przypadkiem jakiś zabawny sen. Leopold Beck dzwonił do mnie na przykład o drugiej w nocy i zamawiał wiersz na określony temat — na godzinę dwunastą w południe tegoż samego dnia. Gdy, wyciągnięty z łóżka i rozespany, wymawiałem się, Beck podbijał mi bębenka mówiąc, że nie takie potęgi pisały na zamówienie i korona im z głowy nie spadła, a Goethe był w ogóle zdania, że najlepsza poezja to poezja okolicznościowa. (...)

W tym pierwszym okresie mojego pobytu w Łodzi wiele przestawałem także z Janem Huszczą, Jerzym Millerem, Wacławem Mrozowskim i Edwardem Szustrem. Nieco później zbliżyłem się do rdzennych łodzian: Mariana Piechala, Grzegorza Timofiejewa i Antoniego Kasprowicza. (...)

(Z książki „Tranzytem przez Łódź")

**JAN KOPROWSKI**

# Polemiki • Listy • Opinie

## Redakcja — Czytelnicy

ANDRZEJ BOGUSŁAWSKI, Łódź, Retkinia-Piaski przysłał do redakcji list w sprawie sposobu przydziału mieszkania Zbigniewowi K. i jego żonie Emilii K., lekarzowi stomatologowi. Sprawa sposobu przydziału tego mieszkania jest przedmiotem sporu między zarządem spółdzielni „Polesie" a samorządem osiedla Retkinia-Piaski. Rzecz polega na tym, że Zbigniewowi i Emilii K. przyznano mieszkanie większe niż im to przysługuje przede wszystkim dlatego, aby Emilia K. mogła wykonywać zawód stomatologa. Następnie Emilii K. przyznano dodatkowo pomieszczenie użytkowe znów dla wykonywania zawodu, a więc na gabinet stomatologiczny. I temu właśnie sprzeciwiają się działacze samorządu Retkini-Piaski.

*„Ktoś powie* — pisze Andrzej Bogusławski — *cóż to za sprawa małego pokoiku na XI p. Materialnie może mała, ale moralnie duża. Pomijając skargi, pisma, konflikt z dyrekcją i radą nadz., ważniejsza jest OBAWA, aby ten „mały" szwindel nie był przykładem, żeby nie PRZERODZIŁ się w szerszą falę prywaty, demoralizacji, kumoterstwa itd...".*

List Andrzeja Bogusławskiego — zgodnie z jego życzeniem — przesłaliśmy do Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej. I oto otrzymaliśmy do wykorzystania i dla poinformowania zainteresowanych Czytelników o wynikach działania IRCh. W odpowiedzi na interwencję Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej RSM „Polesie" odpowiedziała:

*„Korzystanie z niewielkiego pomieszczenia na gabinet stomatologiczny podniesiono do rangi problemu społecznego. Sprawa ta, zdaniem Zarządu, niczym nie godzi w interes społeczny mieszkańców tego budynku, a jest jedynie w kręgu zainteresowania nielicznej grupy osób z Komitetu Osiedlowego, którzy w ten sposób chcą po tylu latach odnawiać i odgrzebywać zadawnione sprawy".*

Innego zdania jest natomiast Wojewódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa w Łodzi, w której piśmie z 14 sierpnia 1985 roku można znaleźć takie stwierdzenie:

*„...uważamy, że sprawa nie została rzetelnie wyjaśniona oraz mimo naszej prośby nie wyciągnięto stosownych wniosków".*

Zarząd WSM w Łodzi zalecił Zarządowi RSM „Polesie" rozwiązanie *„umowy o najem lokalu użytkowego przeznaczonego przez zainteresowanych na gabinet stomatologiczny"*. Ale Rada Nadzorcza wniosek ten odrzuciła, wychodząc z założenia, że w okresie, kiedy dokonywano przydziału mieszkania dla Zbigniewa K. i Emilii K. — był to rok 1979 — dokonano tego wedle obowiązujących wówczas przepisów. Zarząd WSM w Łodzi nie uznał stanowiska Rady Nadzorczej RSM „Polesie" i przeprowadził rozmowy wyjaśniające z członkami Komisji Rewizyjnej RSM „Polesie". W wyniku tych rozmów okazało się, że w 1982 roku z powodu choroby syna Michała powstała konieczność przeniesienia gabinetu stomatologicznego na XI piętro. Ale stosowne decyzje w tej sprawie Sanepidu i lekarza pediatry noszą daty 1985 roku. Tak więc podpisując umowę o wynajęcie lokalu użytkowego w 1982 roku Zarząd RSM „Polesie" popełnił uchybienie. Zarząd tłumaczy się przed Komisją Rewizyjną RSM „Polesie", że w *„1982 r. nie istniała szczegółowa regulacja prawna przyznawania tego typu lokali"*, a więc nie musiał domagać się odpowiedniej dokumentcji lekarskiej dla poparcia wniosku o przydział lokalu użytkowego na XI piętrze.

Komisja Rewizyjna pismem z dnia 16 września 1985 roku poinformowała Radę Nadzorczą RSM „Polesie", że *„wniesie na posiedzenie Rady Nadzorczej szereg propozycji i poprawek do Projektu Regulaminu przydziału i najmu lokali użytkowych w RSM „Polesie"*. Poprawki te mają w przyszłości uniemożliwić powstawanie podobnych konfliktów. Natomiast w sprawie użytkowania lokalu na XI piętrze przez Emilię K. Komisja Rewizyjna stanęła na stanowisku, że gabinet stomatologiczny jest *„jedynym miejscem wykonywania zawodu"* oraz, że 75 procent mieszkańców bloku, w którym się ten gabinet znajduje, 31 stycznia 1985 roku wypowiedziało się za jego utrzymaniem, w tej sytuacji nie ma *„dostatecznych podstaw o wymówienie umowy"*.

I chyba na tym czas zakończyć ten spór.

REDAKTOR DYŻURNY

**UWAGA MIŁOŚNICY ZDZISŁAWY SOŚNICKIEJ!** Z Fan Klubu z Torunia otrzymaliśmy prośbę o podanie adresu tegoż, aby miłośnicy Zdzisławy Sośnickiej mogli wymieniać informacje, płyty i inne materiały reklamowe. Niniejszym spełniamy prośbę. Oto ten adres: Beata Czaja FAN CLUB Zdzisławy Sośnickiej skrytka pocztowa nr 22, 87-107 TORUŃ.

## DROBNE BŁĘDY, ALE...

W sympatycznym i poczytnym „Głosie Robotniczym" z nr 255 (12582) z dnia 1—3 listopada 1985 r., ukazały się dwa artykuły związane ze „Świętem Zmarłych", w których delikatnie mówiąc „wypaczono historię".

W artykule pt. „Cmentarz wojskowy w Arnhem" E. Kudaj pisze:

„...W Arnhem (Belgia) spoczywają prochy żołnierzy polskich z I Armii Powietrzno-Desantowej gen. Sosabowskiego, którzy polegli tu w operacji desantowej w działaniach zaczepnych pod nazwą „Market — Garden" w październiku 1944 r. Polacy stracili tu 23 proc. stanu osobowego dywizji...".

Dwa zdania i kilka błędów.

1. Arnhem nie leży w Belgii tylko w Holandii.

2. Gen. Stanisław Sosabowski nie był dowódcą I Armii Powietrzno-Desantowej, ale dowódcą 1 Polskiej Samodzielnej Brygady Spadochronowej.

3. W operacji tej wzięła udział polska brygada, a nie dywizja.

4. Operacja „Market — Garden" przeprowadzona została w dn. 17—26 września 1944 r., a nie w październiku tegoż roku.

Druga sprawa to artykuł Feliksa Bąbola pt. „Jest 136 takich miejsc". Pisze w nim:

„...tegoż 8 września najwyższą ofiarę ponieśli w Jeżowie żołnierze batalionu utworzonego ze składu 82 i 84 Dywizji Piechoty Armii „Łódź"...".

I dalej...

„...walczyliśmy jako niedobitki dalej poddając się komendzie innych oddziałów, już nie 10 łowickiej, czy 26 Dywizji Piechoty, czy Armii „Poznań", ale komendzie Armii „Pomorze"...

W kampanii wrześniowej 82 i 84 pułk piechoty z 30 Poleskiej Dywizji Piechoty nie były nigdy dywizjami. Tak samo nie był dywizją 10 pp z Łowicza.

MIECZYSŁAW KOZAK
(Łódź)

## INFEKCJA CZY DEZYNTEGRACJA POZYTYWNA?

Nie znam specjalnie pedagogiki, ani nie jestem za mocny w psychologii, ale wydaje mi się, że uczestnik dyskusji nt. młodzieży (ODGŁOSY nr 42/85) popełnił błąd łącząc nazwisko profesora Kazimierza Dąbrowskiego z „zasadą infekcji pozytywnej", jak to określił.

Nazwisko K. Dąbrowskiego kojarzy mi się jedynie z „teorią dezyntegracji pozytywnej", której zasady wyłożył w wielu publikacjach, np. „O dezyntegracji pozytywnej — rola nerwic i psychonerwic w rozwoju człowieka" (1961), „Trud istnienia" (1975), „Osobowość i jej kształtowanie poprzez dezyntegrację pozytywną" (1975), w pracy zbiorowej „Zdrowie psychiczne" (1931), której trzecie wydanie w PWN było jeszcze niedawno do nabycia.

Istota tej teorii łączy się zresztą ściśle z tematem młodzieży. Teoria ta wprowadza pojęcie 5 poziomów rozwoju psychicznego człowieka, z których tylko poziom pierwszy i ostatni jest stanem integracji tj. równowagi psychicznej, zaś pozostałe trzy poziomy są stanami dezyntegracji czyli rozbicia psychicznego. Rewolucyjnym podejściem profesora było zwrócenie uwagi, że poziomy dezyntegracyjne są potrzebne, a wszystkie nieprzyjemne jej strony takie jak lęki, niepokój, depresje, konflikty, zmniejszone poczucie własnej wartości i inne cierpienia są jakby złem koniecznym dla osiągnięcia dezyntegracji wtórnej, czyli pełnej harmonii jednostki z samym sobą i otoczeniem.

Młodzież cechuje się tym, że na ogół znajduje się na którymś z etapów dezyntegracji. I bardzo dobrze. Zadaniem wychowawców jest pomóc jej w przejściu tych etapów i baczenie, aby objawy tej „choroby" nie zabijały jednostek, słowem, by rzeczywiście dezyntegracja ta była „pozytywna".

Problem zdaje się tkwi w tym, że wielu wychowawców znajduje się również na poziomie dezyntegracji (pozytywnej) albo co gorsza, utknęło na poziomie pierwszym tj. integracji tzw. pierwotnej. Stan ten, normalny u małego dziecka należy traktować jako niebezpieczne zatrzymanie rozwoju u człowieka dorosłego. Rozwija on bowiem inteligencję, która służy tylko za narzędzie do zaspokajania wrodzonych popędów cechuje się brakiem introspekcji i konfliktów wewnętrznych, przy częstych konfliktach zewnętrznych, (także z podopiecznymi) powodowanych nieliczeniem się z innymi ludźmi.

Zbyt często uważa się, zwłaszcza w uczelniach wyższych, że dobry naukowiec będzie również dobrym wychowawcą. Tymczasem w procesie wychowawczym nie tak ważna jest inteligencja, jak e m p a t i a czyli zdolność współodczuwania z innymi ludźmi, której zatrzymani na pierwszym etapie rozwoju mieć nie mogą.

EUGENIUSZ KNYPL

## W 1936 ROKU BYŁ STRAJK OKUPACYJNY W „NEPTUNIE" W KOŃSKICH.

Wybudowane na przełomie XIX wieku i początkach XX odlewnie „Słowianina", S. Kronembluma, Pirzyca i J. Mintza w Końskich zaczęły w latach trzydziestych XX stulecia ograniczać świadczenia socjalno-bytowe „giserów". Co świetlejsi robotnicy nie godzili się z tak dużym wyzyskiem, poczęto organizować grupy oporu. Powstały komórki Komunistycznej Partii Polski, która wysunęła hasła: 8-godzinnego dnia pracy, urlopów wypoczynkowych, równouprawnienia kobiet i niezatrudniania młodocianych. Hasła te nie były respektowane przez właścicieli. Żeby nie udzielać urlopu wypoczynkowego, zatrzymywano odlewnie na 3—4 miesiące, gdyż wtedy robotnicy nie uzyskiwali prawa do wypoczynku. Wypłacano za okres przestojów „zapomogi" w wysokości od 30 do 40 proc. zarobku. Najbardziej odczuwali to robotnicy zarabiający 1,80 zł dziennie.

U J. Mintza zatrudniano dzieci. Przynosiły one obiad ojcom i wtedy zastępowały „oczyszczaczy". Czyściły odlewy szczotkami drucianymi. Zarabiały około 3 zł.

W Końskich wyrabiano odlewy maszynowe, pompy nurnikowe, rezerwuary (spłuczki), wiertarki kolumnowe i stołowe, kieraty, wialnie, sieczkarnie, buksy do wozów konnych, rury kanalizacyjne i „kazany" (rodzaj garnka bez ucha). Prócz odlewni, która w systemie dwuzmianowym zatrudniała około 400 giserów-formiarzy, były warsztaty montażu i smołownia. Niskie zarobki, ciężkie warunki pracy spowodowały, że z inspiracji KPP robotnicy zorganizowali klasowe Związki Zawodowe Metalowców.

Wiosną 1936 r. z Okręgu w Radomiu przyjechała delegatka Rita Riwosz, która wyznaczyła miejsce spotkania na Skale Rogowskiej. Udział w nim wzięli między innymi Jan Milner, Władysław Słowiński, Mikołaj Salata, Mikołaj Stańczyk. Zorganizowano komitet strajkowy. Datę strajku uzgodniono na pierwszą połowę czerwca 1936 roku.

Strajk stał się faktem dokonanym, na czele komitetu stanęli: Jan Milner, Władysław Słowiński, Władysław Skowroński i Józef Sroka. Trzeba było nie lada umiejętności, aby grupę około 800 robotników i robotnic zorganizować do trudnych zadań strajkowych. Chłopi z Moliszewic i Browarów przywieźli kilka furmanek słomy do sienników i ziemniaki, Powszechna Spółdzielnia Zjednoczenie — Sklep Nr 1 przy ulicy Małachowskiego (dziś 1 Maja) — dostarczała pieczywo i mleko. Środki finansowe czerpano ze składek pozostałych odlewni: S. Kronembluma, Hercvelda i „Elki" (Zakład Materiałów Ogniotrwałych), gdzie robotnicy dobrowolnie oddali po dwie dniówki. Wystawiono pikiety, żeby właściciel nie mógł sprzedawać i wywozić towaru. Dyrektor Rajchan — zięć J. Mintza — zaczął „urabiać" łamistrajków, których zgłosiło się zaledwie kilku.

Lato 1936 roku było gorące. Dla młodych robotników były to „wakacje". Ale szybko zaczęła doskwierać nuda. OM TUR powołał zespoły: estradowy i wokalny, zaczęto ćwiczyć. Zrobiono scenę, ustawiono ławki, słuchano pieśni rewolucyjnych i oglądano skecze. Występowali wtedy: Władysław Skowroński, Marian Malasiński, Wikta Świniarska (Turalska), Anastazja Szczepanik, Michalina Sroka, Gienka Starnowska.

Kuchnią zajmowali się: Jan Komisarczyk i Józef Sroka. Inni: Michał Połczyński, Stanisław Siudek, Władysław i S. Skowrońscy zagrzewali do wytrwałości.

Miałem 8 lat, gdy z mamą, która miała przepustkę do komitetu strajkowego, chodziłem do Sklepu Nr 1 po zaopatrzenie na „talon" o wartości 5 zł na tydzień. Ojciec leżał akurat w łóżku na artretyzm. Moja siostra, Jadwiga strajkowała w „Neptunie".

Strajk zbliżał się ku końcowi. Jankiel Mintz zgodził się na podwyżkę o parę groszy od skrzynki formierskiej. Rewolucyjnie nastawionych robotników chciał zwolnić. Sprawa oparła się o inspektora pracy w Radomiu i nikogo nie ukarano.

KALIKST ZAWADZKI
(Końskie)

## ALBO OSCHŁOŚĆ SERCA

Różnymi rzeczami już się ludzie przechwalali. Nie ma granic ekshibicjonizmu. Ale żeby przechwalać się oschłością serca, znieczulicą moralną — rzadki to przypadek. W. Afelt zakreśla granice współczucia (ODGŁOSY nr 40/85). Poza tą granicą znajdują się pensjonariusze więzień mający nawet 1 rok w wyroku. Im ciężej — tym lepiej — czytamy między wierszami tekstu W. Afelta. „Będzie trochę spokoju od idioty, który od rana do nocy pętą się w okolicy, przeklina, marudzi".

Znerwicowani na co dzień zapominamy, co jest najważniejszym celem kary: prewencja i reedukacja. A jak reedukować, jeśli nie będziemy chcieli się wczuć czyli współczuć skazanym? Nawet największy zbrodniarz ma prawo do obrońcy czyli współczucia.

Lew Tołstoj powiedział „Karać znaczy po rosyjsku nauczać" i uważał jeszcze, że „Kara jest pojęciem, z którego ludzkość zaczyna wyrastać". Z psychologii wiadomo, że jeśli dolegliwość kary przekroczy pewną granicę, nie może spełniać swojej roli jako środek wychowawczy. Może nie jest aż tak, jak oceniał to L. Tołstoj, że „żadna przemoc nie poskramia, lecz rozdrażnia człowieka", ale przemoc powinna być ograniczona do niezbędnego minimum, jeśli ma odnieść pozytywny skutek. Zemsta może jest rozkoszą bogów (zwłaszcza greckich), ale nie powinna być motywem postępowania ludzi.

T.E.L.

## MUZYKA, DLA KTÓREJ CHCE SIĘ ŻYĆ

Stało się już tradycją, że Józef Skrzek daje w nieregularnych odstępach czasu w Planetarium w Chorzowie swoje własne recitale. Gromadzą one, bez szerokiej reklamy, grono kilkuset wielbicieli jego fascynującej muzyki. Planetarium może pomieścić wyłącznie 350 osób, chętnych jest trzy razy więcej. Formuła widowiska łączącego doznania słuchowe i wzrokowe nadal urzeka. Muzyk wykorzystując Planetarium, jako doskonałą salę koncertową, zapewnia intymny bliski kontakt wykonawcy i publiczności. Na kopule przedstawiana jest wizja Wszechświata. Na koncert przyjeżdżają wycieczki z całego kraju. Były też wycieczki z odległych stron Czechosłowacji oraz NRD.

I jak zwykle (poza kilkoma pierwszymi minutami kręcenia filmu przez TVP) w absolutnej ciemności nie widać wirtuoza. Widać tylko gwiazdy, planety, komety, mgławice, słychać przenikającą na wskroś muzykę. Najnowsza godzinna suita tworzy kilka motywów rozwijanych w wielu wariacjach, zda się improwizowanych. Całość nazwana przez Józefa Skrzeka „Podróżą w przestrzeni" jest kojąco-relaksowa. Jest jakby nawiązaniem do poprzedniej suity „Podróż w krainę wyobraźni".

Po koncercie Józef Skrzek zaprosił słuchaczy na spotkanie do Domu Pracy Twórczej znajdującego się obok Planetarium.

— Komponuje pan również muzykę dla teatru, filmu, baletu. Czy również w tej dziedzinie może pan w pełni wywrzeć piętno swej indywidualnej tożsamości? Istnieją tu przecież ramy, których artysta nie może przekroczyć? — padło jedno z pytań.

— Dotychczas pracowałem z wieloma twórcami: z Jerzym Skolimowskim, Adamem Hanuszkiewiczem, Konradem Drzewieckim i Piotrem Szulkinem. Dano mi pełną możliwość swobodnego tworzenia bez ingerencji i stwierdzono, że to jest właśnie to. A więc moje propozycje trafiały do ich wyobraźni. Tak było między innymi z „Karłowiczem" w Teatrze Wielkim w Łodzi, czy też z „Otello" w obsadzie Daniela Olbrychskiego i Piotra Fronczewskiego. Tworzyłem własne obrazy muzyczne i zachowałem swoje oblicze muzyczne w pełnym wymiarze i to się liczy.

— Jaki jest pan w życiu? Co sobie cenisz najwyżej: sztukę, miłość, ideały?

— Miłujący i kochający prawdę, mamę, która jest moją nauczycielką od 4 roku życia, żonę Alinę, która inspiruje mnie oraz 2-letnią córeczkę Karinę... Poszukujący — tworzący — wykonujący...

— W przyszłym roku ma pan dać pierwszy koncert z Filharmonią w Rzeszowie, czy będzie to z pełną orkiestrą symfoniczną czy też z kameralistami? Jaki to będzie repertuar?

— A więc będę w całości wykonywał własne utwory z „Follow my dream", które grałem z SBB, w pełnym składzie orkiestry symfonicznej. Następnie z kameralistami własne kompozycje i klasykę: Mahler, Mendelssohn, Bach i Chopin.

JACEK OLEŚKIEWICZ
(Syców)

RENÉ FÜLÖP MILLER

# W „sanktuarium"

Drzwi od przedpokoju otworzyły się i Rasputin wszedł szybkim krokiem do pokoju. Miał na sobie niebieską świąteczną koszulę, pluszowe spodnie i błyszczące buty. *A więc przyszłaś, moja duszko* — powiedział, przystępując do mnie, po czym objął moje plecy ramieniem i nachylił się w przód, aby mnie pocałować; odwróciłam się szybko, gdyż chciałam uniknąć tego rodzaju czułości.

*Grzegorzu Jefimowiczu* — powiedziałam rozdrażniona — *proszę na drugi raz zawiadomić służbę o tym, że pan zaprasza do siebie gości!*

Rasputin zadał sobie wiele trudu, by mnie wprawić z powrotem w dobry humor. *No, nie bądź taka zła, moja duszko, nie dasz się przecież wytrącić z równowagi przez ten zadarty nosek? Już tyle razy mówiłem tej wstrętnej osobie, aby mi nie sprawiała kłopotów z gośćmi. A dzisiaj zwróciłem jej również uwagę, że cię oczekuję, no, przebacz mi, moja duszko!* Pocałował mnie i zaciągnął do przedpokoju. *Chodźmy do nich*, nalegał na mnie podczas zdejmowania futra; nagle popatrzył na mnie, zadumał się i powiedział: *A może to będzie lepiej, jak zostaniesz osobno, gotowaś mi w końcu umknąć, skoro zobaczysz, co się tam w środku dzieje.*

*Jak będę chciała odejść, zrobię to bez tego*, odpowiedziałam. *Jest mi tylko trochę przykro, gdyż nie znam wcale tych dam.*

Rasputin potrząsnął niecierpliwie głową. *Wystarcza w zupełności, że ja cię znam! No, chodźmy, moja duszko!* Po czym objął mnie mocno; wprowadził mnie do jadalni, przystąpił do stołu i rzekł: *Oto przyprowadzam wam ją, ona mnie miłuje...*

Skinęłam głową i usiadłam na pustym miejscu przy końcu stołu; Rasputin usiadł obok mnie: moje początkowe zakłopotanie poczęło powoli znikać, tak, że mogłam się oddać bacznej obserwacji tego niezwykłego towarzystwa.

Było tu razem dziesięć pań, między nimi zaś jeden jedyny mężczyzna, w żakiecie; jego poważny i skupiony wyraz twarzy świadczył o nurtujących go troskach i zmartwieniach. Obok niego siedziała, wciśnięta głęboko w krzesło, brzemienna, młoda kobieta: jej twarz była niesamowicie blada, a jej wielkie, jasnoniebieskie oczy patrzyły na Rasputina z całkowitym oddaniem i uwielbieniem. Byli to pan i pani Pistolkors. Jak domyśliłam się z kilku rzuconych później uwag, pan Pistolkors przyszedł jedynie dlatego, że nie chciał swej żony pozostawić samej. Obok Aleksandry Pistolkors siedziała stara Gołowina; jej zwiędła już twarz odznaczała się swoistą, spokojną dystynkcją, zrobiła na mnie przyjemne wrażenie. Gołowina poczynała sobie, jak gospodyni tego domu, witała gości i kierowała tokiem rozmowy.

Niedaleko od niej, po prawicy Rasputina, siedziała piękna, choć już nie pierwszej młodości dama, w nadzwyczajnie strojnej sukni; obok młodego mężczyzny zajęła miejsce nieco otyła, melancholijnie wyglądająca pani w szarej, źle skrojonej sukni. Patrząc na nią, odnosiło się wrażenie, że przestała przed chwilą płakać, na co wskazywałyby zaczerwienione oczy i czerwone plamy na policzkach. Była to właścicielka jednego z najznakomitszych gimnazjów prywatnych, stara i oddana przyjaciółka Rasputina, która widziała w nim swego najlepszego opiekuna, doradcę i przyjaciela, tak, że niczego nie przedsiębrała bez jego błogosławieństwa. W danej chwili, podobnie, jak stara Gołowina, poczynała już spostrzegać i potępiać jego błędy i wady, do których w pierwszym rzędzie zaliczała zbyt swobodne odnoszenie się do kobiet.

Tuż obok niej siedziała wysoka, bujnie rozwinięta pani w nieokreślonym wieku, elegancko ubrana, w głębokiej żałobie; pani ta, podobnie jak i jej sąsiadka, nie odezwała się przez cały wieczór ani jednym słowem.

Silne zainteresowanie wzbudziła natomiast we mnie następna kobieta; wysoka, pełna blondyna, niepiękna i dosyć niegustownie ubrana, ale jej czerwone zmysłowe usta i niespokojne żarzące się jak węgiel oczy, musiały skupić na sobie uwagę każdego obserwatora. Wyraz jej twarzy posiadał pewne cechy rozdwojenia i zwodniczości. Takie twarze spotykamy zarówno u wyrzekających się przyjemności doczesnych bohaterek, jak i u kobiet nurzających się w żądzy i rozpuście, które oddają się grzechowi tak spokojnie i naturalnie, jak gdyby brały kąpiel lub udawały się na spoczynek do miękkiego łoża. Była to pani Anna Wyrubowa.

Siedząca obok niej Munia Gołowina obserwowała mnie swymi łagodnymi, bladoniebieskimi oczyma częściej i dłużej aniżeli inne zebrane tu panie. Miała na sobie jasną, szarą, lekką sukienkę jedwabną i mały kapelusik przyozdobiony fiołkami; wyglądała drobno i delikatnie, ruchy jej były niepewne, a głos dźwięczał bardzo cicho. W każdym jej spojrzeniu, w każdym słowie, było tyle wzruszającego oddania i całkowitego podporządkowania się woli Rasputina, że mimo woli zadałam sobie pytanie: *Czym on na to zasłużył?*

Gdy kilka chwil potem rzuciłam wzrokiem na sąsiadkę Muni, nie mogłam przez kilka sekund odwrócić oczu od jej twarzy. Ponura, prawie żółta, o wielkich, podłużnych, czarnych oczach, wydawała się nieżywa, a przecież działała pociągająco, dzięki specjalnemu wyrazowi tajemniczego smutku. Cera jej była nienaturalnie blada, tym ostrzej przeto uwydatniały się wąskie i czerwone usta. Siedziała spokojnie i obojętnie, trzymając przez cały czas ręce w hermelinowym zarękawku; była to wielka księżna Milica Mikołajewna, „Czarnogórzanka".

Gdy zajęłam miejsce, począł mnie Rasputin częstować, przysuwając do mnie po kolei cały szereg potraw.

*No, pij, pij* — powiedział Rasputin i wysunął przed siebie talerz z jajami. Natychmiast wyciągnęły się w jego kierunku ręce wszystkich pań.

*Ojcze, proszę o jajo...*

Szczególnie silny był wyraz chorobliwego, niecierpliwego pożądania w oczach ciężarnej damy. Patrzyłam na nią z podziwem, graniczącym ze strachem, gdyż to wszystko wydało mi się dziwne i niesamowite.

Rasputin pochylił się nad stołem, chwycił w garść kilka jaj, obłupał je i kładł kolejno na wyciągnięte ku niemu ręce. Po obdzieleniu wszystkich zwrócił się ku mnie i zapytał: *A ty też chcesz?*

Odmówiłam, twierdząc, że nie mam apetytu; wszystkie patrzyły na mnie silnie zdziwione, po czym opuściły wzrok ku ziemi. *No, dobrze, dobrze*, powiedział szybko Rasputin i usiadł z powrotem na swym miejscu.

Po chwili podeszła doń Wyrubowa i podała mu na kawałku czarnego chleba dwa solone ogórki. Rasputin przeżegnał się i począł jeść, zagryzając na przemian chleb ogórkami. Jadł zawsze rękoma, nawet do ryb nie używał nakrycia stołowego. Poza tym miał zwyczaj, że bezpośrednio po jedzeniu, obtarłszy tylko lekko ręce o obrus, głaskał swoje sąsiadki po twarzy i rękach. Nie byłam do tego przyzwyczajona i naszło mnie uczucie wstrętu, gdy Rasputin spróbował to uczynić ze mną: odchyliłam się w tył i schowałam ręce do zarękawka.

W tej chwili ukazała się na progu pokoju Mara, córka Rasputina; miała na sobie ciemnoczerwoną suknię i takiegoż koloru wspaniały jedwabny pasek: włosy jej były starannie ułożone w loki. Wszyscy obecni wyciągnęli ku niej ręce, witając się z nią serdecznie: *Mara, Maroczka, dzień dobry!* Po czym usiadła Matriona Rasputina na honorowym miejscu obok starej Gołowiny.

Zachodzące słońce rzuciło swoje odbłyski na biel stołu. Zmrużyłam lekko oczy i powiedziałam: *Jak pięknie jest teraz na świecie!*

Rasputin pochylił się ku mnie: *Dla ciebie wyszło słońce spoza chmur, gdyż ty pragniesz dobra i dusza twoja pełna jest dobroci! A wiesz, to zawsze jest tak: słońce świeci tylko temu, kto posiada wiarę! Jeśli jego promienie padną na ziemię, to użyczają wszystkim ludziom specjalnego uroku, jeśli zaś poczniesz szukać wiary, to natychmiast wschodzi ona jak słońce. Idź do kościoła, powiadam ci, idź.* Tą radą zakończył Rasputin swą niejasną mowę, której wszyscy słuchali w nabożnym skupieniu.

*Czy wszystko zależy od Kościoła?* — zapytałam.

Rasputin odsunął szybko stojącą przed nim szklankę i zawołał: *A w jaki sposób dasz sobie bez Kościoła radę w tym życiu? Słuchaj, co powiem, a zrozumiesz. Opowiem ci trochę o zwariowanej Oldze, o tej, która się tu wkrótce zjawi: Olga kochała Boga, żyła zgodnie z przepisami religii, odwiedzała zawsze kościół. Ale każda ścieżka jej wąska i Olga zgubiła po pewnym czasie ślad swojej drogi, rozumiesz? Odpadła ode mnie wespół z Iliodorem, ale mi jej szczerze żal! Zobaczysz zresztą sama, jakiego ruchu ona tu narobi, ta wściekła suka! Zdaje się jej nieszczęsnej, że wyświadcza mi wielką przysługę, rozumiesz, ze swymi szatańskimi szaleństwami! Czuję to w mym sercu: Zanim jeszcze dokończę mą szklankę herbaty, będzie tu już Olga.*

I rzeczywiście, jakby dla potwierdzenia jego słów, rozpoczął się w przedpokoju gwałtowny hałas. Odwróciłam się w kierunku na wpół otwartych drzwi, gdzie ukazała się nieprawdopodobnie jasna, szeroka, jasnoróżowa, nadęta, kudłata odrażająca postać. Na przywitanie wrzasnęła wysokim, piskliwym głosem *Chr-y-y-stus zmar-twych-wstał!*

Rasputin zapowiedział mi w ponurym nastroju: *Ot, masz tę Olgę, przeżyjesz dziś coś niezwykłego.*

Nie mogłam z początku niczego rozróżnić i miałam tylko na wpół świadome wrażenie, jak gdyby przeleciała obok mnie biała kula z kudłatej, kozłej skóry. Nowo przybyła rzuciła się na ziemię w pobliżu krzesła Rasputina, oparła głowę o róg krzesła i wrzeszczała dalej, jak opętana. Dotknięta do żywego patrzyłam w dół i zauważyłam, jak coś pokrytego gęstą, żółtą wełną, podobnego do zwierzęcej szyi, poczęło się unosić ku górze. Pani Łochtina uniosła się nieco ku górze, podała Rasputinowi tort czekoladowy i krzyknęła głosem cichszym już i bardziej ludzkim:

*Przyniosłam ci ze sobą coś, co jest białe z zewnątrz, a czarne w środku.*

Od chwili ukazania się nowego gościa Rasputin siedział ponury, ze zmarszczonym czołem i wzrokiem utkwionym w zupełnie innym kierunku. Teraz odwrócił się nagle, wziął tort, postawił go niedbale na brzegu stołu i krótko oświadczył:

*No, dobrze, uspokój się tylko, przestań, szatanie.*

Łochtina podskoczyła żwawo, wyprostowała się, objęła od tyłu głowę Rasputina i obsypała ją dzikimi pocałunkami; wykrzykiwała przy tym ciągle przyśpieszonym i urywanym głosem:

*Och, ty mój najdroższy.. uosobienie błogosławieństwa.... ach, piękna brodo... wspaniałe włosy... mnie, męczennicy... ty drogocenna perło... kamieniu szlachetny... ty mój ubóstwiany... Boże mój... Ty mój najukochańszy!*

Rasputin odwrócił się od niej zrozpaczony i wyrzucił z siebie zdławionym głosem:

*Precz, szatanie! Precz, ty diable, ty wyrodku! No, dobrze, już dobrze, ach ty.* — Po tym nastąpił potok najordynarniejszych wyzwisk. Wreszcie oderwał jej ręce od swej szyi, rzucił ją z całych sił do pobliskiego kąta i, cały czerwony, rozgniewany do ostateczności, krzyknął:

*Zawsze doprowadzasz mnie aż do grzesznej wściekłości, ty przeklęta, wstrętna bestio!...*

Łochtina dowlokła się, ciężko dysząc, do kanapy i położyła się. Gestykulując ramionami owiniętymi w pstre welony, poczęła na nowo głośno zawodzić:

*A przecież jesteś mój, a ja należałam do ciebie! Należałam do ciebie! Och, moje życie! Moje życie należy do ciebie; teraz dopiero widzę, jakie ono piękne! Boże mój! Jestem twoja, niczyja, tylko twoja! Ktokolwiek by stanął między nami, jesteś mój, a ja twoja! Bierz sobie, ile tylko chcesz kobiet, a przecież żadna nie zrabuje mi ciebie! Mój jesteś, mój! Powiedz, powiedz, że mnie nienawidzisz! A ja mimo wszystko wiem, że mnie kochasz, ko-cha-cha-chasz!*

*Nienawidzę ciebie, ty suko* — odrzucił jej Rasputin szybko i zdecydowanie. *Przede wszystkim muszę to jeszcze raz powiedzieć, że nie kocham ciebie, lecz nienawidzę! W tobie siedzi szatan! Zabiłbym cię najchętniej, chciałbym zetrzeć twoją twarz na miazgę!*

*Ale ja jestem szczęśliwa, szczęśliwa, a ty mnie kochasz!* — krzyczała Łochtina, kołysząc się wciąż na kanapie i trzepocząc pstrymi szmatkami i wstążeczkami. Z kanapy wydobywał się zgrzyt łamanych sprężyn. *Zaraz położę się znów koło ciebie.*

Nagle podbiegła znów do Rasputina, chwyciła wśród dzikich i wyuzdanych okrzyków jego głowę i poczęła jak szalona obsypywać ją pocałunkami.

*Ach, ty diable!* — ryknął z wściekłością Rasputin. Znów uderzenie, znów potoczyła się Łochtina ku ścianie, szybko jednak podskoczyła w górę, wyprostowała się i krzyknęła prowokująco: *No, bij mnie tylko! Bij, bij mnie!*

Coraz wyżej i wyżej podnosił się ton jej głosu, we wrzaskach tych leżało tyle niesamowitego szaleństwa, że wszystkimi obecnymi zawładnął nieokiełznany strach.

Potem opuściła głowę i usiłowała ucałować własną pierś w tym miejscu, w które uderzył ją Rasputin; gdy zauważyła jednak bezowocność swych usiłowań, podskoczyła na nowo, poczęła biec naokoło pokoju i rzucać w próżnie niezliczoną ilość głośnych, zmysłowych i szalonych pocałunków. Przyciskała ręce do piersi, a potem całowała je, co wprawiało ją w stan lubieżnej ekstazy. W końcu uspokoiła się nieco, podeszła do kanapy, położyła się i nakryła welonami.

*Bo-o-że, Bo-o-że, jesteś naszym władcą i panem!* wykrzyknęła nagle wśród ogólnego milczenia.

Rasputin, który począł pić herbatę, zwrócił się ku niej: *No, na Boga, teraz to naprawdę stracę cierpliwość! Głowę ci rozbiję, ty wściekła kobyło! Zatrułaś mi serce, przeklęta! Abyś tylko zdechła, abym tylko nie musiał cię więcej oglądać!*

*Dlaczego pan tak przeklina?* spytałam oburzona; w tej chwili ściągnęłam na siebie oczy wszystkich obecnych.

Rasputin poklepał mnie po plecach i odpowiedział w swym zwykłym, przyjaźnie brzmiącym głosie: *Pomyśl, moja duszko, muszę ją przeklinać, gdyż opuściła Kościół; nie dość, że sama odpadła, usiłuje jeszcze nieszczęsna pociągnąć za sobą Munię!*

*Przecież pan sam powiedział przed chwilą, że należy wszystko wybaczyć*, wtrąciłam.

*Co słyszę, kto tak mądrze mówi?* — krzyknęła nagle Olga Łochtina, po czym odrzuciła w tył welon i patrzyła na mnie badawczo swymi wielkimi, ciemnoszarymi, ciągle jeszcze pięknymi oczami. *Kto to jest? Nowa? No, chodź do mnie, szybko, szybko! Na kolana, na kolana padnij, ucałuj moją rękę!* Tupiąc z niecierpliwości nogami wyciągnęła ku mnie rękę i wywijała nią we wszystkich kierunkach.

*Nie mam najmniejszej ochoty paść w tej chwili na kolana* — odpowiedziałam. *Rękę pani chętnie pocałuję, choć nie czynię tego na pani rozkaz.*

*A więc przecież głupia* — krzyknęła Łochtina. *Mądre słowa z głupiej głowy.*

*Milcz, opętany szatanie* — zauważył gniewnie Rasputin. — *Nie doprowadzaj mnie do ostateczności! Sama jesteś głupia.*

Jeszcze raz próbowałam uspokoić ich. — *Niech pan przestanie kląć* — powiedziałam zniecierpliwiona.

Panie siedzące naokoło stołu milczały nadal, twarze ich jednak dziwnie poczerwieniały, oczy poczęły zachodzić mgłą, a oddech stawał się szybszym i bardziej nieregularnym. Na twarzy starej Gołowiny ukazały się ciemne plamy.

Rasputin zwrócił się do mnie z zaciekawieniem: *Czemu jej tak bronisz?*

*Żal mi jej* — odpowiedziałam.

*Nie chcę litości od ludzi* — krzyknęła na to Łochtina. *Jestem samotna, ale jestem przy tym silna! Krzyczę dzień w dzień to samo, ale ludzie wokoło mnie są głusi i ślepi!*

Nieoczekiwanie wmieszała się do rozmowy stara Gołowina. *Nie rozumiem*, powiedziała zwracając się do Łochtiny. *Dlaczego pani rozmyślnie stara się rozgniewać Grzegorza Jefimowicza! Czy pani nie widzi, jak bardzo mu to wszystko jest przykre?*

Pani Wyrubowa powstała nagle ze swego miejsca, przystąpiła do Łochtiny, uklękła przed nią, chwyciła jej rękę i złożyła na niej pocałunek.

*A więc przyszłaś do rozsądku?* — powiedziała Łochtina całkiem spokojnie. Zaraz jednak potem poczęła znowu krzyczeć:

*Nie zapominaj o tym, że ręki mojej nie wolno dotykać. Całuj, całuj, ale nie waż się dotknąć!* Zamilkła tak nagle, jak nagle rozpoczęła przedtem krzyczeć, opuściła głowę, odsunęła w bok welon i zaczęła obserwować twarze siedzących wokoło gości.

*Nie widzę mej wielbicielki! Gdzie jest, czemu nie przychodzi do mnie? Na kolana, na kolana, całuj moje ręce!*

Munia Gołowina wstała i podeszła, podczas gdy Wyrubowa wracała na swoje miejsce, do Łochtiny, uklękła i w nabożnym skupieniu pocałowała jej rękę.

*No, czekaj tylko, poganko* — zawołał Rasputin. *Czy ja nie znajdę w końcu ratunku przed tobą, ścierwo przeklęte? Wy obydwie* — tu zwrócił się do Muni i do Wyrubowej — *spróbowałyście jeszcze raz upokorzyć się przed Olgą! Przysięgam na Boga, że nie wpuszczę was więcej za próg mego domu, wyrzucę za drzwi razem z tamtą, przeklęte! A na ciebie, krucze ścierwo, znajdę też w końcu jakiś bicz...*

*Bóg ko-o-cha pra-a-wdę* — wrzasnęła Łochtina.

*W tobie jednak nie ma prawdy, ty wyrzutku z piekła!* — mruknął Rasputin. Munia wróciła na miejsce ze łzami w oczach i silnie zarumienionymi policzkami.

*Ja ci jeszcze pokażę, ty brudny gluptasie* — zagroził jej powtórnie Rasputin.

Stara Gołowina, której cała twarz pokrywała się z wolna czerwonymi plamami, zapytała nieśmiało:

*Grzegorzu Jefimowiczu, czemu tak złorzeczysz Maruszce?*

*A dlaczego twoja córka jest mi nieposłuszna, dlaczego popełniła grzech? Całuje Olgę po rękach i słucha jej, nieszczęsnej, we wszystkim?*

Łochtina wyprostowała się na kanapie, zdarła zasłony z twarzy i krzyknęła do Rasputina, jak oszalała:

*Zabierz mnie stąd, bij mnie! Przeklinaj, ile tylko zechcesz, pluj na mnie! Ale nie pozwól, aby mnie znieważały! Nie wolno im przechodzić obok twej świętej siostry! Gdy ja jestem u ciebie, one muszą przysłuchiwać się i milczeć! A teraz chcę położyć się obok ciebie i zaraz to zrobię...*

*Spróbuj tylko, suko* — odpowiedział jej groźnie Rasputin, po czym wstał i przybrał obronną postawę. *Jeden ruch z twojej strony, a rzucę cię o ścianę, tak, że potem własnej rodziny nie poznasz!*

*Nie pojmuję, dlaczego pani rozmyślnie usiłuje doprowadzić do wściekłości naszego Grzegorza Jefimowicza* — wtrąciła znowu pani Gołowina.

W tej chwili rozległ się dzwonek telefonu, Rasputin podszedł do aparatu i rozpoczął zupełnie naturalnie i spokojnie mówić:

*No, tak, mam gości u siebie, pijemy właśnie herbatę. Przyjdziesz jutro?*

W tym duchu rozmawiał przez kilka minut z jakąś nieznajomą zwolenniczką.

Łochtina uspokoiła się nagle, zsunęła się cichutko z kanapy i udała się do sypialni; Rasputin, który właśnie odszedł od aparatu telefonicznego, dał Muni ręką znak, by poszła za nią. Szybkimi, kocimi ruchami, prześliznęła się Munia poza plecami pań siedzących na kanapie i postępowała ostrożnie za Łochtiną. Ta przystanęła nagle przed drzwiami sypialni, odwróciła się i zapytała pogardliwie Munię:

*Co chcesz, uważać na mnie?*

Powiedziała to tak władczo i tak dumnie, że można było w tej chwili zupełnie zapomnieć o jej błazeńskim stroju i dotychczasowym zachowaniu się. Nawet Rasputin zmieszał się nieco, inaczej też brzmiał teraz jego głos:

*Nie posłałem jej za tobą, lecz dla uporządkowania moich koszul.*

*Nie interesują mnie nowe rzeczy* — rzuciła wzgardliwie Łochtina. *Chcę mieć twoją koszulę, twoją! Zedrę ci ją z ciała! Jeśli zechcę, wezmę ją a ty mi ją dasz! Ale tam muszę mimo wszystko wejść!*

Wpadła po tych słowach do sypialni, za nią zaś smyknęła drobnymi krokami Maria, podobna do skaczącego zwierzątka. Rasputin dopadł biegiem drzwi, wyszedł i zamknął za sobą gwałtownie.

Zaraz potem powstał za drzwiami straszliwy hałas; coś upadło na ziemię i rozbiło się; po chwili nastąpiły uderzenia w coś miękkiego; wszystkie te odgłosy zagłuszyło nieludzkie wycie i okrzyki. Wrzaski stawały się coraz bardziej rozpaczliwe, w końcu trzasnął ktoś drzwiami, w przedpokoju rozległy się ociężałe kroki i Łochtina wpadła do jadalni, cała rozwichrzona, z podartym welonem. Wykrzykiwała coś niezrozumiałego i wymachiwała konwulsyjnie rękami.

Równocześnie wrócił też z sypialni Rasputin czerwony, skąpany w pocie, zdyszany. Obok niego smyknęła Maria, jak rybka; trzymała coś w ręce, przecisnęła się poza plecami siedzących pań i siadła, szybko oddychając, obok matki. Łochtina, spostrzegłszy ją, podbiegła do stołu, zatrzymała się jednak nagle w połowie drogi i zagroziła jej obiema rękami.

*Świństwo* — krzyknęła, wpadając z każdym słowem w większą wściekłość. *Błoto! Świństwo! Ścierwo! Gdybyś go naprawdę kochała, musiałabyś wiedzieć, że taki państwowy gnój nie nadaje się wcale dla niego, że potrzebny dlań jest jedynie bezcenny, oryginalny zegar wysadzany rubinami, brylantami, szmaragdami i bursztynem! Taki, jaki widziałam niedawno na Newskim Prospekcie! Tylko taki należy się mu! Ten jednak dawaj tu! Dawaj! Muszę go zetrzeć w moździerzu, zetrzeć na proch i wyrzucić na gnój, na popiół! Och, nie kochasz go, nędznico i kłócisz się wciąż ze mną!* Maria podała sąsiadce drobny przedmiot, który natychmiast począł wędrować z ręki do ręki. Był to złoty zegarek Rasputina z orłem, podarunek cara. Przez kilka minut nie słychać było w pokoju nic prócz wrzasków, wycia, złorzeczeń i ordynarnych wyzwisk. Głosy Rasputina i Łochtiny zlewały się chwilami w jedno, chwilami zaś goniły się wzajemnie tak, że nie można było nic zrozumieć; reszta pań natomiast siedziała nadal przy stole spokojnie i cicho. Tylko twarze stawały się bledsze, u niektórych zaś bardziej czerwone, aniżeli zwykle.

Pierwsza ustąpiła Łochtina, cofnęła się bowiem przed napierającym na nią Rasputinem, podbiegła do kanapy, rzuciła się na nią i, zupełnie wyczerpana, zamilkła. Rasputin usiadł, ciężko dysząc, na swoim miejscu i począł obcierać rękawami jasnoniebieskiej koszuli pot ściekający z twarzy. Przez kilka sekund trwało teraz głębokie ogólne milczenie.

**(Fragmenty książki „Święty demon Rasputin i kobiety")**

# Czy miała Pani zawodowe szczęście?

Tym razem interesuje mnie pytanie, czy wśród 4 znanych i lubianych aktorek oraz nie mniej popularnych aktorów wszyscy mają zawodowe szczęście, jako że i ono odgrywa w aktorskich karierach ważną, a często wręcz decydującą rolę. Na przykładzie moich rozmówców można prześledzić wzloty i upadki ich karier, co akurat w ich indywidualnych przypadkach najmniej było uzależnione od nich samych.

Na pytanie: **— Czy miała (czy nadal ma) pani zawodowe szczęście?** — odpowiadają:

**JADWIGA JANKOWSKA-CIEŚLAK, ANNA DYMNA, EWA BOROWIK, BARBARA WRZESIŃSKA.**

*Ewa Borowik*

*Anna Dymna*

*Jadwiga Jankowska-Cieślak*

*Barbara Wrzesińska*

## JADWIGA JANKOWSKA-CIEŚLAK: „AKTORSTWO MA W SOBIE COŚ Z KAMIENIARSTWA..."

**— Spodziewałem się, że zobaczę panią w makijażu i w efektownym stroju domowym, że po tak wielkim sukcesie w Cannes, będzie pani choć raz i na dłużej gwiazdą filmową?**

— A po co? Jest pan rozczarowany?

**— Trochę. W jakiej kreacji pokazała się pani na festiwalu?**

— W pożyczonej od Małgorzaty Niemirskiej. Myślę, że była przepiękna i efektowna. Jak później pokazywałam zdjęcia, wszyscy byli zdziwieni, że i ja mogę nosić takie suknie.

**— Jak czuła się pani schodząc po słynnych schodach festiwalowych i słysząc owacje?**

— Czułam się potwornie. Trema. Ponadto to jednak straszna wysokość i odległość. Myślałam, że się przewrócę, ale na szczęście schodziłam pod rękę z reżyserem Karolem Makkiem. Pewnie sama bym nie zeszła. W sumie to ogromne przeżycie, tym bardziej, że zdarza się raz w życiu.

**— Czy otrzymała pani jakieś propozycje filmowe?**

— Nieciekawe.

**— Ale na pewno i tak je pani przyjęła?**

— Nie chciałabym tego zdradzać, bo mam pecha i kiedy coś głośno planuję, to zwykle nie dochodzi do realizacji.

**— Czy wierzy pani w sukces polskich aktorek na zachodnim rynku filmowym?**

— Wierzę, po przykładzie Krystyny Jandy, choć tak niewiele do nas dociera o tym, co robiła na Zachodzie. Sądzę, że mamy jednych z lepszych aktorów w świecie i powinni oni szerzej przeniknąć na świat.

**— A pani?**

— Trochę wiedzą o mnie na Zachodzie, zrobiłam tam trzy filmy.

**— U nas nigdy nie było pani za dużo, bo dozowała pani siebie. Czym się głównie kierując?**

— Głównie zdrowiem. Przede wszystkim psychicznym.

**— Czy pani jest pewna swojego talentu, czy może nic nie wie o swoich atutach, bo nie wierzy w siebie?**

— Nie jestem pewna.

**— Ale szczęście zawodowe uśmiechnęło się do pani dosyć wcześnie?**

— Zrezygnowałam z pierwszej roli w filmie, bo miałam inne plany życiowe. Przyjmując tę rolę, musiałabym wziąć urlop dziekański, byłam wtedy na drugim roku PWST. Przyszłyby następne filmy i moja przyszłość aż do dyplomu aktorskiego wciąż by się oddalała. Chciałam skończyć studia w normalnym trybie. Mając 18 lat mogłam być na ustach połowy Polski, tylko że wtedy niewiele umiałam. Zresztą bardziej fascynowało mnie życie akademickie niż filmowe.

**— Po filmie „Trzeba zabić tę miłość" znane pania w całym kraju?**

— I otrzymałam bardzo dużą ilość propozycji. Zaczęłam być wybredna i wydawało mi się, że przyjmuję tylko najlepsze oferty. Okazało się, że nie były najlepsze. Kilka z nich przeczytałam, kilku ludzi obraziłam ale nie chciałam wciąż powielać postaci Magdy. Przecież łatwo jest odrywać kupony od tego, co się zrobiło, lecz drepcze się w miejscu i poza pseudopopularnością — niczego się nie osiąga. Nie chciałam się powielać, tylko wciąż zmierzać do przodu, choć nie wiem — co to znaczy. Rzadko zaczęłam się pojawiać na ekranie. Grałam jedną rolę co 5 lat. Nie zarobiłam pieniędzy, nie urządziłam się, ale nie wypaliłam się i posiadam w zanadrzu jakąś niewiadomą, która w przyszłości będzie mi dawała satysfakcję. Miałam tylko szczęście pracować z dobrymi reżyserami.

**— Nie miała pani szczęścia do ciekawych ról?**

— Moje pierwsze role w „Ostatnim liściu", „Dziewczynie i gołębiach" mogłaby zagrać każda aktorka, ja w nich nic specjalnego nie znalazłam. Propozycja roli w filmie „Sam na sam" wydawała mi się wspaniała, powstał melodramat, który nie dorósł do naszych oczekiwań. „Pani Bovary to ja" była jedną, wielką aferą. To był bardzo niedobry film. Lubiłam i cenię do dziś rolę z telewizyjnego spektaklu „Mój piękny dzień urodzin" o Krystynie Wituskiej. Cenię też dwie role teatralne: tytułową „Matkę" oraz Violę i Sebastiana z „Wieczoru trzech króli". Do aktorskich osiągnięć zaliczam ostatnią rolę filmową — dziennikarkę Ewę z węgierskiego filmu „Inne spojrzenie", gdzie po raz pierwszy patrzyłam na siebie bez bólu.

**— Ale grała pani role, które nie dawały jej satysfakcji?**

— Grałam. W trakcie roboty okazały się zdecydowanymi pomyłkami, bo w scenariuszu były ciekawe.

**— Mimo początkowego szczęścia towarzyszy pani uczucie niedosytu, rozczarowania?**

— Tak, mam je w sobie.

**— W jaki okres pracy teraz pani wchodzi?**

— Nie wiem, rozstałam się z nastolatkami, pierwsza naiwna nie będę, jeżeli już... to może ostatnia naiwna.

**— Z natury jest pani jednak optymistką?**

— Wyłącznie.

## ANNA DYMNA: „BAŁAM SIĘ ZOSTAĆ AKTORKĄ NIEPOTRZEBNĄ..."

**— Podobno nie chciała pani być aktorką?**

— Nie i nigdy jej nie udawałam. Wydawało mi się, że to najdziwniejszy zawód na świecie. Dużym przeżyciem było dla mnie powiedzenie czegoś publicznie, podziwiałam więc aktorki, które obnażały się publicznie i wcale nie były zażenowane.

**— Do filmu dostała się pani przez przypadek czy tzw. szczęście?**

— Kiedyś przyszedł do PWST filmowiec i robił zdjęcia dziewczętom z I i II roku, a później otrzymałam telegram, że jestem zaproszona na zdjęcia próbne. Nie mogłam otworzyć oczu przed reflektorami i chciałam uciekać. Wygrałam dwa etapy próbnych zdjęć i tak się zaczęło.

**— Jakie role powierzano pani w filmie?**

— Na początku grałam nieciekawe postacie, bo miałam określone warunki fizyczne. Były to głupie, naiwne panienki. Filmy „Nie ma mocnych" i „Kochaj albo rzuć" to filmy, w których nie było ról do zagrania dla mnie. Przez wiele lat grałam takie role. Dojrzałą kobietę zagrałam dopiero w „Epitafium dla Barbary Radziwiłłówny". Obecnie jestem trochę starsza i role naiwnych panienek grają młodsze koleżanki.

**— Chce pani być inna?**

— Nie chcę być inna. U aktora najważniejsza jest osobowość. Najważniejsza jest dusza aktora, nie twarz. Zdaję sobie sprawę, że do filmu dostałam się dzięki swoim warunkom fizycznym. Znam mnóstwo koleżanek, które w tym czasie były lepszymi aktorkami, ale miały inne warunki fizyczne i do tej pory nie zagrały w filmie. Na początku uroda jest bardzo ważna, później zaczyna przeszkadzać.

**— Reżyserzy i widzowie chcą panią oglądać wciąż piękną, subtelną i romantyczną.**

— Tymczasem jestem najzwyklejszym człowiekiem, żyję tak jak każda kobieta, gotuję, pielęgnuję kwiatki, jeżdżę na rowerze, szyję, maluję obrazki, chodzę z siatkami pełnymi zakupów. Życie domowe jest dla mnie ważne, a praca aktorki jest bardzo wyczerpująca, fizycznie i psychicznie, dlatego dom, życie osobiste jest odskocznią, tam więc uciekam. Jeżeli chodzi o urodę, to nikt mnie jeszcze w filmie nie pobrzydził, ale świetnie się czułam, kiedy reżyser na mój wygląd w ogóle nie zwracał uwagi, bo uważał, że są rzeczy ważniejsze.

**— A jeżeli ktoś zechce pokazać panią na ekranie brzydką?**

— Nie boję się tego, bo wiem, że czasami jestem naprawdę brzydka i uważam, że jak uda mi się być piękną w 5 rolach, to potem mogę być brzydka przez 2 godziny.

**— Czy codzienne dbanie o urodę zabiera pani dużo czasu?**

— Tylko raz byłam u kosmetyczki, nie maluję się, nigdy nie byłam u fryzjera. W szkole średniej byłam bardzo przeciętną dziewczyną. Dziwię się, że pisze się o mnie jako najpiękniejszej aktorce, bo uważam, że jestem przeciętna — nos zadarty, oczy skośne po pradziadku Tatarze.

**— Czego właściwie oczekiwała pani od zawodu aktorki?**

— Nie oczekiwałam niczego, bo to łączyło się z marzeniami, a ja konkretnych marzeń nigdy nie miałam. Wiedziałam, że czeka mnie ciężka praca, o ile będę miała szczęście. To oczekiwanie spełniło się. Moją jedyną obawą było to, że mogę zostać aktorką niepotrzebną, to największe nieszczęście w tym zawodzie. Gdyby mnie ono spotkało, potrafiłabym zrezygnować z zawodu aktorki.

**— A tymczasem?**

— Ciągle jestem jeszcze potrzebna. Nie mówię o osiągnięciach i sukcesach, bo z tym różnie bywa. Ciągle czekam na nowe role, może ciekawsze od tych, które dane mi było zagrać.

**— Przy szczęściu i powodzeniu zawodowym towarzyszyły pani prywatne nieszczęścia...**

— Nieszczęścia, które mnie spotkały nie miały wpływu na moją karierę, może tylko zagrałabym więcej ról, zamiast leżeć w szpitalu. Kilka razy znalazłam się w najbardziej dramatycznych sytuacjach życiowych, które udało mi się przeżyć tylko dzięki temu, że uprawiam ten zawód a nie inny, bo to chyba jedyny zawód, który wykonując, można zapomnieć o całym świecie. Z osobowości człowieka czerpiemy wszystko w tym zawodzie. Osobowość aktora jest tylko pożywką.

## EWA BOROWIK: „TEN ZAWÓD JEST CIĄGŁYM RYZYKIEM..."

**— W jednym z wywiadów powiedziała pani: „Zawód aktorki ma więcej cieni niż blasków".**

— Czasami pracując nad rolą i później zbierając jej efekty — wiem, że popełniłam gdzieś mały błąd, bo twarze na widowni są smutne, a pióra krytyków ostre. To są chyba te cienie, które występują zawsze, gdy podejmuje się ryzyko. Zawód aktorki jest ciągłym ryzykiem, występuje w nim „szczególna" konkurencja, nie zawsze miła, bo wyzwalająca złe emocje, które nie zawsze są pożądane. Jest też ciągłym ważeniem na wadze, z której upadek bywa dotkliwy, zwłaszcza, jeśli poza oceną roli ułożonej na tej wadze, dokłada się złośliwości i niesprawiedliwości prywatnych antypatii.

**— A blaski?**

— Brawa, uśmiechnięte twarze i miłe dowody sympatii ludzi po tamtej stronie rampy czy ekranu. W pracy aktorskiej bardziej interesuje mnie samo tworzenie roli, wszystkie za i przeciw granej przeze mnie postaci, rozterki, spory, radości z udanej próby niż efekt końcowy, kiedy wszystko jest już zapięte na przedostatni guzik.

**— Przeważnie grywa pani piękne kobiety.**

— Kilka razy pokazałam się na ekranie bez makijażu i wspaniałych kostiumów („Cóżeś ty za pani", „Dzień Wisły"). Role w tych filmach nie wymagały urody, wręcz przeciwnie. Przeżycia tych kobiet wypisały na ich twarzach pełno bólu, goryczy, rozpaczy. Dla mnie nie ma znaczenia, czy postać jest piękna czy brzydka zewnętrznie. Najważniejsze jest to, co ma do przekazania.

**— Czy nie chciałaby pani być gwiazdą w dawnym, wielkim stylu?**

— Pytanie jest tak kuszące dla kobiety, że byłabym oszustką" odpowiadając — nie. Chciałabym! Ale nie bawią mnie wspaniałe przyjęcia utkane przylepionymi sztucznie uśmiechami i fałszywymi słówkami: „Cudownie", „wspaniale". W gwiazdorstwie trzeba walczyć wszystkimi możliwymi sposobami, a jestem tylko kobietą, która chce, by o nią walczono. Być gwiazdą na chwilkę, a potem szybciutko do domu, do kaszki i jajeczka dla córeczki.

**— Był okres, że zapowiadała się pani na gwiazdę filmową?**

— Jestem uzależniona od teatru i to z wyboru. Może zrezygnowałabym z pracy w teatrze, gdybym miała zapewnione ciekawe role w filmach i gdybym nie musiała się martwić, że w następnym sezonie nic nie zagram, więc za co zapłacić mieszkanie. Mówiąc brutalnie teatr daje spokój „materialny". Poza posłannictwem musimy żyć. Podoba mi się niezależność naszych paru aktorek filmowych, ale mnie na nią nie stać.

**— Czym jest dla pani sukces i powodzenie w jej zawodzie?**

— Sukcesem jest dla mnie zadowolenie przy pewnym zmęczeniu, jakie odczuwam po pracy i moment, w którym udało mi się spowodować, że widzowie zrozumieli, co chciałam im przekazać. Sukces? Może są nimi nagrody za dobre role? Nie wiem, nie myślę o tym. Sukces zamieniłabym na określenie — satysfakcja.

**— A popularność?**

— Niedawno miłym objawem popularności było dla mnie otrzymanie w sklepie świeżych jaj, choć były z ich sprzedażą trudności. O niemiłych przejawach znajomości mojej twarzy nie chciałabym mówić...

**— Jak patrzy pani na siebie — znana i lubiana aktorkę?**

— Bardzo krytycznie i staram się być obiektywna, co prawie jest możliwe. Zawsze zostawiam margines na to, że można coś zrobić lepiej, a ostatnia wersja jest do poprawienia.

## BARBARA WRZESIŃSKA: „KAŻDEMU TO, NA CZYM MU MNIEJ ZALEŻY..."

**— Jak czuje się pani w środku swojej aktorskiej kariery?**

— Ani to środek, ani to kariera. Nie jestem typem osoby, która mogłaby zrobić karierę w jakimkolwiek zawodzie. Więcej mam poczucia godności niż ambicji i więcej ciekawości świata niż potrzeb skierowywania wciąż na siebie uwagi otoczenia, publiczności i wątpliwej jakości krytyki.

**— W filmie nie miała pani szczęścia do wielkich ról na miarę choćby Anny w „Strukturze kryształu" Krzysztofa Zanussiego, Marii w „Opętaniu" Stanisława Lenartowicza lub ostatnich ról w filmach TV „Coś za coś", „Terrarium". To jak na aktorkę pani formatu zdecydowanie za mało?**

— W filmie zagrałam wiele ról, choć nie zawsze interesujących. Brak mi było współpracy z reżyserami, którzy interesowali mnie najbardziej np. Wojciechem Hassem, Kazimierzem Kutzem. Z Andrzejem Wajdą spotkałam się tylko raz w „Weselu". Ale też nie widziałam tylu filmów, które by mnie zainteresowały. Interesowali mnie ludzie. Dużą wagę przywiązuję do atmosfery, jaką tworzą twórcy filmu na planie i ma to dla mnie większe znaczenie, niż ilość i efekt zagranych ról. Lubię też doświadczenia nie związane z sukcesem i jeżli coś mi „nie wyjdzie", nie mam poczucia goryczy i smutku z tego powodu. Nawet chętnie czasem powróciłabym do takiego filmu jeśli w czasie jego produkcji zaistniało coś, do czego można zatęsknić.

**— Pamięta pani swój debiut w filmie?**

— Nie pamiętam, czy była nim Elza, amantka w filmie „Dwoje z wielkiej rzeki" czy modelka Irena w „Kaloszach szczęścia". Pamiętam natomiast, że będąc w szkole, otrzymałam propozycję zagrania tej roli w filmie. W piśmie zapraszającym tłustym drukiem informowano, że mam grać modelkę w czasie rozmowy towarzyskiej podane honorarium wydawało mi się wielką sumą pieniędzy, z wrażenia nie zwróciłam uwagi, że petitem w nawiasie napisano: „bez kostiumu". Rozmowa odbywała się w trakcie nasału. Kiedy w rezultacie poproszono mnie za parawan dla dalszej charakteryzacji, przeżyłam ciężki szok. Przełknawszy łzy, zadanie jednak wykonałam.

**— Później rozbierano panią coraz częściej i nałożono etykietę wampa. Pani nie próbowała się bronić przed zaszufladkowaniem?**

— Nie wiedziałam jak natomiast wiedziałam, że nie zwalczę pewnej sztampy estetycznej obowiązującej od przed wojny i niosącej ze sobą wizję tzw. pierwszej naiwnej ze spuszczonymi rzęsami oraz tej w śmiałym makijażu czyli cynicznego wampa. Ciekawe, kto wymyślił zależność cnoty od makijażu i na jakich opierał się materiałach. Tak więc grałam koty i wampy, choć nie miałam w sobie żadnej agresji erotycznej, cynizmu, cwaniactwa, w które ubierano mnie na ekranie i na scenie. Teraz czasem grywam „liryczne dziewice" i to mnie przynajmniej bawi i innych też.

**— Dlaczego tak panią obsadzano?**

— Do teatru przyszłam w okresie, gdy najstarsza aktorka w zespole była o 10 lat starsza. Miałam długie włosy, silny makijaż, który traktowałam jako pewną ulubioną formę estetyczną, własny styl. Podobały mi się rzeczy odważne i oryginalne poza tym, ponieważ wychowanie miałam dość surowe, po wyrośnięciu z granatowych fartuszków i białych kołnierzyków chciałam być bardzo kolorowa i jakaś inna, nowa. Dla mnie było to naturalne, a nie mając wokół siebie rówieśników, chciałam być jak najszybciej dorosła, co było traktowane jako objaw zachowań dalekich od mojej prawdziwej osobowości. Po wsi chodzić w długiej, powłóczystej sukni, wydawało mi się piękne w takim naturalnym pejzażu a to bliższe przecież np. Rachel niż awanturnicy erotycznej. Poza tym miałam wtedy 18 lat!

**— Wykreowała panią telewizja, lansując w typie słodkiej i zwariowanej idiotki czyli Panny Basieńki z „Kabaretu" Olgi Lipińskiej.**

— Jestem z tej grupy ludzi, którzy do późnej starości zachowują kawałeczek duszy dziecka, choć nigdy nie byłam infantylna nawet jako bardzo młoda dziewczyna. Wycofywałam się wielokrotnie z „Kabaretu" w obawie przed etykietą „panny Basieńki" i wracałam, aby znowu pobawić się w królewnę z lokami, pajetami, w tiulach, piórach i klejnotach. To śliczna zabawa i beztroska, jeśli można przy tym zagrać Yocaste, Lady Makbet czy Marię Stuart. Bliższe wydają mi się postacie o silnych indywidualnościach, postawione w ekstremalnych sytuacjach niż mieszczki ze sztuk Zapolskiej, Perzyńskiego, czy nawet współczesne.

**— W teatrze nie miała pani szczęścia do wielkich ról?**

— Nie chcę grać więcej niż gram w teatrze, ale coś istotniejszego. Może trzeba znowu sięgnąć po Ajschylosa i Eurypidesa, aby znaleźć punkt odniesienia dla rozchwianej rzeczywistości, może teatr jarmarczny, coś pomiędzy komedią dell'arte a cinema verite? Nie wiem.

**— Jak patrzy pani na to, co robi w zawodzie?**

— Jestem dorosła osoba nie wiem — czy jestem dojrzałą aktorką, bo nie jest adekwatne do zamierzenia to, co oglądam na ekranie. Z kolei jestem surowa w stosunku do siebie. W teatrze zdarza się bardzo rzadko mieć kilka przedstawień, z których wychodzę rozluźniona i szczęśliwa. Wciąż jestem w biegu i trudno mi złapać dystans do siebie, bo za bardzo jestem zadyszana.

**— Wszystko się pani udaje, ma pani zawodowe szczęście?**

— O nie! Na moim przykładzie sprawdza się powiedzenie: „Każdemu to, na czym mu najmniej zależy". Los jest przekorny w stosunku do mnie. Cudowne niespodzianki zdarzają się na ogół wtedy, gdy mam krosty na nosie, jestem głodna i nikt mnie nie kocha. Kiedy zaś z dobrym samopoczuciem, w świadomości właściwego czasu i błyskotliwej inteligencji, lekkim krokiem idę po zwycięstwo pośliznąwszy się na skórce od jabłka (dawniej banana) ładuję w środku kałuży ze złamanym obcasem, rozdartą pończochą i jakąś wspaniałą perspektywą kompletnie zafajdaną.

**— Jak przeżywa pani niepowodzenia?**

— Uciekam w dom, kwiatki, w proste kobiece czynności tłumacze sobie, że ważne jest to, że umiem coś ugotować, pocerować, że to też ma swoją wartość.

**— Jak znosi pani przemijanie czasu?**

— Na razie nie mam tego problemu. Kiedy miałam 18 lat, grałam starą, głuchą służę, teraz obsypuje się cekinami, nakładam ogromne peruki z lokami, a dekolty moich sukien sięgają do pasa. Czas w tym wszystkim nie jest ważny, nie zauważam go. Nie mam na to czasu.

**— Dlaczego wybrała pani zawód aktorki?**

— Z przekory. Mój ojciec powiedział: „I żeby tylko nie zachciało ci się zostać aktorką".

**Rozmawiał:**
**BOHDAN GADOMSKI**

— A tymczasem — powiedział pan Robert, a pan Krzysio zaskrzypiał cichutko wysuszonymi wiklinami krzesła.

— Popiół zmieszany z żarem, a na wierzchu ogień — dodał tatuś nie wiadomo dlaczego podniesionym głosem.

— A tymczasem — powtórzył pan Robert tym samym tonem, jakby próbował wydawać z siebie głos i równocześnie jego echo; usta mamusi zadrgały, ale nic nie powiedziała, tylko wyciągnęła przed siebie rękę, jak gdyby usiłowała odepchnąć od swojej twarzy coś obrzydliwego i nachalnego. Przyszło mi na myśl, że może tego, który dotknął szyby w kuchni, jakiegoś niewidzialnego który wszedł tu niepostrzeżenie i jest pośród nas i zaraz mnie dotknie.

— Najwyższy czas — zaczął tatuś.

— O tak! — zawołał pan Robert i tyle entuzjazmu było w jego okrzyku, że odniosłem wrażenie, iż wnętrze domu wypełnił dźwięk dzwonu, na którego głos otworzyły się drzwi i okna i do środka weszło rześkie powietrze wieczoru.

— Och nie, źle mnie zrozumiałeś Robercie — powiedział tatuś pochylając przed nim głowę, jakby go za coś przepraszał. — Ja chciałem powiedzieć, że najwyższy czas omówić szczegóły naszego planu. Zatem nasze małżeństwo ze swoim synkiem przyjeżdża do letniego domku, którego gospodarzem jest pan Krzysio i nic nie wskazuje na to, że zamieszkują tu wampiry, ponieważ wychodzą one nocą i tutaj właśnie, przed kominkiem czekają na pana Krzysia, który, jako nocny taksówkarz, przywozi im młode, krwiste kobiety.

— I flaszkę — mruknął pan Robert.

— Co mówisz? — nie dosłyszał tatuś.

— On żartował — powiedziała pani Halinka. — Kontynuuj Piotrze.

— Wcale nie — zaperzył się pan Robert. — Taksówkarz-wampir! Macie pojęcie jaką burzę to wywoła? Protesty posypią się...

— Ależ on się podszywa, to chyba czytelne dla każdego.

— Taksówkarze są przewrażliwieni po tych napadach na nich. I takie nawet metaforyczne przyrównanie ich do wampirów...

— Więc może wprowadzić by tu element szantażu? — wtrąciła pani Urszula. — Powiedzmy pan Krzysio ma narzeczoną, którą wampiry trzymają w klatce w piwnicy i...

— Jest zakochany w wampirzycy, to klarowniejsze — powiedział tatuś.

— I jest coraz bledszy, bo sam stopniowo staje się wampirem.

— I ma białe włosy! — zawołałem. — Widziałem go!

— Kogo widziałeś?! — zawołały patrząc na mnie z przestrachem pani Urszula i pani Halinka.

— Wampira. Nad rzeką. Był cały biały.

— Dziecko — zawołała mamusia. — Wampiry pokazują się ludziom wyłącznie między północą i pierwszym pianiem koguta.

— A może ten zgubił zegarek i nie wiedział, że upłynął jego czas? — zastanowił się pan Robert.

— Wampir wynurzający się z rzeki — zamyślił się tatuś. — Tego jeszcze nikt nie pokazał.

— Ale on nie wchodził do rzeki, tatusiu...

— Dzieci nie powinny brać udziału w takich rozmowach — oświadczyła mamusia — Jasiu, proszę natychmiast iść do swego pokoju.

— Ja nie mam swego pokoju, mamusiu.

— Do naszego pokoju. Nie udawaj, że nie rozumiesz.

Jej wpatrujące się we mnie oczy mówiły wyraźnie „Jesteś wstrętnym zdrajcą". Zacisnąłem powieki, bo cóż mi pozostało poza ucieczką w ciemność? Obiecałem nikomu nie mówić o tych napotkanych nad rzeką mężczyznach, poprzysiągłem to mamusi na miłość do niej i przed chwilą omal nie wypaplałem, że wampir, którego widziałem nad rzeką, to Głowa; szybko otworzyłem oczy, bo ON był w tych ciemnościach, w których się schroniłem. Również Marlboro i Owca; niewiele brakowało, a byłbym wysypał na podłogę kartofle z miski.

— Ja nie widziałem żadnego wampira nad rzeką tatusiu — powiedziałem, ale tatuś nie zwrócił na to uwagi.

— Słyszałeś Jasiu co kazałam ci zrobić?

— Tatusiu — powtórzyłem. — Ja nie widziałem tego białego wampira nad rzeką, ja...

— Nie szkodzi. Ważne, że go sobie wyobraziłeś — odparł tatuś. — I dlatego właśnie musisz uczestniczyć w naszej rozmowie... Tak... ty i Małgosia jesteście naturszczykami, więc siłą rzeczy nie dysponujecie warsztatem profesjonalnego aktora, więc fundamentalną rzeczą jest rozbudzanie i rozbudowywanie waszej dziecięcej wyobraźni i wrażliwości. Wyłaniający się z wody wampir i nagie drzewo przed nim

— To znaczy bez liści? — zaniepokoił się pan Zygmunt. — Chcesz je oskubać niczym kurę z piór?

— A następnie okorować i pobielić wapnem, albo jeszcze lepiej białą emulsyjną farbą.

— Ja poobrywam liście! — zawołałem w przypływie wdzięczności dla tatusia za to, że nie muszę iść na górę i będę mógł upiec kartofle w popiele kominka. — Ja umiem łazić po drzewach, pan Zygmunt i Małgosia widzieli.

— Nieodrodny synek swego taty — uśmiechnęła się ironicznie mamusia.

Tatuś otworzył usta, by odpowiedzieć jej na to, lecz zamiast brzmienia jego głosu usłyszałem gwizdanie, które z każdą chwilą stawało się ostrzejsze i jak połyskujący srebrnymi cętkami wąż owijało się wokół naszych ciał i pełzało dalej z szybkością pośpiesznego pociągu równocześnie na boki, w górę i w dół, do wszystkich zakątków domu.

Mamusia podniosła się z kanapy i wyszła do kuchni. Pan Robert spojrzał na pana Krzysia i, jakby posiadał w oczach czarodziejską moc, w prawej ręce pana Krzysia pojawiła się butelka, a w lewej szklaneczka zwana przez tatusia literatką; wiklinowe krzesło, mimo że pan Krzysio pochylił się przytykając szyjkę butelki do brzegu szklaneczki, jakoś teraz nie zatrzeszczało, jak gdyby nie miał odwagi zmącić ciszy, która zapanowała w całym domu, kiedy mamusia zdjęła czajnik z elektrycznej maszynki. Z ryjka butelki wysunął się rozłocony światłem kominka języczek płynu i zamlaskał we wnętrzu literatki. Pan Krzysio wręczył ją tatusiowi.

— Komu herbata, komu kawa?! — zawołała z kuchni mamusia.

— Idź do niej — szturchnął w ramię panią Halinkę tatuś.

— To ile ma być tych kaw? — spytała podnosząc się niechętnie z kanapy pani Halinka.

— Ile chcesz — odparł tatuś.

Pan Krzysio napełnił powtórnie opróżnioną przez tatusia szlaneczkę-literatkę i wręczył ją panu Robertowi.

— Jak on to zrobił, nie zauważyłaś? — spytałem szeptem Małgosię.

— Co zrobił?

— No, nie widziałaś? Tę butelkę i...

— On ma takie rurki w piwnicy.

— Rurki?

— No pewnie.

— Twoje Zygmunt — szepnął pan Robert i podstawiwszy sobie rękę pod brodę, przechylił głowę do tyłu.

BOGDAN LOEBL

(2)

# Letni dom wampirów

## (fragmenty)

— Tobie nie proponujemy, bo wiemy, że nie używasz — uśmiechnął się tatuś do pani Urszuli.

— Ostatecznie łyczek za powodzenie twojego filmu — odparła pani Urszula.

— Naszego filmu — odparł skromnie tatuś, po czym wziął butelkę od pana Krzysia, a od pana Zygmunta pustą już literatkę i chlapnął trochę płynu na jej dno.

— To nagie drzewo jest pomysłem wprost genialnym — powiedziała pani Urszula przyglądając się płomieniom kominka przez szkło literatki.

— Musi być całkiem białe, jak oczyszczona przez mrówki kość — odparł zadowolony z pochwały tatuś.

— Szybciej Urszula, jak pragnę Boga — zirytował się pan Robert. Pani Urszula przytknęła szklaneczkę do ust i wylała połowę jej zawartości na swoją bluzkę. Pan Robert niemal wyrwał jej szkło z ręki, napełnił je, opróżnił, ponownie napełnił i wręczył panu Krzysiowi razem z butelką.

— Filmowcy — sapnął układając się wygodnie w fotelu. — Goły wampir stojący znacząco pod rozebraną wierzbą płaczącą.

— Jeszcze zobaczymy, jaka będzie pierwsza nagroda na festiwalu — odparł tatuś.

Nie odrywałem wzroku od przechodzącej szybko z ręki do ręki literatki. Poziom płynu w butelce szybko obniżał się. Pan Krzysio już ani na moment nie wypuszczał jej z dłoni.

— Czy myślisz, że on jest trochę czarodziejem? — spytałem Małgosię.

— Kto?

— Pan Krzysio.

— Coś ty, to zwyczajny robol.

— To w takim razie pan Zygmunt je wyczarował.

— Co wyczarował... O czym ty...

— Dobrze uważaj, a sama zaraz zobaczysz.

Pan Krzysio podał tatusiowi do połowy wypełnioną literatkę, ale tatuś tym razem nie przytknął jej do ust, jeno przekazał panu Robertowi, a gdy ten, podstawiwszy sobie lewą rękę pod brodę opróżnił naczyńko, wyłuskał mu je z dłoni i zwrócił panu Krzysiowi.

Rzęsiście i srebrzyście zadzwoniły szklanki i łyżeczki w kuchni. Machinalnie pochyliłem głowę i złożyłem dłonie do modlitwy. Kiedy uświadomiłem sobie, że nie znajduję się w kościele, dłonie pana Krzysia były puste. Przykucnąłem żeby zobaczyć, czy nie ma ich za wiklinowym krzesłem, ale tam leżał tylko kartofel, który najwidoczniej wypadł z miski, kiedy tamtędy przechodziłem.

Mamusia wniosła tacę z parującymi szklankami, a postępująca za nią pani Halinka cukiernicę.

— Oni będą oczywiście wychodzili z piwnicy — powiedział tatuś udając, że nie dostrzega mamusi i pani Halinki. — Tylko ten jeden wyłoni się z rzeki, a jeszcze lepiej z zasnutego rzęsą stawu.

— Bardzo świetnie, bardzo świetnie — przytakiwała tatusiowi pani Urszula.

— I tak myślę, żeby to nie był zupełnie wampir, ale coś pośredniego.

— Tak, tak..

— A gdyby?

— No?

— Gdyby to był mutant wampira?

— Czyli wampir przechodzący mutację — wtrącił się do rozmowy pani Urszuli i tatusia pan Robert; mamusia stanęła przed nim, jakby chciała żeby sobie wziął z tacy herbatę albo kawę, ale on, mimo że patrzył na nią, wydawał się jej w ogóle nie dostrzegać. — Albo taki, wiecie, superwampir, który posiada tak długiego ptaka, że może, wspierając się na nim, jak na tyczce, przesadzić najwyższy płot, a nawet parterowy dom.

— Więc jednak — powiedziała mamusia i z trzaskiem postawiła tacę na gzymsie kominka.

— Irenko, ja ciebie bardzo proszę — powiedział tatuś, a pan Krzysio zaskrzypiał wiklinami swego krzesła jakby w ten sposób chciał wesprzeć słowa tatusia, które zostały wymówione tonem niemalże pogróżki.

— To ja prosiłam ciebie i ty mi przyrzekłeś.

— I chociaż jestem tylko zwyczajnym naturszczykiem, zagram tę rolę — oświadczył pan Robert.

— Ty?! — parsknęła śmiechem pani Halinka, ale natychmiast zatkała sobie usta dłonią i umilkła.

— To jest wieczór szczególny — powiedział tatuś wpatrując się w dogasający ogień. Wstał, wziął kilka szczap z podłogi i włożył je do kominka. Zajęły się natychmiast i zrobiło się jasno w izbie, jakby ziemia zaczęła się kręcić w odwrotnym kierunku i słońce wyszło z zachodniej strony horyzontu.

— Wieczór, w którym chciałbym, żebyśmy razem z naszymi przyjaciółmi, w miłej twórczej atmosferze dopracowali ostateczny kształt przyszłego filmu, a przede wszystkim zgłębili jego ideę, bo tu naprawdę nie idzie o pokazanie jeszcze jednej historyjki obrazkowej o wampirach, a to drzewo musi krzyczeć swoim bezlistnym milczeniem, to ma być taki idealnie milczący, ale przenikający..

— Tak, tak — powiedziała apatycznie mamusia. — Głowa mnie rozbolała, chyba się położę.

— Och, siadaj Irena — zawołała pani Urszula. — Tego naprawdę było zaledwie parę kropel.

— Och, ja już o tym zapomniałam — uśmiechnęła się blado; chciałem ją zatrzymać, podbiec i opasać ją ramionami, ale tylko poszukałem dłoni Małgosi; nie odtrąciła mnie, pomyślałem, że jej rodzice zapewne również kłócą się w jej obecności i dlatego bezbłędnie odczytała mój gest rozpaczy.

— Mamusiu — powiedziałem. — Zostań, zaraz upieczemy kartofle.

— Zamawiam jednego, takiego, wiesz, najładniejszego — odparła. Schody zaskrzypiały pod jej szybkimi krokami, jakby przeniknęły je nagle grypowe dreszcze. Trzasnęły drzwi na piętrze. Wstałem z ławy żeby pobiec za mamusią i zapewnić ją, że już nikomu ani słowem nie wspomnę co wydarzyło się nad rzeką, i w tej samej chwili podszedł do mnie tatuś i już po chwili obaj klęczeliśmy przed kominkiem i usiłując nie dać się odepchnąć niewidocznym, rozpalonym dłoniom gorąca, wciskaliśmy kartofle w popielatą, przetykaną iskrami masę.

— Ona rzeczywiście miewa ostatnio takie nagłe ataki migreny, powiedział tatuś odwracając głowę od kominka, jakby czuł, że ognia nie uda mu się okiłamać.

Pan Krzysio wytknął swoją ziemistą twarz z mroku niczym z brudnej rzeki, ale zaraz ponownie ukrył się pod ścianą, jakby się obawiał, że zaczną z niego wyłazić robaki zwabione światłem i ciepłem kominka; dwukrotnie dziś słyszałem, jak pan Zygmunt mówił tatusiowi, że trzeba uważać, bo pan Krzysio ma robaczywą głowę; przypomniałem sobie, że wędkarze wychodzą wieczorem na poszukiwanie robaków, które pewnie opuszczały swoje kryjówki zwabione światłem księżyca; blask ognia kominka mógł je zmylić, więc starałem się być czujny, ale chociaż przez cały czas, nawet w trakcie powrotu na swoje miejsce patrzyłem na pana Krzysia, to nie potrafiłem sobie odpowiedzieć skąd ponownie wzięła się w jego dłoni butelka wypełniona po szyjkę mętnym płynem. Zmaterializowała się nagle i całkowicie bezgłośnie, a jednak oczy wszystkich natychmiast zwróciły się na to „szklane opakowanie" zawierające wzburzoną ruchem ciecz.

Pan Krzysio trzymał ją na wysokości twarzy, jakby pokazywał kryształowy puchar kibicom sportowym, ale patrzył tylko na tatusia, czekał na jego przyzwalający znak. Początkowo myślałem, że to mysz żłobi sobie korytarz w suficie, ale to deski podłogi na piętrze wydawały ten głos cichej skargi pod stopami mamusi. Potem zahurkotało przesunięte krzesło i tatuś, jakby chcąc zagłuszyć te dochodzące z góry odgłosy, zaczął znowu mówić o filmie. Butelka w ręku pana Krzysia potakiwała słowom tatusia skłaniając się nad szklanką. Pan Robert wstał i oznajmił, że zagra w filmie nagie drzewo Zaczął się rozbierać, ale zdjąwszy marynarkę opadł na fotel. Tatuś podał mu napełnioną do połowy szklankę, pan Robert opróżnił ją, po czym szklanka wysunęła mu się z dłoni i zjechała po jej nodze na podłogę. Pani Halinka pochyliła się nad panem Robertem i powiedziała: — Odpłynął.

— Wódka to jego środek nasenny — poinformowała mnie Małgosia. — Wypije i zaraz potem usypia na całą noc.

— A pan Krzysio znowu wyczarował butelkę.

— Miał ją pod marynarką. Widziałam jak wyjmował.

— Jakby trzymał butelkę pod marynarką, to byłoby widoczne wybrzuszenie.

— Ale on ma zapadniętą klatkę i przechowuje butelki w tych wklęśnięciach piersi, a szklaneczkę w rękawie.

— Ja nie widziałem żeby wkładał rękę pod marynarkę, a cały czas patrzyłem.

— Bo ty masz oczy z guzików, jak większość chłopców.

— To mi — powiedziałem i umilkłem; omal się nie wygadałem, że to mój pluszowy miś posiada oczy z guzików.

— Co to mi — spytała.

— Tomita, Japończyk. Nosi guziki w kształcie oczu — powiedziałem dziękując Bogu, że nie dałem Małgosi tematu do żartów ze mnie, bo przecież na nic nie zdałyby się potem moje zapewnienia, że już od dwu lat mój miś sypia w szafie.

— Guzik mnie obchodzi jakiś żółty Tomita.

— Niestety, będzie to film niemy, moje dzieci — powiedział tatuś — Chociaż właściwie można by równolegle z obrazem puścić Tomitę z magnetofonu.

Podszedł do nas i patrząc na Małgosię, zmierzwił mi włosy na głowie.

— Bardzo się cieszę, że uczestniczycie w twórczym procesie — dodał.

Chciałem go ująć za rękę, jak ów chłopczyk na plaży swojego ojca, ale powstrzymał mnie przed tym wzrok jego nadal wpatrujących się w Małgosię błyszczących, lekko przekrwionych oczu.

— Tatusiu, może te kartofle są już upieczone?

— Niech sobie jeszcze poleżą pod gorącą kołderką — odparł i odwrócił się ode mnie jakby się na mnie obraził.

— Jaki ten ogień jest przerażająco żarłoczny — powiedział wrzucając do kominka ostatni fragment ramy okiennej. — Musimy coś natychmiast przedsięwziąć, bo zapanuje nowa epoka lodowcowa.

W izbie kominkowej zostali pan Krzysio i śpiący pan Robert Tatuś i pani Halinka udali się na poszukiwania w lewą część ogrodu, a pan Zygmunt i pani Urszula w prawą. Mnie i Małgosi również pozwolono wziąć udział w konkursie na najokazalszy zbiór drewna opałowego, pod warunkiem, że będziemy je zbierali wyłącznie w pobliżu domu. Okrążyliśmy go trzymając się za ręce. Krzaki jałowca wyglądały w mroku jak stojący nieruchomo ludzie. Jeden podobny był do wysokiego żołnierza, który już samą swoją postawą obwieszcza: „dalej iść nie wolno" Spróbowałem odłamać z niego gałąź, lecz natychmiast cofnąłem rękę. Kilka szpilek utkwiło w niej niczym strzały wypuszczone przez liliputów. Małgosia znalazła jeden patyk, a ja dwa. Zacząłem tracić wiarę w szansę zdobycia pierwszej nagrody, największego upieczonego kartofla.

— Pan Krzysio ma robaczywą głowę — szepnąłem.

— Skąd wiesz?

— Pan Zygmunt widział, jak z czaszki pana Krzysia wyłaził taki biały i tłusty jak z czerwonego jabłka.

— Ja robaków się nie boję i niepotrzebnie mnie straszysz.

— Ale pan Zygmunt mówił to tatusiowi.

Znaleźliśmy jeszcze dwa patyki. Moje oczy przyzwyczaiły się do mroku i zacząłem wyodrębniać z niego nie tylko same drzewa, ale także ich grubsze konary. Dostrzegłem również popielatą plamę w oknie naszego pokoju i domyśliłem się, że jest to twarz mamusi. Wydawała się patrzeć na coś, co znajdowało się w głębi ogrodu, jakby mi chciała dać do zrozumienia, że tam znajdę gałąź, która przeważy szalę wagi konkursu.

— A pani Urszula mówiła, że twój ojciec ma kosmate myśli — powiedziała Małgosia, ale natychmiast dodała pojednawczo — Ale to nic takiego, bo wszyscy mężczyźni mają kosmate myśli i ty też będziesz miał jak dorośniesz.

— Ja nie będę miał — odparłem i poczułem, że się czerwienię.

— A może on jest wampirem?

— Kto?

— Kto?

— No pan Krzysio.

— Wampiry mają kły, a nie robaki.

— A może on ma specjalnie schowane kły, żeby ich za dnia nikt nie widział?

Ruszyłem chyłkiem w głąb ogrodu. Małgosia dogoniła mnie i capnęła za rękę.

— Gdzie idziesz..

— Tam jest taka duża gałąź. Jak ją przyniesiemy, to będziemy mieli pierwsze miejsce

— Ja nie chcę, wracajmy.

— No to poczekaj tu na mnie albo idź do domu, chyba że się boisz pana Krzysia.

— On jest zwyczajnym robolem i ja tylko tak żartowałem że jemu kły wyrastają.

Posunąłem się znów o kilka kroków do przodu, w duchu prosiłem Boga żeby Małgosia poszła ze mną i Bóg mnie wysłuchał Stąpaliśmy ostrożnie przystając od czasu do czasu żeby się dokładniej rozejrzeć. Nie wiem co pomyślała Małgosia, ale ja w pierwszej chwili sądziłem, że to kawał okorowanego, rozłożystego drzewa leży przed nami, a to bielały w trawie obnażone nogi pani Halinki. Zdumiało mnie, że tatuś je myje, ponieważ byłem przekonany iż nie ma tutaj żadnej wody, a jednak on mył kolana i uda pani Halinki i słuchał jak ona w kółko powtarza jego imię. Chciałem podejść bliżej, żeby zobaczyć ten odkryty przez tatusia strumyk, czy może tylko małe, podobne do ptasiego gniazda źródełko, ale Małgosia z niespodziewaną siłą osadziła mnie w miejscu i pociągnęła do tyłu. A następnie, kiedy znajdowaliśmy się już w pobliżu domu, uderzyła mnie w twarz; tak mnie to zaskoczyło, że jej nie oddałem, a potem, kiedy już ochłonąłem po nieoczekiwanym wstrząsie i chciałem to zrobić, przypomniałem sobie, że pani Urszula nazwała mnie dżentelmenem, więc postanowiłem że tylko obrażę się na Małgosię.

Rzuciłem się biegiem w stronę wejściowych drzwi, lecz pomyślałem, że zanim wrócę do domu, zrobię jeszcze wokół niego rundę, żeby wybiegać rozsadzającą mnie złość, a także ukryć łzy, których mimo wysiłków, nie mogłem na razie powstrzymać.

Małgosia biegała tuż za mną, w pewnej chwili chwyciła mnie za ramię, więc zatrzymałem się sądząc, że chce mnie przeprosić, za to, że wymierzyła mi policzek, ale ona zaczęła mi grozić dalszymi razami, jeżeli komukolwiek powiem, że widziałem w ogrodzie jej mamę i mojego tatusia. Aż mi dech po tych słowach Małgosi zaparło Poczułem, że jeżeli jej natychmiast za tę bezczelność nie przysolę, albo przynajmniej nie zeklnę, to się udławię; dusiło mnie, zaczynało mi się zbierać w gardle i ciec z zatkanego nosa, ale nie mogłem zrobić użytku z chusteczki, gdyż smarkając uświadomiłbym Małgosi, że płakałem.

— Ja znam bardzo dobrze takie jedno dżudo, żebyś nie pozbierała się — powiedziałem, chociaż nie miałem zamiaru jej tego udowadniać, gdyż byłem prawie pewien, że dżentelmeni nie stosują chwytów dżudo wobec pięknej płci.

C.D.N.

1

Spojrzenie znad szachownicy

# Cukier krzepi!

1.

Nie taję, że zniesienie reglamentacji cukru powitałem z burzliwym zadowoleniem reprezentuje bowiem rzadką formę życia opartą niemal wyłącznie na zasilaniu herbaciano-cukrowym, bez którego podlegam bezlitosnej degradacji umysłowej, czyli tak zwanemu matołkowaceniu.

Chcąc opóźnić to, co z wiekiem i tak staje się nieuchronne, zaciągnąłem tedy szereg pożyczek cukrowych u rodziny tudzież bliższych i dalszych znajomych, na spłacenie ich miałem jednak jeszcze mniejsze szanse niż taki, dajmy na to, po same uszy zadłużony Meksyk. Mógłbym niby kupić ten cukier na czarnym rynku, ale na to nie pozwalał mój cholerny legalizm, na którym zawsze źle wychodzę i jeszcze wiele razy źle wyjdę. Z kolei nauka — bo w swojej naiwności i tu szukałem pomocy — oczywiście okazała się obojętna wobec palących problemów dnia codziennego.

Pytam znajomego chemika, czy nie dałoby się odwrócić reakcji, czyli ku ogólnemu zaskoczeniu zacząć odzyskiwać cukier z wódki. Przerabiać cukru na wódkę nie wolno, to wiem dobrze działanie w przeciwnym kierunku byłoby jednak chyba zgodne z prawem, walczymy bowiem z alkoholizmem, nie ze słodzeniem herbaty.

Zagadnięty popatrzył na mnie z oburzeniem i oświadczył, że problem przynależy do chemii spożywczej która się nie zajmuje, nadto byłoby to proceder równie nieopłacalny, co głupi, a żaden człowiek nauki nie będzie wystawiał się na pośmiewisko. Już taniej, a i ciekawiej poznawczo byłoby spróbować zmienić mi charakter do czego chemia bez wątpienia jest zdolna.

Tak mnie zbywszy poszedł, a ja zostałem ze swoim cukrowo-moralnym dylematem niby jakiś nowożytny Hamlet. Słodzić herbatę, nie słodzić herbaty? Ukraść komuś kartkę, nie ukraść? Być albo nie być? Czekać bądź nie czekać?

Postanowiłem czekać — na zniesienie reglamentacji, rzecz jasna — no i doczekałem się wreszcie. Wkrótce znów będę człowiekiem honorowym wolnym od długów, choć niewolnym od zwątpień.

2.

Dręczy mnie bowiem kolejny, tym razem dewizowy problem. Przypuśćmy, że pragnę wypłynąć w upojny rejs „Stefanem Batorym" dopóki „Stefan Batory" może jeszcze pływać. Za ten rejs część opłaty muszę wnieść w dolarach pobranych koniecznie z konta „A". Mam konto, ale nie mam na nim dolarów przynajmniej nie tyle, ile trzeba. Kupić mi tych dolarów nie wolno zarobić ich legalnie także nie potrafię, choć rad bym, słowo daję, redagować jakiś „Express Pustyni", albo wręcz „Odgłosy Bliskowschodniego Wiatru".

Co mogę? Mogę otrzymać te dolary w darowiźnie, któż jednak ofiaruje mile szeleszczące zielone papierki jakiemuś tam Jerzemu P., facetowi bez życiowej smykałki, a do tego bez nazwiska?!

3.

Skoro zaczęliśmy już przypuszczać, to przypuśćmy dalej — wkraczamy tu na lube tereny fantastyki — że z Jerzego P. przeobrażam się nagle w kobietę, młodą i do tego piękną. Czy zwiększy to jakoś moje szanse i na ile?

Nadal nie będę mogła sprzedać za dolary któremuś z obmierzłych cudzoziemców żadnego z dzieł Włodzimierza Sokorskiego, ani tych o triumfującym socrealizmie ani tych o triumfującym erotyzmie, choć posiadam jedne i drugie. Prawdopodobnie nie będę też mogła sprzedać siebie, choć nie jest to takie pewne, w czasach, gdy byłam jeszcze mężczyzną, nie wnikałem bowiem w te zakamarki przepisów (PT Korekcie bardzo proszę o poniechanie poprawek — być może piszę wadliwie językowo, lecz poprawnie logicznie, a to ważniejsze).

Nie sprzedając siebie mogę wszelako łypać na cudzoziemca przewspaniale błękitnym okiem. A ten — zniewolony — może z kolei udać się do banku, wpłacić na moje konto jakąś oszałamiającą sumę w twardej walucie i zapodać pod przysięgą, że czyni to w bezinteresownym pragnieniu, iżby przy następnej bytności w Polsce ujrzeć mnie spowitą w najmodniejsze ciuchy prosto z „Pewexu", nadto skropioną wonnościami prosto z Paryża.

4.

No dobrze. On wpłacił nie mając z tego nic zgoła, on sobie wyjechał i on przyjechał znowu.

Teraz ja — piękna, modnie przyodziana i wonna — dostaję ataku równie bezinteresownej czułości. Rzucam fetorowi do stóp wszystkie dzieła Sokorskiego i swoje ciało na dokładkę, krzycząc: — Masz, bierz, maltretuj i duś, albo nawet czytaj mi to na głos aż do białego rana!

Co wtedy? Gdybym postąpiła tak zaraz potem (albo tuż przedtem) gdy ten frajer wpłacał na moje konto dolary byłoby to naganne i ścigane z całą surowością prawa. Jednak po pół roku, a może po roku dopiero to już wolno, nieprawdaż?

Trudna sprawa. Kiedyś człowiek powiedziałby pewno: — Bez wódki nie razbieriosz. Teraz powie po prostu: — Bez herbaty logiki w tych prawnych subtelnościach nie dojdziesz. Bez wielu herbat i to osłodzonych.

Cukier krzepi! Intelektualnie.

JERZY P.

2

Sport

# Coś, czego nie ma

Dawno, dawno temu w Jadownikach odbył się sensacyjny mecz między miejscową drużyną Jadowniczanką a łódzkim Widzewem. Było wesoło, trochę sensacyjnie. Jadowniki stały się nagle głośne, a na mecz zjechali czołowi sprawozdawcy prasy polskiej. I mogłoby się wydawać, że było, minęło, ludzie zapomnieli. Otóż nie! W każdym razie, może i ludzie zapomnieli, ale nie zapomniał Sąd Rejonowy w Brzesku, który działacza Jadowniczanki Romana D. skazał na 1,5 roku więzienia, ale karę tę zawiesił na trzy lata oraz wymierzył grzywnę w wysokości 200 tysięcy złotych. Cóż takiego popełnił działacz Roman D.?

Ano, chciał on zrobić coś co nie istnieje. Chciał mianowicie zbudować — jak to powiada „Tempo" — „drugi Juventus" w Jadownikach. Zabrał się do tego w sposób prosty. Doszedł do wniosku, że podstawą Juventusu są... pieniądze. Postanowił zatem zdobyć pieniądze. Może Juventus, mogą inne kluby w Polsce, to dlaczego nie może Jadowniczanka? Kupił 9 tysięcy lodów na patyku i 5,5 tysiąca butelek wody firmowej i sprzedał to drożej, a uzyskane 189 tysięcy złotych wypłacił jako premie piłkarzom. Wszyscy płacą premie i nie przyznają się, skąd biorą na to pieniądze, to dlaczego Roman D. z Jadownik nie może tego zrobić? Otóż dlatego, że prezesi innych klubów nie handlują lodami i wodą firmową, a jeśli nawet, to nie robią tego jawnie. I tak Roman D. zapłacił nie tylko za naruszenie prawa, ale za... naiwność. W Jadownikach nie można zbudować „drugiego Juventusu" żeby nie szukać bliższych przykładów.

I bardzo proszę, żeby nikt w Polsce nie próbował budować grupy cyklistycznej Del Tongo — Colnago. Czesław Lang na łamach „Przeglądu Sportowego" dokładnie o D.T.-C. opowiedział. Nie jest to bowiem klub w naszym rozumieniu. Każdy zawodnik mieszka, szkoli się, utrzymuje formę, przeprowadza treningi, dba o sprzęt... we własnym zakresie. Pan Del Tongo mieszka w Areto i zajmuje się meblami, pan Ernesto Colnago w Mediolanie i zajmuje się rowerami, menażer Pietro Algeri w pobliżu Bergamo. Czesław Lang i Lech Piasecki razem z Rolfem Goelzem nad Lago di Garda, reszta kolarzy w różnych częściach Italii. Tylko przed wielkimi imprezami organizuje się zgrupowania. A normalnie na każde wezwanie kolarz musi się stawić w pełnej formie. Nie ma żadnej siedziby klubu, toru, masażystów, trenerów i tak dalej. Proste? Aż nad wyraz. Tylko jeszcze raz proszę — nie próbujcie zaraz budować „drugiego Del Tongo — Colnago" w Chłapkowicach Górnych. Pcimiu i Rzeszowie, bo znów sądy rejonowe będą miały robotę. I po co to komu?

Nie powiem, pomysł jest piękny, jest coś, czego nie ma i na dodatek, to coś odnosi sukcesy, a teraz szykuje Lecha Piaseckiego na zawodowego mistrza świata. Oby mu się udało! Ale nie ma żadnej potrzeby, aby „drugie Del Tongo — Colnago" musiało zaraz powstać w Polsce. Niech nasi znakomici cykliści dobrze tylko jeżdżą w takich warunkach, jakie mają i niech im się rowery podczas wyścigu nie rozsypują. To już będzie dużo!

Ale na tym nie kończy się coś, czego nie ma, a co jest. Oto bowiem sportowi żurnaliści bez umiaru powtarzają, że mamy trochę wiosny jesienią. Wyglądam przez okno, śnieg drobno pada. Jaka tu wiosna? Powariowali, czy co? Otóż, nie! Wszyscy dobrze się mają. Tylko PZPN wymyślił taki kalendarz rozgrywek dla pierwszej ligi, że mecze są co trzy dni, a na dodatek już jesienią zaczęła się wiosenna runda ligowych rozgrywek. Teraz będzie przerwa i już w lutym zacznie się piłkarska wiosna. Wbrew kalendarzowi i logice.

Ligę, jak wiadomo, mamy słabą. Legia wprawdzie awansowała do kolejnej rundy europejskich pucharów, ale czy teraz zdzierży, nie wiadomo. Zespół jest osłabiony ligową młocką, a przeciwnik nie taki znów łatwy. W ogóle ligowe zespoły są wymęczone, nie ma kiedy zawodników szkolić, leczyć, trenować, wychowywać następców, uczyć taktyki i piłkarskiej strategii...

W lutym wszystko zacznie się od nowa. Dlaczego? Ano dlatego, że mamy mistrzostwa świata w Meksyku. Trzeba dać czas na przygotowanie kadry. A czy nie można byłoby grać mimo tego, że kadra będzie się przygotowywała? W tym właśnie sęk. Jak zabierze się tych — powiedzmy — trzydziestu zawodników na zgrupowanie, to drużyny zostaną tak osłabione, że cała z mozołem budowana tabela ligowej rywalizacji rozsypie się w proch i pył. I na lidera może się wybić ktoś zupełnie nieoczekiwany. Co to by było? Coś, czego nie ma.

A tak, od lutego zacznie się oranie kolcami zamarzniętych boisk, gra na śniegu, w mrozie. Więcej udawania niż faktycznej gry. Czy nie można inaczej?

Jerzy Zmarzlik w „Przeglądzie Sportowym" przypomina, że raz już tak było. Za Jacka Gmocha. I jak to się skończyło wszyscy wiemy. Miał to być sukces, którego nie było.

BOGDA MADEJ

3

# Traktat o wyższości leżenia nad siedzeniem

Siedzieliśmy z Bogusławem — moim przyjacielem — przed telewizorem i popijaliśmy..

— Stop! — zdecydowanie wkroczył autocenzor — To co piliście, to wasza prywatna sprawa i przed nikim nie macie obowiązku zwierzać się! Poza tym jest ustawa o wychowaniu w trzeźwości i lepiej napisz o tym, co było w telewizji!

W telewizji dawali film o odkryciach nieznanych lądów gór, jezior i rzek oraz ludów. Ludów było mało, bo bohaterscy Francuzi odkrywali Kanadę i to jej najbardziej północne rejony.

— Ech — westchnął Bogusław — gdyby tak dziś można było coś odkryć. Ale nie, człowiek urodził się w takich czasach, że już wszystko odkryte i nie można przedsięwziąć ryzykownej wyprawy.

— Ejże! Nawet daleko nie musisz jechać — powiedziałem. — Wybierzemy się do Lubaczowa. Tam wilki zagryzły 30 owiec i jedną krowę.

— A cóż to za atrakcja — wybrzydzał Bogusław.

— Polowanie na wilki nie jest dla ciebie atrakcją? Nie tak dawno uważano, że już nie ma wilków, a teraz szacuje się że jest ich pewnie z 600 i nie tylko w Bieszczadach. Są też na Mazurach, w krośnieńskim, w górach.

— Nie będę strzelał do biednych zwierząt — zdecydował Bogusław — one spełniają też pożyteczną rolę. A poza tym ja bym chciał coś odkryć.

— No, to możemy wybrać się do Łukowa. Tam niejaki pan Podolak prezentuje syna psa Homo, którego nazwał Octaviusem i który jest ponoć zdolniejszy od psa Homo.

— I w czym się przejawia ta zdolność?

— Pies Octavius rysuje i gra na planinie „Wlazł kotek na płotek".

— Też mi atrakcja. To nie będzie podróż odkrywcza.

— No, to jedź ze mną do Włocławka!

I o dziwo Bogusław nie zaprotestował. Zbliżały się właśnie trzy dni wolne od pracy, związane ze Świętem Zmarłych, kiedy to wszyscy Polacy gwałtownie zmieniają miejsce pobytu i przenoszą się, z nakładem ogromnego trudu z jednego końca Polski na drugi. Widać ciekawość, jak rozwiąże nie tak daleką podróż w te trudne dni tak zafascynowała Bogusława, że postanowił odbyć ją w moim towarzystwie.

Zakupiliśmy...

— Stop! — zawołał autocenzor.

— Dobrze, dobrze, ja wcale nie o tym...

Zakupiliśmy więc bilety w „Orbisie" na autobus i to tak sprytnie, że nie na 31 października, nie na 1 czy 2 listopada, ale na 3 listopada, w niedzielę. I nie na PKP, ale na PKS, pośpieszny do Bydgoszczy. Jechaliśmy sobie wygodnie, miejsca mieliśmy zagwarantowane. Było ciepło, grało radio a Artur Sandauer opowiadał jakiejś pani w radio, jaki to on jest odważny i zawsze mówi to, co nie jest popularne. Zresztą słychać było fatalnie i może więc mówił on zupełnie coś innego.

Z Włocławka postanowiliśmy wracać możliwie wcześnie, no bo później wszyscy będą tacy mądrzy i będą pchać się na chama do pociągów. Autobusu do Łodzi w tym czasie już nie było. Wybraliśmy pociąg o godzinie 17.55, który jechał do Warszawy i w Kutnie trzeba było przesiadać się na elektryczny do Łodzi. Pociąg jechał wprawdzie tylko z Torunia, ale widać więcej klientów PKP doszło do wniosku, że im wcześniej wyjadą, tym mniejszy będzie tłok. I w rezultacie nie było gdzie palca włożyć. Ale jakoś wcisnęliśmy się do korytarza i na jednej nodze każdy staliśmy aż do Kutna. W korytarzu wprawdzie siedziało sobie wygodnie dwóch młodzieńców, jeden W okularach, drugi Rumiany. Od tłumu odgradzał ich młodzian Wyniosły. Bagaże mieli rozłożone oddzielnie i zajmowali się rozwiązywaniem krzyżówki. Na zwróconą uwagę, że mogliby zebrać bagaże na kupę, albo wręcz usiąść na nich Wyniosły oświadczył wyniośle że jego bagaże są bardzo cenne, a jak komuś się nie podoba to może nie podróżować. Przymusu nie ma Rumiany z W okularach nadal rozwiązywali krzyżówkę. Reszta stała na jednej nodze i nikt jakoś nie próbował interweniować aby było więcej miejsca i można było postawić drugą nogę.

— No i chciałeś podróżować w trudnych warunkach — szepnąłem do Bogusława, ale on nic nie odpowiedział.

Na dworcu w Łodzi rozstaliśmy się bez słów. W domu pomyślałem, że właściwie można było taką podróż jednak zracjonalizować. Ponieważ wiadomo, że wszyscy muszą i powinni pojechać na groby bliskich, a więcej pociągów nie ma i nie będzie, więc można przejazdy lepiej zaplanować. Na przykład: 25 i 26 października wszyscy ze szczecińskiego jadą do rzeszowskiego, a ci z suwalskiego do zielonogórskiego, 27 i 28 października następna wymiana i tak do 5 listopada planowo i spokojnie wszyscy pojadą, gdzie potrzeba. Nie jest przecież powiedziane, że wszyscy muszą jechać tylko na 1 listopada. Święto Zmarłych można rozłożyć w czasie, tak jak kiedyś próbowano rozłożyć wakacje.

— I co? — zainteresował się autocenzor.

— I nic. Nadal wszyscy jeżdżą w jednym terminie, czyli w lipcu i sierpniu.

Bogusław też mój racjonalizatorski pomysł przyjął ze sceptycyzmem.

— E, podróżowanie — powiedział — to nie jest znów taka atrakcja. Najlepiej jest w domu, a już najlepiej na własnym tapczanie. Jednak leżenie jest lepsze od siedzenia. Gdyby więc tak wymyślić ruchome tapczany.

— Ale po dobrze wykonanej pracy — wtrącił się autocenzor — leżenie jest lepsze od siedzenia. Tylko po dobrze wykonanej pracy. Najpierw praca, później przyjemności.

WITOLD BOROWY

4

Lewym okiem

# Bez świergotania

Wyczytałem niedawno w prasie, że pałac króla Jana Sobieskiego w Wilanowie został zamknięty dla zwiedzających aż do odwołania z powodu braku palaczy centralnego ogrzewania. Latem, kiedy ogrzewać nie trzeba, pałac był dostępny, ale trzeba było zamawiać sobie zwiedzanie na parę tygodni z góry, skutkiem czego nie pokazałem go dotąd swej dorosłej córce, a sam zadowalam się pamięcią sprzed wojny, kiedy wstęp — mimo że bezpłatny — możliwy był w każdej chwili.

Zwiedzanie Zamku Królewskiego w Warszawie trzeba zamawiać z wyprzedzeniem paromiesięcznym; obejrzenie Panoramy Racławickiej we Wrocławiu — podobno na dwa lata z góry. Przypomina mi się wiadomość, wyczytana w satyrycznym piśmie angielskim: miejsce w szpitalu położniczym celem odbycia porodu też należy zaklepywać na dwa lata przed terminem...

Otóż i mamy rozkosze dalekosiężnego planowania. Ale i tak najgorzej trapi człowieka myśl: co będzie z Zamkiem i z Panoramą, gdy i tam wykruszą się palacze c.o.? Miliardy złotych, setki tysięcy dolarów od zagranicznych Polonusów zostaną twardo i „aż do odwołania" zamrożone, bo nie ma kto napalić w piecu. A wreszcie, jak się taki strapieniec znajdzie, to może zabraknie kogoś do otwierania drzwi. Albo do pokrzykiwania: proszę wkładać bamboszе...

Zamki, pałace, muzea zamkną podwoje, dumni przodkowie na portretach złuszczą się do cna z nudów, nie odwiedzani przez nikogo, kredens podarowany Generałowi stoczą po cichutku korniki. Nie ma kto napalić!

Oczywiście, rada na ten fundamentalny brak jest bardzo prosta: puścić Wilanów w ajencję, albo wydzierżawić patriotycznym biznesmenom polonijnym. Od razu znajdzie się wszystko, co trzeba. Przynajmniej na jeden sezon. Minister finansów się postara, żeby drugiego sezonu największy filantrop nie wytrzymał.

Czas to pieniądz, powiadają Anglicy. W cywilizowanych krajach wymienia się już masowo aparaty telefoniczne na takie, w których numer wybiera się za pomocą szybkiego naciśnięcia sześciu czy siedmiu guziczków, a nie przez kręcenie tarczą. Po każdej cyfrze tarcza musi powoli wrócić do pierwotnego położenia, co trwa parę sekund. Przy sześciocyfrowym numerze sekundy sumują się i przedłużają całą połączeniową operację o jakieś tam pół czy całą minutę. A guziczki można naciskać raz-dwa — czysty zysk na czasie. U nas, żeby było śmieszniej, uruchamiając nową centralę telefoniczną wmontowano do niej urządzenie, którego poza tym nigdy nigdzie nie spotykałem i nie spotykam, a które sprawia, że po wybraniu numeru leniwie obracającą się tarczą następuje jeszcze kilkanaście czy kilkadziesiąt sekund odczekiwania na zgłoszenie się sygnału rozmówcy. Ten okres odczekiwania centrala umila nam dźwięcznym świergotem. Tysiące ludzi przy tysiącach aparatów jednocześnie słucha sobie tego świergotu i jest to czas „zajętości" linii. Zajętości zbędnej, irytującej, marnującej czas ludzi i urządzeń. Coś jak piosenka wywoławcza przed kolejnym odcinkiem „Pszczółki Mai"... Świergocze, świergocze, a potem sygnał: zajęte. No to po co zajmować przed zajęciem?

Czas to nie pieniądz w kraju, w którym pieniądz to też nie pieniądz, a usprawnienie (nowa centrala!) — nie usprawnienie. Kto śmie tu mówić o naciskaniu guziczków bez świergotania?

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

# Wielki las

(21)

ZBIGNIEW NIENACKI

Kiedy jedzenie dla psa było gotowe, poszła do sadu i zobaczyła Horsta i Maryna, siedzących na starym pomoście, z nogami w dziurawej łódce. O czym rozmawiali — nie wiedziała. Najpewniej o lesie, bo Horst wydał jej się dziwnie ożywiony, a nawet szczęśliwy. Ramię w ramię z Weroniką powracał Maryn ścieżką przez sad, Horst zaś dreptał za nimi. Weronika milczała, ponieważ raptem uświadomiła sobie, że dopóki tu będzie ten obcy człowiek, ona pozostanie jedynie służącą, wykonującą jego rozkazy, nawet jeśli to nie on je będzie wydawał. Szła obok Maryna coraz bardziej gniewna, bo zarazem czuła po sprawiedliwości, że jej się to upokorzenie należało za to, co uczyniła Horstowi. I że ten obcy człowiek — też oceniając po sprawiedliwości — wcale się nie narzucał Horstowi, ani tym bardziej jej, Weronice. To przecież Horst go zaprosił do siebie, ofiarował mieszkanie i utrzymanie, choć tamten chciał za wszystko zapłacić. Nie Maryn był winien, że Horst był szalony swoją nienawiścią do lasu. Ale także nie umiała z całą pewnością stwierdzić, czy rzeczywiście lasu nie należało nienawidzić. Albo przynajmniej nienawidzić leśnych ludzi za to, co zrobili kiedyś Horstowi i jej, Weronice, co uczynili ze starym cmentarzem na Wilczym Rogu. I to ją także gniewało, że mogła przecież iść za Marynem, albo przed Marynem, szła jednak obok niego, gdyż wiał lekki wiatr od zachodu i co chwila wdychała zapach tego mężczyzny, ową kwaśną woń jego potu, która jej przypominała zmasakrowaną twarz Budrysa.

W kuchni Józef Maryn wziął do ręki garnek z kaszą i skwarkami, wyszedł z nim na podwórze, znalazł starą miskę, która kiedyś służyła na jedzenie dla kaczek. Do miski włożył kilka garści kaszy, potem wyniósł pejcz ze stajni i w lewej dłoni trzymając misę, a w prawej pejcz, ostrożnie otworzył furtkę w siatce ogradzającej kurnik. Wszedł za ogrodzenie i pochyliwszy się, stuknął miską o ziemię. A wtedy wybiegł z kurnika pies, chciał rzucić się na Maryna, lecz poczuł zapach jedzenia. Przystanął i wolno zaczął podchodzić do miski. Ogon miał podkulony, uszy stulone, z gardła wydobywało się ciche warczenie. Zbliżył się jednak do miski i łapczywie zaczął jeść. Krótko to trwało, bo jedzenia nie było wiele, głodu nie nasycił, co najwyżej jeszcze większy się w nim odezwał. Tymczasem Maryn z pustą miską w ręku zrobił krok do tyłu, do uchylonej furtki. I wtedy pies, z głośnym charkotem wydobywającym mu się z rozwartego pyska, chciał skoczyć na Maryna, ale spadł na jego plecy ostry bicz. Potem bat świsnął jeszcze raz i jeszcze raz, aż pies — skowycząc, uciekł do kurnika.

Maryn znalazł się za furtką, przełożył jedzenie z garnka do miski, tym razem więcej, niż poprzednio. Śmiało wszedł za ogrodzenie i stuknął miską o ziemię. W prawej ręce trzymał pejcz, lewa zajęta była miską.

Pies wyjrzał z kurnika. Patrzył na miskę, na pejcz, na Maryna. Trwało to długo — tak długo, że Weronika, która obserwowała wszystko przez kuchenne okno — chciała krzyczeć, bo wydawało jej się, że to ona otrzymała te wszystkie razy. A potem ujrzała jak pies przywarował do ziemi i powoli zaczął się w milczeniu czołgać do Maryna i miski. Czołgał się strasznie długo, aż wreszcie dotarł do jedzenia i ciągle rozpłaszczony ze strachu, zaczął żreć łapczywie. Kiedy zaś wylizał miskę do czysta i Maryn zrobił lekki ruch ręką, jak gdyby chciał go uderzyć pejczem, pies umknął do kurnika. W garnku pozostało jeszcze sporo kaszy ze skwarkami, lecz Maryn odniósł ją do kuchni, gdzie Horst objął go pełnym zachwytu wzrokiem.

— To było ohydne — stwierdziła Weronika.

— Słusznie — zgodził się Maryn.

Horst zatarł ręce.

— Jak myśl'sz, Józwa. Zrobisz z niego posłusznego psa?

— To już jest posłuszny pies — odrzekł Maryn.

Horst wyszedł na podwórze, zbliżył się do siatki i uderzył w nią dłonią. Pies wyskoczył z kurnika i charkocząc wściekle skoczył na siatkę przednimi łapami. A potem wyszedł z domu Maryn z miską w ręku i gdy tylko pies go zobaczył, jego łapy zsunęły się z siatki, zwierzę odstąpiło na dwa kroki od siatki i popatrzyło wyczekująco, machając wolno ogonem. Wówczas Maryn wrócił do kuchni, napełnił znowu miskę i zaniósł ją psu. Bez najmniejszego strachu otworzył furtkę i miskę położył na ziemi. Pies ciągle machając ogonem i żując uszy podszedł do miski, a Maryn zamknął za sobą furtkę.

— On cię już kocha — oświadczył Horst.

— Jutro rano, gdy będę próbował zabrać pustą miskę, być może rzuci się na mnie. Ale to będzie ostatnia próba zachowania godności. Tę resztkę wypędzi z niego mój bat.

Późnym popołudniem Maryn jak zwykle pojechał do lasu. Wtedy Weronika zdjęła ze sznura wyschnięte zielone koszule i wyprasowała je. Czemu to uczyniła? Nie wiedziała, a raczej nie chciała wiedzieć. Dopiero, kiedy z wyprasowanymi koszulami weszła do pokoju Maryna i otworzyła szafę, aby je położyć na półce, zrozumiała, że po prostu wstyd jej było zakradać się tutaj jak złodziejce. Przyszła z koszulami i mogła znowu popatrzyć na zdjęcia, które leżały na półce.

Tym razem dokładnie obejrzała fotografię człowieka, który prosto w obiektyw aparatu fotograficznego mierzył ze swojej strzelby, a na innym zdjęciu, już bez tej strzelby — leżał na ziemi z twarzą wykrzywioną cierpieniem. Tak, to chyba był jednak ten trzeci mężczyzna, który w młodniku, kiedy była prawie nieprzytomna od wódki i wszystko widziała jak gdyby przez mgłę, położył się na niej po Budrysie i Karasiu, i nadziewał ją jak na kołek, wykrzywiając twarz z takim samym wyrazem jak na zdjęciu zrobionym przez Maryna. Tylko że wtedy to był grymas rozkoszy, a tutaj cierpienia i bólu.

I znowu wzięła to zdjęcie w lewą rękę i przybliżyła do oczu, a prawą zadarła sukienkę, wcisnęła dłoń w majtki i wsunęła palce między nogi. Po chwili ze zdziwieniem popatrzyła na swoje palce pokryte wilgotną rosą, ale już nie pobiegła na górę, żeby je wytrzeć ze wstrętem. Podniosła je do twarzy i po raz pierwszy w życiu zapach jej własnego ciała napełnił ją pożądaniem. Była tym tak oszołomiona, że jak pijana wyszła na podwórze. „Mam jakąś tajemnicę i dlatego jestem inna niż wszystkie" — pomyślała.

Usłyszała głosy przy bramie i tam skierowała swoje kroki.

Przed bramą stał Horst Sobota, a na drodze, na swoim motocyklu siedział Karol Stęborek.

— Czy widzi pan, panie Sobota, te ostrugane patyki leżące na dnie żwirowni obok pańskiego domu i sadu? Jutro wczesnym rankiem przyjedzie tutaj rzeczoznawca z wojewódzkiego urzędu i wyznaczy miejsce na tartak. Dzień i noc będzie tu zgrzytał trak, a wiatr poniesie trociny na pańskie drzewa owocowe. Niech pan sprzeda ten dom, zanim nie będzie za późno.

Horst Sobota odwrócił się na pięcie i jak ślepy, nie zauważywszy Weroniki, bezgłośnie poruszając bezzębnymi ustami poszedł prosto do szopy. A Karol Stęborek, wygodnie usadowiony na motocyklu, wołał radośnie za nim:

— Tu będzie tartak... tartak... tartak...

Stęborek podniósł na czoło motocyklowe okulary i Weronika widziała jego oczy — szeroko otwarte i pełne wyrazu ogromnego szczęścia. Bo Stęborek czuł, że stał się złym człowiekiem; miał po drugiej stronie drogi ciemną ścianę lasu, który go teraz na pewno pokocha.

— Tartak... tartak... — wołał Stęborek.

Weronika pobiegła za Horstem. Stary wszedł do szopy, zdjął wieko ze swojej trumny i zaczął się do niej gramolić.

— Horst! Horst! Co ty robisz! — wykrzyknęła, chwytając go za ramiona.

— Odejdź, kobieto, bo cię uderzę. Odejdź, mówię ci, i daj mi umrzeć. Maryn może zwyciężyć las, ale nie zwycięży tartaku. Odejdź, kobieto, i daj mi umrzeć.

Mówił cicho, ale tak stanowczo, że puściła jego ramię. On zaś wreszcie wszedł do trumny, wyciągnął się w niej i złożywszy dłonie na piersiach, zamknął oczy. Wyglądał jak umarły i to obezwładniło Weronikę. Jak gdyby we śnie wyszła z szopy i podeszła do bramy, za którą nie było już Stęborka. Zobaczyła jednak okorowane żółte paliki, leżące tuż za ich płotem na dnie starej żwirowni. Ogarnął ją lęk, gdyż bała się zmarłych, a niemal uwierzyła, że Horst Sobota już umarł i leży w szopie. Stała przy bramie i patrzyła na drogę — bezradna i przerażona. Dopiero, gdy przeniknął ją dreszcz wieczornego chłodu, pojęła, że czeka na powrót Maryna. I choć go nienawidzi — to przecież pragnie jego powrotu, bo tylko on może jej pomóc, coś doradzić.

Zapadła noc, wraz z nią wypełznął z lasu nieprzeniknony mrok. I było tak, jak gdyby las już objął w posiadanie ich dom, sad, a nawet jezioro. Wiatr zahuczał w gałęziach niewidocznych w mroku drzew, poczuła jeszcze większe przerażenie i pobiegła do kuchni, gdzie zapaliła światło. Usiadła przy stole i wciąż czekała na Maryna. Nie potrafiła na żadnej sprawie skupić myśli, podjąć żadnej decyzji. Po prostu siedziała nieruchomo przy stole i nawet bała się spojrzeć w mrok za oknem. Gapiła się bezmyślnie w barwną ceratę na stole i nie zauważyła, że mijają godziny.

Ocknęła się po północy. Maryna jeszcze nie było. I znowu zjawił się strach — tym razem także i o niego. To przecież nie było bezpieczne — chwytać kłusowników. Dlaczego nie pamiętała o tym, gdy oglądała zdjęcia — zmasakrowane twarze i pokurczone z bólu postacie? „Jego też zabili" — przeszło jej przez myśl. I zaraz jeszcze większy lęk ją ogarnął, że pomyślała „też", a to znaczyło — Horst umarł. Tymczasem on zapewne jeszcze żywy leży w trumnie. Powinna pójść do niego, aby się o tym przekonać, nakłonić do powrotu do domu. Ale bała się. Pozostał w niej lęk, że wejdzie tam, dotknie twarzy Horsta i przekona się — Horst jest zimny. „Wróć, wróć, wróć" — szeptała błagalnie, modląc się o powrót Maryna. A potem położyła głowę na rękach.

...Śniło jej się, że Maryn leży martwy i nagi, a ona dotyka krwawiącej na jego piersiach rany i czuje w podbrzuszu bolesny żar, jak wtedy, gdy pierwszy raz wszedł w nią Budrys. We śnie walczyła z Budrysem o zakrwawionej twarzy, odpychała go od siebie, była jednak bezwolna i bezsilna...

Zbudziło ją głośne ujadanie psa za drucianą siatką. Nastał dzień, słońce stało wysoko, po całym podwórzu rozlewał się jego blask. Pies ujrzał klacz, z której właśnie zeskoczył Maryn i klacz podeszła blisko siatki.

— Panie Maryn, Panie Maryn — wybiegła z kuchni. — Horst umarł. Tak, umarł, bo na żwirowni budują tartak.

Nie zauważyła, że mundur, twarz i ręce Maryna są uwalane błotem. Zakryła twarz dłońmi i zaczęła głośno płakać, bełkocząc o tartaku i śmierci Horsta. Ocknęła się, gdy Maryn chwycił ją mocno za przegub ręki i ścisnął aż do bólu.

— Gdzie on jest? Gdzie Horst?

Poprowadziła go do szopy i otworzyła szeroko drzwi. Blask słońca wpadł do środka, prosto na zapadnięte policzki leżącego w trumnie starca.

— Horst, obudź się — powiedział spokojnie Maryn. — Na starej żwirowni nie będzie tartaku. Właśnie wracałem z lasu i na chwilę zatrzymałem się przy ludziach, którzy się tam od rana kręcili. Ktoś mi powiedział, że żwirownia leży za blisko jeziora i będą musieli zmienić lokalizację. Za blisko jeziora, Horst. Tartak może stanąć co najmniej o 500 metrów od lustra wody. Tak oświadczył rzeczoznawca. Tartak zbudują na ziemi niejakiego Łukty, tuż koło leśniczówki Stęborka.

Horst otworzył oczy. Usiadł powoli, gdyż bolało go w krzyżu. Weronika objęła starego ramionami i chciała pomóc wyjść mu z trumny. Sam się jednak wygramolił. Patrzył na Maryna jak gdyby nagle widział przed sobą żywego Pana Boga albo Szatana.

— Dostaniesz ode mnie kobietę, Maryn — rzekł po chwili, z trudem wymawiając każde słowo. — Dostaniesz kobietę taką jaką lubisz. Bo ta... — wskazał na Weronikę. — ...Bo ta, ci się nie podoba.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Weronika wyprowadziła z szopy swój bardzo drogi rower z japońską przerzutką, który jej kiedyś kupił Horst Sobota i piaszczystą drogą wzdłuż skraju lasu dostała się na asfaltową szosę. Tutaj skręciła w stronę odległej o trzy kilometry wioski, zaledwie rzucając okiem na mijaną po drodze osadę leśną Mordęgi — kilka rzędów bliźniaczych domów zbudowanych z białej cegły i przykrytych szarymi dachami z eternitu. Każdy z tych domów miał niewielkie podwórko ogrodzone siatką oraz zabudowania gospodarcze na krowę lub świnie. Ale rzadko który z robotników leśnych (bo oni głównie zamieszkiwali tę osadę) posiadał krowę lub świnię, a nawet trzymał kury, kaczki czy gęsi, choć każdemu przysługiwało deputatowe półtora hektara ziemi ornej oraz pastwiska. Mieli też prawo do dzierżawy gruntów państwowych.

Na podwórkach roiło się od dzieciaków, a przed sklepem w osadzie zawsze stała długa kolejka kobiet. Kupowały wszystko co się dało — jajka, mleko, wędliny, mrożony drób, sery, nie mówiąc o chlebie czy bułkach. Prosiły sklepową, aby sprowadzała nawet marchew i cebulę. Rzadko która bowiem uprawiała przydomowy ogródek warzywny. Ich mężowie dobrze zarabiali w lesie, nawet lepiej niż leśnicy i gajowi, i choć bez przerwy narzekały na swój ciężki los, przydzielone im pola przeważnie zarastały chwastami, co gniewało rolników z pobliskiej wioski, ponieważ nasiona chwastów wiatr przenosił na ich uprawne pola. Horst Sobota, podobnie jak inni rolnicy z pogardą i nieufnością odnosił się do „leśnych ludzi" — jak ich nazywano. Często byli pijani, brudni, podobnie też brudno wyglądały ich dzieci, całymi godzinami wysiadujące w przydrożnym rowie i rzucające kamieniami w samochody na szosie. Horst twierdził, że tym ludziom las odebrał duszę. Lecz prawda wyglądała inaczej. Każdy z „leśnych ludzi" w przeszłości szukał zarobku w jakimś wielkim mieście, w wielkiej fabryce, na potężnej budowie, w kopalni lub hucie. Ale nie wytrzymywali narzuconego im tempa pracy, koniecznej punktualności, życia w ludzkim zespole. Po kilkanaście razy zmieniali miejsce zatrudnienia, aż w końcu trafiali do lasów, które ofiarowały im mieszkania oraz pracę, która nie wymagała ani punktualności, ani zależności od innych. Leśniczy lub gajowy po prostu wyznaczał robotnikowi trzebież jakiegoś skrawka lasu, czyszczenie młodnika, korowanie pni na słupy telegraficzne albo papierówkę. Każdy robił to sam, co mu wyznaczono — nikt też nie był w stanie sprawdzić, czy zaczął pracę o wyznaczonej godzinie. Jedynie podczas zrębów musieli pracować razem, ale także w małych grupach. Zarabiali bardzo różnie, niektórzy tylko tyle, aby otrzymać podstawową część wynagrodzenia oraz przysługujący wtedy dodatek na niepracującą żonę i gromadę dzieciaków. Sposób zapłaty za robotę nie sprzyjał wysiłkowi rąk — lepiej było powiększyć wypłatę o jeszcze jedną dodatkową kwotę na kolejne nowe dziecko. Do tego się też sprowadzały ich ambicje i zainteresowania.

W całej osadzie nie prenumerowano ani jednej gazety, w żadnym mieszkaniu nie było książki, a wśród prymitywnych sprzętów jedynym wyróżniającym się pozostawał telewizor. Gdzie nie spojrzeli zamykała ich ściana lasu. Być może to dlatego ich umysły, pragnienia i nadzieje też wydawały się ściśnięte przez jakąś wielką obręcz. Ogromny las ze swoim powolnym wzrostem i pracą wykonywaną bez udziału innych dawały im poczucie wolności; do lasu łatwiej się im było przystosować niż do życia w zespole ludzkim. Toteż raz po raz milicyjny uaz musiał przyjeżdżać do osady leśnej, aby przerywać bójki i awantury rodzinne, spowodowane pijaństwem i zazdrością. Nic bowiem poza wódką, babskim tylkiem czy męskim kutasem nie obchodziło tych ludzi. Jako zabawną historyjkę opowiadano o młodej żonie pewnego drwala, co to dopiero sprowadziła się do osady, kazała mężowi obsadzić pole ziemniakami, uprawiała i podlewała ogródek, kupiła młode kurczaki i kaczki. A potem co noc ktoś jej wykopywał ziemniaki, kradł marchew i cebulę z ogródka, ginąć zaczęły kurczęta i kaczki. Aż po roku i ona stała się taka jak inne — zaczęła chodzić po wszystko do sklepu i godzinami strzępiła język w bezsensownych plotkach, podglądała jak prowadzą się inne kobiety, dokąd wieczorami chodzą ich mężowie. Starzały się szybko, po drugim i trzecim dziecku traciły zęby, schły jak wióry albo stawały się podobne do beczek z sadłem. Albowiem jak mówił Horst Sobota — las odebrał im dusze, ale pozostawił ciała, żołądki, gardła i języki.

Piękny dom Horsta Soboty, z gankiem i kolorowymi szybkami, jego rozległy sad owocowy — był w tej enklawie brzydoty i lenistwa jakimś obcym i wrogim ciałem. Chciwie spoglądano na dojrzewające na gałęziach dorodne wiśnie, gruszki, jabłka i śliwki. Lecz jeśli Sobota potrzebował kogoś do pomocy przy zrywaniu owoców, nie znajdował nikogo ani wśród nie pracujących przecież leśnych kobiet, ani nawet nie chciano przysyłać mu do pomocy jakiegoś dzieciaka. Owszem, od czasu do czasu gromady wyrostków z osady leśnej czyniły złodziejskie wyprawy do sadu, ale sad ogrodzony był wysoką siatką, a ponadto Horst Sobota posiadał strzelbę i nocami, na przemian z Weroniką, pilnował owoców. Sobocie pomagali jedynie rolnicy z wioski. Chłopki przysyłały mu dorastające dziewczyny lub chłopaków, w zamian za owoce, które zamykały w słoikach na zimę. Nie miał też Sobota kłopotu z kupnem jajek, kurczaków, kury czy też kaczki — jeśli obiecał skrzynkę jabłek zimowych albo słodkich gruszek. Zresztą Horst Sobota był bogaty, o czym we wsi wiedziano, a taki fakt budził tam szacunek.

CDN

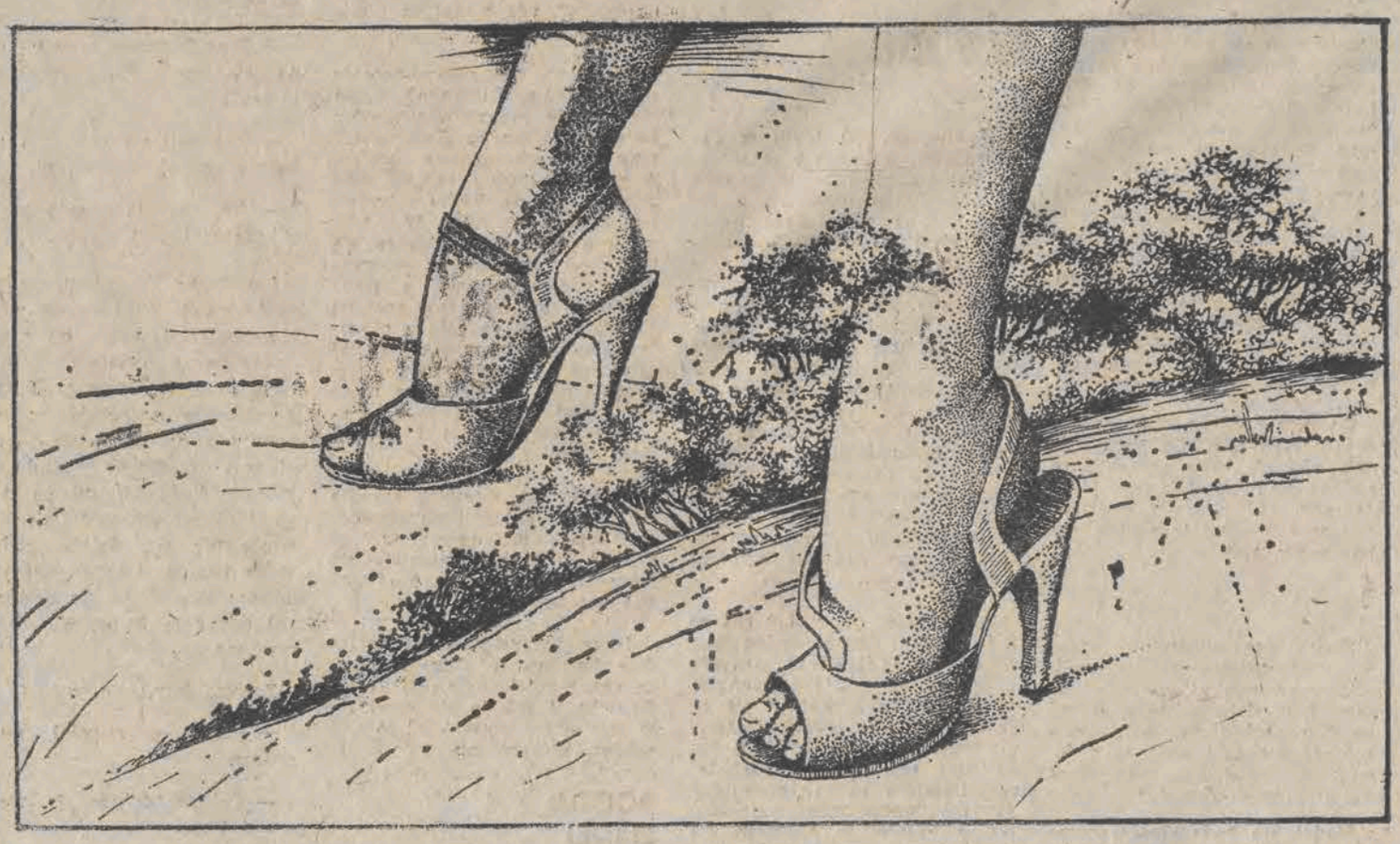

Rys. Janusz Szymański-Glanc